

01P IMP 3-3-75006308

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/372

1978



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Cz. MIŁOSZ : **OGROD NAUK-POLONISTYKA**

T. KLEMPSKI : **AKCJA «K»**

Cb. BYRSKI : **ZBLIŻENIE CHIŃSKO-AMERYKAŃSKIE**

KISIEL : **ROSJANIE I INNI**

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>Ogród nauk</i>	3
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Zbigniew Byrski:	<i>Zbliżenie chińsko-amerykańskie</i>	15
Ryszard Jagła:	<i>Stała restalinizacja</i>	20
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	28
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	35
K R A J		
Tymoteusz Klempski:	<i>Akcja „K”</i>	47
—	<i>Niezależna prasa krajowa</i>	69
SPRAWY I TROSKI		
—	<i>Widmo Katynia</i>	71
—	<i>Konkurs na projekt pomnika Katynia</i>	73
—	<i>Komunikat P.A.I.R.C.’u</i>	74
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	75
Benedykt Heydenkorn:	<i>Ukraiński Kościół prawosławny w Ka- nadzie</i>	82
E. Żagiel:	<i>Kronika litewska</i>	86
Andrzej J. Chillecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	90
KRONIKA KULTURALNA		
Hugh McLean:	<i>Odnaczenie Czesława Miłosza</i>	92
Jan Chodakowski:	<i>P o m p i d o l i u m :</i>	95
WOŁANIE NA PUSZCZY		
Kisiel:	<i>Rosjanie i inni</i>	101
KSIĄŻKI		
Józef Łobodowski:	<i>Tragiczna antologia</i>	107
Michał Heller:	<i>Druga książka Zinowiewa</i>	114
K. A. Jeleński:	<i>Kiedy świadomość określa byt</i>	121
Janina Katz Hewetson:	<i>Książki z Londynu</i>	124
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	130
♦		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	132
♦		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	138
♦		
St. Korboński, J. Lichten, K. Łukomski, E. Stein, Zarząd Związku Pisarzy, A. J. Chillecki:	<i>Listy do Redakcji</i>	140
DOKUMENTY		
—	<i>Niektóre uwagi z historii i działalności Zrzeszenia Katolików „Caritas”</i>	147
SKS Wyższych Uczelni Trój- miasta:	<i>Oświadczenie z 30. 06. 1978</i>	153
KSS „KOR”:	<i>Oświadczenie z 31. 07. 1978</i>	154
ROPChO:	<i>Komunikat Biura Prasowego</i>	155
Komitet Wolnych Zw. Zaw.:	<i>Apel z 26. 04. 1978</i>	156
T.K.S.Ch.:	<i>Oświadczenie z 10. 08. 1978</i>	157
Karta 77 - Czechosłowacja —		
KSS „KOR” - Polska:	<i>Oświadczenie — sierpień 1978</i>	158
KSS „KOR”:	<i>Komunikat</i>	158
Czytelnik:	<i>Postępująca likwidacja szkolnictwa ukraińskiego w Polsce</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień - Septembre 1978

INSTYTUT  LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Władysław Gauza, Oslo, po raz trzeci	F. 50,00
Karol J. Krótki, Edmonton, Alta (Kanada), po raz trzeci ..	F. 260,00
Prof. Kazimierz Laski, Wiedeń, po raz trzeci	F. 200,00
Dr Stanisław Nałęcz-Korzeniowski, River Forest, Ill. (USA) — dla uczczenia pamięci Ojca, kpt. W.P. Stanisława Nałęcz- Korzeniowskiego, którego 4-ta rocznica śmierci przypadła w tym roku	F. 107,50
M. A. Perth, Australia, po raz piąty	F. 257,50
Maria i K. S. Rasiejowie, Bogota, N.Y. (USA), po raz piąty ..	F. 64,50
Halina Sukiennicka, Londyn	F. 85,00
Paweł Wincenciak, Irvington, N.J. (USA)	F. 72,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja), po raz 29-ty	F. 100,00
Z. M. K., Zoetermeer (Holandia)	F. 20,00
Bezimiennie z Amarillo, Texas (USA)	F. 85,00
Bezimiennie z Paryża (9 ^e), po raz trzeci	F. 1.000,00
Bezimiennie z Paryża (15 ^e)	F. 250,00
Bezimiennie z Albuquerque, N.M. (USA), po raz 11-ty	F. 40,00
Bezimiennie z Rawensburg (RFN) — na pomoc dla opozycji w Polsce	F. 215,05
Brzostek Tadeusz, Paryż na opozycję w Polsce	F. 100,00
Alicja Iwańska, Albany, N.Y. (USA), na opozycję w Polsce — zamiast kwiatów na grób wuja, Antoniego H. Miłkow- skiego	F. 215,00
Ewa Mieroszewska, Washington — dla uczczenia pamięci śp. Ireny Gackiej — zamiast kwiatów na Jej grób na opozycję w Polsce	F. 64,50

WPLATY NA KSS „KOR”

Anonimowo z USA	F. 435,00
Bezimiennie z Albuquerque, N.M. (USA)	F. 40,00
Bezimiennie z Bostonu, Mass. (USA)	F. 1.543,94
Janusz Gliński, Chicago, Ill. (USA)	F. 185,50
Jan Jurewicz, w imieniu Assistance Committee for the Human Rights Movement in Poland — Polish American Congress, Illinois Division (USA)	F. 2.150,00
Klub Polski w Moss (Norwegia)	F. 591,66
Bogdan Szarlak, Monachium (RFN)	F. 53,40
Marek Tokar, Bloomfield, N.J. (USA)	F. 64,50
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja)	F. 100,00

WPLATY NA PPN

Bezimiennie z Bostonu, Mass. (USA)	F. 1.543,94
Janusz Gliński, Chicago, Ill. (USA)	F. 64,50
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja)	F. 100,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 160)

Ogród nauk

POŁONISTYKA

Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,
Nie chciał przecie, ażeby człowiek umarł z głodu;
I rozkazał aniołom zboże przysposobić
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.
Przyszła Adam, znalazł je, obejrzał z daleka
I odszedł, bo nie wiedział co ze zbożem robić.
Aż w nocy przyszedł diabeł mądry i tak rzecze:
„Niedaremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta,
Musiał tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;
Schowajmy je, nim człowiek ich wartość dociecze”.
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,
Napłwał i ziemią nakrył, i przybił kopytem; —
Dumny i rad, że boże zamiary przeniknął,
Całym gardłem rozśmiał się i ryknął, i zniknął.
Aż tu wiosną, na wielkie diabła zdziwienie,
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosa i nasienie.
O wy! co tylko na świat idziecie z północą,
Chytraść rozumem, a złość nazywacie mocą;
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,
Myśli Boga oszukać — oszuka sam siebie.

Dziady, Cz. III, Akt I.

Głupi diabeł pojawia się w folklorze różnych krajów i można w tej postaci dopatrzeć się rysów zaczerpniętych ze średniowiecznych opowieści, które (idąc za bardzo starą tradycją) jako przyczynę upadku księcia aniołów podawały zawiść wobec człowieka. Całkowicie z człowiekiem odtąd związany, wysilający się na sztuczki mające niesłusznie wyniesionemu rywalowi zaszkodzić, taki diabeł miał skromny tylko zasób wiedzy i nie mógłby uchodzić za personifikację kosmicznego zła, najwyżej za jego delegata.

W demonologii *Dziadów* bajka włożona w usta Żegoty ma szczególne miejsce: wyraża podstawową prawdę optymizmu. Adam nie wie co zrobić z ziarnem — to ziarno symbolicznie oznacza wiarę i wolność. Dopiero wmieszanie się diabła pokazuje jak jest cenne i jaki z niego użytek. Czyżby więc występowała tutaj, jak u Goethego, „ta siła, która pragnie zła, a zawsze dobro działa”? Niezupełnie. Nie głupota ale wyższe prawo, kosmiczne, przesądza w *Fauście* o chwilowej przegranej dobra i jego zwycięstwie „w ostatecznym rachunku”. U Mickiewicza najwyraźniej chodzi o jeden rodzaj działalności zła: schować, zagrzać ziarno, „przybić kopytem”, czyli o zakaz i ucisk.

Postawiony wobec tego tekstu, literaturoznawca czy *literaturowied* czy *literary scholar*, jakkolwiek się ten zawód nazywa, niewiele z niego potrafi wycisnąć, jeżeli nie zna komentarza. A ten komentarz pisało życie w Polsce, od tamtej chwili, w roku 1832, kiedy te słowa ukazały się drukiem, aż po dziś dzień. Tekst sięga głęboko w tę warstwę gdzie kształtują się zbiorowe odruchy pokoleń i jest polityczny w sensie najpoważniejszym, bo wskazuje skąd brała się odporność Polaków na gwałt zaborców: z przekonania, że diabeł zawsze działa na swoją szkodę. W istocie każdy kto chce rządzić w Polsce powinien ten tekst umieć na pamięć i przemyśleć go gruntownie, jeżeli chce uniknąć przegranej. Bo zawsze wystarczało, żeby władcy, czy obcy czy swojego chowu, przyprowadzili sobie rogi i ogony, a nikt już nie miał wątpliwości, że klęska ich jest nieuchronna. Dekady, jakie upłynęły od wybuchu drugiej wojny światowej przyswajają temu dobitnie.

Dlaczego rozmaici władcy występują w kostiumie biesa jeżeli mogą inaczej? Najwidoczniej nie mogą, bo jakoś nie widać rogów i ogona kiedy się je nosi samemu, a pokropiwszy się wodą kolońską czyli tzw. odekołonom nie czuje się zapachu siarki. Ironiczna spostrzegawczość należy jednak do cech ludowych w kraju prawie stale gnębionym i zbrodnia polityczna zawsze w Polsce przynosiła niewysoki dochód. Co nie znaczy, że brakło chętnych do paktowania z siłą przez nich samych ocenianą jako siłą złowrogą. Zawsze jednak stosunkowo mała była ilość takich, którzy wierzyli w mądrość diabła i jego ostateczny triumf.

Próbą wyleczenia kultury polskiej z zacności czyli z wiary w zasadniczą dobroć świata był program Dmowskiego, czerpiący natchnienia z nauk przyrodniczych. W ogóle odpowiedzialność polityczna biologii w naszym stuleciu jest ogromna. Teoria ewolucji i „przeżywanie najlepiej przystosowanych” miały uzasadniać pogląd na narody jako drapieżne organizmy tępiące się wzajemnie. Jeżeli bajka Mickiewicza trafnie ujmuje pewną stałą zachowań się ludzkich w Polsce, to głosiciele egoizmu narodowego

musieli popadać w sprzeczności, z którymi radzili sobie jak umieli. Z pomocą przychodziły im wciąż kołujące się pomysły mesjaniczne: „Polacy — złote ptacy” występowali więc jako wyjątek, zewsząd otoczeni przez zło, które było chętnie przedstawiane jako demoniczne siły międzynarodowe, żydostwa i masonerii.

Nie była to jedyna próba sprzeciwienia się polskiej zacności. Uważna lektura niektórych stronic napisanych przez polskich komunistów, tych co wojnę spędzili w Rosji, wystarcza do wysunięcia tezy, że rzekomy ich marksizm był po prostu darwinizmem. Na miejsce wzajemnie tępiących się narodów podstawiali wzajemnie tępiące się ustroje czyli rzecz sprowadzała się dla nich do „kto kogo”. Bardzo byli, trzeba przyznać, nie-polscy, skoro wierzyli w zwycięstwo ustroju przez nich samych uważanego za diabelski. Pewnie że nie wykładali tego jawnie, ale kiedy się zastosuje ten klucz: urzeczzenie biologią, nagość ich myśli jest aż żenująca. Ciekawy temat dla badaczy literatury, ale kto z nich odważy się o tym mówić i kiedy?



W 1937 roku ukazała się powieść Antoniego Słonimskiego *Dwa końce świata* i eseje Bolesława Micińskiego *Podróż do piekieł*. Pierwsza z tych książek drukowała się najpierw na łamach *Wiadomości Literackich*, druga wyszła nakładem *Prosto z mostu*. Czym był tamten okres, jak wyglądało życie w Polsce owych lat tuż przed wybuchem wojny, nie bardzo już wiadomo i pokolenia polonistów najwyżej próbują to i owo odgadnąć przeglądając roczniki dwóch głównych wtedy pism literackich. Przyznam, że gdyby przyciśnięto mnie do muru i kazano spisać co pamiętam, byłbym w kłopotach. Świadomość uzyskana później rzutuje wstecz jakieś oceny, których wtedy nie było i w ten sposób obraz zostaje zafałszowany. Ale nie tylko to. Świadomości miałem sporo, jednak umysł ludzki jest tak urządzony, że potrafi w razie potrzeby zmusić siebie do działania na pół obrota. Dopuszczać wtedy do siebie całą wiedzę znaczyłoby paść na czworaki i wyć. Bo te kilka ulic warszawskiego śródmieścia to była najzupełniejsza nierzeczywistość, więc chodziłem nimi blaznując, co gorsza też wobec siebie. Z tej mgły wylania się teraz pewien wieczór: obiad wydany przez redaktora *Prosto z mostu*, Stanisława Piaseckiego z okazji ukazania się *Podróży do piekieł*. Autor czyli Bolek Miciński mnie tam zabrał ze sobą, gdzieś na Mokotów, i pojechałem z ciekawości do jaskini wroga. Do *Prosto z mostu* nie pisałem z powodów pryncypialnych, ale z powodów równie pryncypialnych, choć zupełnie innych, nie pisałem

też do *Wiadomości Literackich*, niechętnie i z poczuciem „zdrady” godząc się na drukowanie moich wierszy przez Grydzewskiego we wskrzeszonym po dłuższej przerwie *Skamandrze*. Analiza moich zasad czy też po prostu mojej arogancji tutaj nie należy, dość powiedzieć, że byli wtedy i inni też usuwający siebie dobrowolnie na margines, w dziedzinę elitarnych pism czytywanych przez dwadzieścia osób, np. Józef Czechowicz.

Kogo tam nie było na tym przyjęciu u Piaseckiego. „Cała Warszawa”, a ściślej ta, która właśnie stawiała się całą Warszawą, bo byli to ludzie przeważnie młodzi, mający poczucie, że oni to zaczynają sprawować rząd dusz. Dziś powiedzielibyśmy, że *Establishment* liberalny *Wiadomości Literackich* był wtedy u schyłku, zastępowany przez *Establishment* prawicowy. Prosto z mostu miało już nakład bodaj dwa razy wyższy niż organ Grydzewskiego.

Bynajmniej zresztą nie polityków zgromadził ten obiad, tylko ludzi literatury i sztuki, bo choć prawica nigdy nie miała do tych środowisk szczęścia, Stanisław Piasecki był w umiejętności ich pozyskiwania wyjątkiem. A i rozmowy nie toczyły się o polityce, w czym potwierdzała się właściwa stosunkom społecznym zasada podziału ról: jedni są od dyskusji o Mozarcie, drudzy od bojówek. Wtedy to poznałem Stanisława Piaseckiego i rozmowa nasza była grzeczna, choć chłodna.

Skąd w tym Bolesław Miciński? Związki jego z Piaseckim były przypadkowe i wkrótce miał z nim zerwać, z powodu kampanii antysemitkich pisma, podobnie jak i inny mój przyjaciel, Jerzy Andrzejewski. Miciński w owych latach tuż przed wojną wykładał jakiś czas propedeutykę filozofii w warszawskich liceach, zanim zaczął pracować w Polskim Radio, i opowiadał mi o młodości. No tak, bo my, już po uniwersyteckich studiach, „młodość” nie byliśmy. Opowiadał, wyrывая sobie włosy z głowy. Ze ciemni, prowincjonalni i w 90 procentach „narodowcy”. Miciński, przyjaźniący się z Jerzym Stempowskim, a więc masonem, należał do tych nielicznych, którzy stopniowo przesuwali się ku ideologii Obozu Narodowo-Radykalnego przyglądali się ze zgrozą. Jego *Podróż do piekieł* są książką filozoficzną, ale chyba nie inny wybrałby tytuł gdyby przeniósł na papier te wszystkie swoje przerażenia i gniewy bezsilnego obserwatora, jakim dawał upust w rozmowach. Tego jednak nikt wtedy nie umiał.

I jeszcze jedna odsłona pamięci: na południowym przedstawieniu którejś ze sztuk Fredry, bodaj w teatrze Ateneum. Młodość, sama młodość z warszawskich liceów. Jakie jasne twarze, jakie jasne spojrzenia, jakie ładne to wszystko! Podziwiałem ich

i czułem się bardzo źle, gorzki, obarczony za trudną dla mnie wiedzą i przez to bezdomny.

Nie zazdroścę „literaturoznawcom” przeszczepiającym na grunt rodzimy metody badań zapożyczone z Zachodu. W kraju takim jak Polska, gdzie prawie żaden twór literacki nie może obyć się bez daty kiedy powstał, bo tak zmienna jest, z roku na rok i z miesiąca na miesiąc, ta otoczka bez znajomości której jest mało zrozumiały, metody takie nie mogą nie narażać na błędy. Za utworami jakie pochodzą z lat 1937, 1938 kryje się rzeczywistość obecna przez swoją nieobecność, trudna, nieprzystępna, obłożona wtedy licznymi tabu, już nieznaną nowym pokoleniom. Określała ją przede wszystkim programowe poniżanie „mniejszości narodowych”. I jeżeli owa rzeczywistość daje znać o sobie pośrednio, poprzez nieobecność, to niekoniecznie dlatego, że literaci unikali pewnych tematów, po prostu stawiały one za duży opór, brak było formy, która by im podołała. Z tego też, myślę, powodu w *Ferdynandzie* Gombrowicza wydanej w roku 1938 nie ma w ogóle Żydów. A przecie konflikty społeczne (wieś - miasto, panowie - chłopcy) są w tej książce ostro narysowane czyli autor bynajmniej nie stronił od spraw przyziemnych.

Prawdopodobnie najbliższą rzeczywistości była *science-fiction* Antoniego Słonimskiego, *Dwa końce świata*. Ponieważ nikt już bodaj nie pamięta tej krótkiej powieści, proroczej i dlatego niecenzuralnej, przypomnę. Rzecz dzieje się w Warszawie doszczętnie zniszczonej przez bomby niejakiego Retlicha (czytaj na odwrót). Cała ludność zginęła. W ruinach spotykają się dwaj cudem ocaleni mieszkańcy miasta. Jednym z nich jest knajak o nieskomplikowanym światopoglądzie i języku jak z Wiecha, drugim młody żydowski intelektualista, z zawodu sprzedawca w księgarni. Nie mogą się porozumieć. Konflikt. Po czym ruiny miasta zostają zajęte przez nadchodzącą ze wschodu armię Lapończyków, którzy ich obu pakują do obozu koncentracyjnego.

Owego czasu widziałem trzech ludzi. Pierwszy był we krwi, a iż bito go, nieprzestannie krwią broczył. Drugi klęczał, a iż wiązano mu ręce, na klęczkach zostawał. Trzeci siedział za stołem swego wroga, a iż wróg oddał mu cześć, przebywał za jego stołem.

Wtedy pierwszego nazwałem jego i mieniem i krzyknąłem mu: „Nie umieraj”. A krew wciąż płynęła i poprzez krew odpowiedział: „Wytrwam, bo kocham”.

Potem nazwałem drugiego człowieka i krzyknąłem mu: „Zrzuc swoje więzy”. Odpowiedział: „Jestem słaby, a człowiek, który mnie spętał ma wielką siłę”.

I nazwałem trzeciego człowieka i rzekłem mu: „Wstań wreszcie”. I odpowiedział: „Zostanę tu, bo chytry jest mój wróg, a ja pragnę go oszukać”.

Wtedy przywołałem anioła jedności i rzekłem mu: „Zjednocz tych trzech ludzi albo zniwecz ich”. Wówczas anioł jedności wziął krew pierwszego człowieka i pomazał nią dwóch tamtych. I ten co klęczał i ten co siedział zostali pokrzepieni. A człowiek krwawiący wsparł się na nich. I krew mniej silnie płynęła z jego ran. I krew odsłoniła oczy.

Kiedy został napisany ten wiersz? Jest to zadanie dla polonisty. Pamiętając o *Księgach pielgrzymstwa* i *Anhellim* czyli o stylu wzorowanym na Ewangeliach, będzie on skłonny umieścić utwór w epoce romantyzmu. Że jednak tego rodzaju nawiązywanie do romantyków nie jest dzisiaj w poezji polskiej rzadkością, a podział na bitych, klęczących i siedzących za stołem wroga jest mu jakoś dziwnie znajomy, polonista dojdzie zapewne do wniosku, że utwór pochodzi z lat 1970-tych.

W czym będzie się mylił. Wiersz ten, pod tytułem „Postawy” ukazał się w redagowanej przeze mnie antologii *Pieśń Niepodległa*, wydrukowanej przez podziemną Oficynę Warszawską w roku 1942 w Warszawie. Dwutomowa antologia *Poezja Polski Walczącej 1939-1945* pod redakcją Jana Szczawieja, PIW, 1974, tekstu nie podaje, natomiast wymienia tytuł i autorstwo przypisuje mnie. Przez dłuższy czas próbowałem zrozumieć o co chodzi, bo jako żywo nie przypominałem sobie wiersza pod tym tytułem. Aż wreszcie znalazłem się w posiadaniu tekstu i luka w pamięci nagle się wypełniła. Ależ tak: nie jestem autorem wiersza tylko jego tłumaczem. Autorem jest francuski poeta Jean Le Louet. Wybuch wojny zaskoczył go w Warszawie, dokąd pojechał jako turysta czy dziennikarz. Zdaje się, że później był przez jakiś czas internowany nad jeziorem Bodeńskim. W każdym razie tekst dostałem, jeżeli się nie mylę, od Dygata po jego powrocie z tamtego obozu, gdzie znalazł się też jako obywatel francuski. Ponieważ układałem właśnie wtedy antologię, zrobiłem przekład ponieważ wiersz podobał mi się jako forma.

Gdyby nie moje obecne sprostowanie, utwór posłużyłby polonistom do zbudowania kilku zgrabnych hipotez. Bo przecie jest to najwyraźniej wiersz o kolaboracji — co miał więc na myśli polski poeta, jeżeli w roku 1942 taki wiersz, profilaktycznie niejako, pisał? Prorok? Bo przecie nie odkryliby, że autorem był poeta francuski, mający wzór we Francji Pétain'a. Jak podaje *Dictionnaire de la poésie française contemporaine* Jean Rousset'a, poeta Jean Le Louet urodzony w Bretanii w roku 1911, dość znany przed rokiem 1939 jako neo-surrealista, po wojnie prawie zupełnie zamilkł i oddał się pracy dziennikarskiej. W żadnej z antologii francuskich jego wiersza „Attitudes” nie znalazłem i nie taka, zbyt przykra, literatura jest we Francji przedmiotem badań literackich, tak że mamy tutaj wypadek przetrwania tekstu obcego dzięki jego — językowemu i sytuacyjnemu — spolszczeniu.

Wat: ... Trzeba sobie znowu powiedzieć: niedawno mówiliśmy o Leśmianie. Przecież Leśmian najlepsze swoje rzeczy napisał w latach dwudziestych.

Miłosz: On się rozwinął późno, on długo doskonalił, destylował, ale destylował to, co wyniósł z okresu „moderny”, nie ulega wątpliwości.

Wat: Kiedy Leśmian przyjeżdżał ze swojego rejentostwa z prowincji, Tuwim całował go w rękę, nikt jednak Leśmiana nie traktował poważnie — nikt z nas, literatów, powiedzmy młodych, młodzieży literackiej, właśnie tej, która coś odkrywała, czegoś szukała. Nikomu z nas nie wpadło do głowy traktować wiersze Leśmiana, czytać wiersze Leśmiana jako coś nowego, znajdować w nich coś nowego. Na odwrót.

Miłosz: Nie, w moim pokoleniu, w latach trzydziestych, Leśmian tak samo nie egzystował.

Wat: Czytaliśmy go jako drugi front, drugą falę „moderny”, secesji, umieściliśmy go w tym świecie.

Miłosz: To jest bardzo ciekawe, dzisiaj ten renesans Leśmiana, niby usunięcie na drugi plan tych pierwiastków secesji, pierwszej „moderny” Leśmiana, natomiast odczytuje się go zupełnie inaczej.

Wat: O to chodzi, że odczytujemy go zupełnie współcześnie. Jego wiersze czytaliśmy wtedy jako bardzo paseistyczne, produkty okresu najśmieszniejszego, wydającego się najgłupszym tworzeniem okresu secesji”.

Aleksander Wat, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, Polonia Book Fund Ltd., Londyn, 1977, tom I, str. 44.

Powyższa rozmowa została nagrana w roku 1965. Występują w niej przedstawiciele dwóch pokoleń literackich, którzy pamiętają jak to było z Leśmianem, dlaczego w latach międzywojennych jako poeta wiódł żywot na marginesie, uznany przez wszystkich za staroświeckiego. Kiedy jednak do tej sprawy zabiera się literaturoznawca czerpiący wiedzę z drugiej ręki, dochodzi do smutnych nieporozumień.

Niewtajemniczona w życie literackie Polski międzywojennej, w jego jakże zmienne, z roku na rok temperatury, p. Rochelle Stone napisała po angielsku książkę o Leśmianie, *Bolesław Leśmian; The Poet and His Poetry* (University of California Press, 1976), która wskazuje jak liczne błędy czatują na polonistę.

Autorka uważa Leśmiana za poetę genialnego i miłość jaką ma dla przedmiotu swojej pracy starczy za przeciwwagę wielu pomyłek, choć nie wszystkich. Szukając odpowiedzi na pytanie

dlaczego tak wielki poeta nie został przez swoich współczesnych uznany, autorka zatrzymuje się na dwóch, jej zdaniem, głównych powodach: 1) Leśmian był pochodzenia żydowskiego a Polacy są antysemitami. 2) Poezja Leśmiana nie przypomina nic z tego co znamy jako Modernę i Młodą Polskę, natomiast jest spokrewniona z symbolizmem rosyjskim.

Udręki Leśmiana wskutek antysemityzmu otoczenia nie wypadły pod piórem autorki przekonywująco i rozdział poświęcony jego biografii nosi cechy wyraźnie obsesyjne. Leśmian czy Antoni Lange czy Aszkenazy czy Feldman czy Ostap Ortwin, całkowicie w kulturze polskiej zanurzeni, nie byli przez te koła w których się obracali dyskryminowani. W młodości Leśmiana protegował Miriam-Przesmycki, redaktor „Chimery” i nie byle jaka to była protekcja. Jak wykazał Marian Pankowski w swojej bardzo ciekawej książce o Leśmianie (*Leśmian; La Revolté d'un poète contre les limites*, Presses Universitaires de Bruxelles, 1967) Leśmian, zupełnie niezaradny, pieniędzy zarabiać ani nie umiał ani nie chciał, potrzebował opieki, i Przesmycki mu ją dawał — posyłając zadatki na honoraria, udzielając pożyczek, zdobywając stypendia. On też po roku 1918 przez swoje stosunki wyrobił dla Leśmiana synekurę. W niepodległej Polsce Leśmian nie był, jak podaje autorka, *notary public* (termin ten w Ameryce oznacza drobnego urzędnika przybijającego pieczętki na dokumentach), tylko rejentem czyli tym co we Francji nazywa się *le notaire*, który to urząd oznacza wysokie dochody i dużo wolnego czasu, skoro wszystko załatwiają sekretarki i sekretarze. I nie jakiś „*minister of justice*” (z małej litery) ratował Leśmiana z finansowych tarapatów kiedy przekradł się jego sekretarz, tylko ówczesny Minister Sprawiedliwości. Leśmian-poeta był rzeczywiście przemilczany przez *Wiadomości Literackie*, ale należało to do zwykłych sposobów tego pisma stosowanych do wszystkiego co niemodne tj. uznane za takie w kawiarni „Ziemiańskiej”. Został jednak członkiem Polskiej Akademii Literatury, jak też był odznaczony orderem Polonia Resituta, co znaczyłoby, że nie był pozbawiony (konserwatywnych?) wielbicieli. Niestety zmienność aury politycznej nie jest wzięta pod uwagę przez autorkę i dlatego lata dwudzieste, wczesne lata trzydzieste i późne trzydzieste są zrównane, podczas kiedy antysemityzm zaczyna być siłą aktywną w kołach literackich i artystycznych dopiero w tym trzecim okresie. Leśmian umarł w roku 1937 (rzeklibyśmy: w porę). Według autorki pogrzeb mógł się odbyć dopiero w dwa tygodnie po śmierci, z powodu strachu Akademii przed możliwymi antysemityckimi wybrykami. Profesor Wiktor Weintraub w swojej recenzji z książki w *The Slavic Review* udowadnia na podstawie dokumentów, że informacja ta nie odpowiada prawdzie. A więc nawet

te lata, które dają dość podstaw do mówienia o antysemityzmie, nie są przedstawione przez p. Stone w ich rzeczywistej a nie urojonej dotkliwości.

Związki Leśmiana z symbolizmem rosyjskim zdają się być przez autorkę udowodnione i stanowią najciekawszą część książki. Dopiero po dłuższej refleksji wynik przedstawia się jako wątpliwy. Studia slawistyczne muszą dzisiaj borykać się, podobnie jak wszelkie studia, z nadmiarem słowa drukowanego. Żeby zapoznać się np. z samą literaturą rosyjską trzeba przeczytać mnóstwo, i czasu już nie starcza na czytanie Francuzów czy Anglików. Wygląda na to, że autorka przypisuje symbolizmowi rosyjskiemu pewne wynalazki i sformułowania na które zdobyto się w innych krajach znacznie wcześniej i które należały następnie do ducha epoki. Leśmian ze swoich lektur rosyjskich (także z pisarzy zachodnich w rosyjskich przekładach) musiał korzystać dużo, bo był dwujęzyczny. Ale zasadniczą rolę przypisać trzeba nie pokrewieństwu intelektualnym tylko uchu, o czym pisał Pankowski. Wysunął on tezę, że Leśmian pisząc po polsku współzawodniczył z sylabotonicznym wierszem rosyjskim, starając się nadać swojemu wierszowi tę rytmiczną dobitność i „śpiewność”, jaka jest łatwa do osiągnięcia w języku o ruchomych akcentach, trudna do osiągnięcia w języku o akcencie stałym. Dodajmy, że dzieje zwrotów poetyckich zupełnie inaczej układają się w Polsce i w Rosji, przede wszystkim ze względu na odmienną naturę dwóch języków. Kolejne „awangardy” były w Polsce buntem przeciwko metryce odczuwanej jako monotonna („mazurkiem” nazywał ją już Norwid), natomiast poezja rosyjska dwudziestego wieku, również ta najbardziej nowoczesna, od Osipa Mandelstama do Josifa Brodskiego, posługuje się najchętniej tradycyjnym wierszem jambicznym.

Upór z jakim Leśmian trzymał się wiersza sylabotonicznego odsuwał go w towarzystwo Konopnickiej, jako że poeci Skamandra, mimo ich przywiązania do tradycji, wystrzegali się zbyt uporczywych śpiewanek kojarzących się ze złym okresem polskiej poezji (choć niektórzy z nich od tego nie stronili, np. Lechoń uwielbiający Or-Ota). Konflikt pomiędzy Leśmianem i „awangardową” poezją, czy z pokolenia Wata, czy z mego pokolenia, był w zakresie formy zasadniczy, i programowa wypowiedź Leśmiana, *Traktat o poezji* przeciwko mnie i moim kolegom była wymierzona, bo my właśnie według niego zarażaliśmy język codziennością, szarością, przygotowując panowanie kolektywnego „króla szczura”. W czym Leśmian miał niezupełnie rację, bo właśnie nowy idiom poetycki szukany za cenę wielu błędów miał umożliwić dzisiejsze triumfy jego poezji, już zupełnie inaczej odbieranej.

„Staroświeckość” Leśmiana przestawała razić w miarę jak współzawodniczące z jego wierszem poetyki otrzymywały piętno czasu i też z kolei stawały się staroświeckie. Ukazywał się on natomiast jako niezwykle umysł i niezwykle gatunek wrażliwości. Tutaj też widać, że nie miał, w sensie głębszym, nic wspólnego z symbolizmem rosyjskim, który jako nam współczesny odczytany być nie może i zmienił się w tło, w glebę potrzebną do pojawienia się poetów prawdziwie nowoczesnych, akmeistów, w pierwszym rzędzie Mandelsztama.

Symbolizm rosyjski jest ciemny w tonacji, przejęty tym co stanowi również rdzeń poezji Leśmiana, zagadką bytu. W tym nadrabia on podziemny żywot romantyzmu w Rosji, tłumionego przez pasję obywatelskie, tak zresztą jak i w Polsce, gdzie problematyka obecna u angielskich romantyków ok. roku 1800 pojawia się ze stuletnim opóźnieniem. Ale symboliści rosyjscy są melancholijnie liryczni i „spowiadający się”, ich brak dystansu do słowa stanowi o różnicy pomiędzy ich poezją i poezją Leśmiana. Paradoxs tego ostatniego polega na tym, że jest on znacznie bardziej od nich skrajny myślowo, że idzie o wiele dalej w wyciąganiu wniosków z religijnego i filozoficznego kryzysu, a zarazem wypowiada się przy pomocy różnych odmian humoru i ironii, przewrotny i barokowy, a w tych swoich cechach jak najbardziej polski. Zapewne, symbolizm rosyjski pod niektórymi względami był bliższy symbolizmowi zachodniemu niż Młoda Polska, która stanowi jedynie rozdział wstępny do literatury lat 1918-1939. Leśmian był na gruncie polskim wyjątkiem, ale to upoważnia najwyżej do porównania go z poetami, którzy poetykę symbolizmu ufundowali, a do nich należy przede wszystkim Mallarmé. Jednakże Rosjanie, w przeciwieństwie do Francuzów, mieli pociąg do filozofii historii, zrozumieli, skoro ich patronami byli Dostojewski i Sołowiew. Otóż Leśmian Historią przez wielkie H zupełnie się nie zajmował, podobnie jak nie zajmował się nią filozof, z którego dałoby się wywieść leśmianowską poezję, nawet gdyby nie powstała. Bo za lekkością Leśmiana, zwodniczą i odpowiedzialną w znacznym stopniu za jego literackie losy, kryje się wierność nie tyle wobec Bergsona, ile — niech wreszcie padnie to nazwisko — Schopenhauera, i zaiste świat Leśmiana to świat ślepej woli ciągle starającej się wcielić i tworzącej dla siebie wyobrażenie, zasłone Mayi. Kiedy Gombrowicz mówił o polskim niedouczeniu w filozofii, miał chyba na myśli niezdolność krytyków do znalezienia w jego utworach trwałej obecności Schopenhauera — do której przyznał się dopiero pod koniec życia. Można się zgodzić z hipotezą autorki, że Schopenhauer trafił do rąk Leśmiana w przekładzie rosyjskim. Nie ma jednak żadnego rosyjskiego poety, który by z tej lektury wyciągnął takie

wnioski jak Leśmian i był tak ambiwalentny w swoim igraniu istnieniem-nieistnieniem świata.

Z książki amerykańskiego Jezuity Malachi Martin, dobrze wtajemniczonego w sprawy watykańskie (ongis długoletni współpracownik kardynała Bea) pt. *The Final Conclave* dowiedziałem się, że Montini, znany jako Paweł VI, wychował się na pismach Jacques Maritaina i że wpływ na niego wywarło przede wszystkim dzieło *L'humanisme integral* francuskiego filozofa. Watykańska polityka „otwarcia się na świat”, która w wielu krajach doprowadziła hierarchię kościelną do pokłonenia się światu i zastąpienia religii socjologią miała swoje źródło przede wszystkim w wierności Pawła VI wobec humanizmu Maritaina. Sam Maritain w swoim długim życiu mógł oglądać jak spełniają się stopniowo jego postulaty odnowy Kościoła, choć nie tak jak oczekiwał. Był bardzo stary kiedy napisał jedną z najlepszych swoich książek: *Le paysan de la Garonne*, która, w sposób, jak to zwykle u niego, wstrząsliwy, ostrzega: „nie tędy droga!”.

Co Maritain ma wspólnego z literaturą polską? Bardzo dużo. W latach międzywojennych nie było nadmiaru przyjaźni pomiędzy środowiskiem literackim i obozem katolicko-narodowym, co dzieje dwóch poetów ilustrują dobitnie. Nie miał miu wśród literatów Jan Kasprowicz, ale za to proklamowały jego wielkość pisma prawnicowe odkąd w pokorze przyszedł do kościelnego progu. I na odwrót, Emil Zagadłowicz, długoletni współpracownik pism katolickich w Poznaniu, z chwilą swego buntu przeciwko Kościołowi i moralności katolickiej stał się bohaterem lewicy tudzież literackiej kawiarni. Otóż pisma Maritaina były pierwszą zapowiedzią przesunięć w tym układzie sił, można z nich było odgadnąć układ nowy, w którym słowa „katolik” i „prawicowiec” przestałyby być synonimami. Co prawda czytywały Maritaina w Polsce wąskie koła i może ze snobizmu. Niemniej ten snobizm już był znamieny i stanowił otoczkę dla autentycznego obcowania z autorem. I nie bez udziału tych lektur zaczęły się krystalizować nowe ośrodki: środowisko intelektualne Lasek, pismo *Verbum*.

Dwaj studenci Henri Bergsona na Sorbonie przed pierwszą wojną, Etienne Gilson i Jacques Maritain mieli stać się odnowicielami tomizmu w dwudziestym wieku. Na ile ich dzieło będzie trwałe, trudno orzekać teraz, kiedy tomizm jest w odpływie. W każdym razie u Maritaina wolno widzieć też polityczny odcień jego działalności: próbował on odebrać Tomasza z Akwinu tym wszystkim, którzy powoływali się na niego uzasadniając rządy

„autorytarne”, jak w Portugalii Salazara. W tej to funkcji imię Tomasza z Akwinu ukazywało się też często w Polsce na łamach *Prosto z mostu*.

Moja długoletnia znajomość z pismami Maritaina, czytany po francusku, musiała zostawić trwałe ślady i wiele mu zawdzięczać, choć nie powiem, że bym był naprawdę entuzjastą jego przemyślnych konstrukcji. Jako czytelnik działałem nieraz pod narzuconym sobie przymusem, prawie tak, jak siedząc nad podręcznikiem prawa rzymskiego. I podobnie jak nauka prawa rzymskiego, musiała ta lektura działać profilaktycznie, chroniąc od przeróżnych filozofii bez głowy i ogona. Maritain w naszym stuleciu reprezentował zresztą to, co było zawsze głównym przedmiotem ataków (nieraz słusznych) na katolicyzm ze strony myślicieli prawosławnych: rygor sylogizmu i przeróżnych cienkich *distinguo*.

Po upadku Francji w 1940 roku Maritain stał się jedną z głównych postaci wśród Wolnych Francuzów. Przybywał na kontynencie północno-amerykańskim i napisał tam książkę wymierzoną przeciwko kolaboracji z Niemcami. *A travers le désastre* (której maszynopis dotarł szybko do Warszawy i która ukazała się w roku 1942 w moim przekładzie pt. *Drogami klęski*). Jego pobyt na wygnaniu w Ameryce (Montreal, Princeton) bardzo mnie po wojnie interesował i natrafiłem gdzieś na wzruszający jego opis swojskości, jaką czuł wszędzie gdzie się znalazł, dlatego że gdziekolwiek poszedł do kościoła, wszędzie odprawiana była ta sama msza po łacinie. I jeżeli się zważy, że zniesienie liturgii łacińskiej stało się dziełem jego ucznia, Pawła VI wbrew woli większości biskupów zgromadzonych na Drugim Soborze Watykańskim i dopiero po Soborze, trudno nie pomyśleć, że choćby ktoś trudził się całe życie, zbierze niezupełnie to, czego pragnął.

Czesław MIŁOSZ

Archiwum polityczne

Zbliżenie chińsko-amerykańskie

Prezydent Carter, od samego początku swej kadencji, zadeklarował swobody obywatelskie jako jedną z najważniejszych dyrektyw w swej polityce wewnętrznej i zagranicznej. Choć w rozmaitych okresach, w zależności od mnóstwa krzyżujących się okoliczności, Carter grał na owej strunie wolnościowej głośniej lub ciszej, swobody obywatelskie uznane zostały jako oficjalna misja Ameryki. W ten sposób nowy prezydent miał zideologizować swój kraj i uwolnić go od cynicznego pragmatyzmu swych poprzedników.

Brzmiałoby to wszystko niezmiernie pięknie, gdyby nie rzucające się od pierwszego momentu zjawisko. To mianowicie, że Carter stosuje ową misję wolnościową Ameryki wybiórczo. W związku z tym nasuwają się co najmniej dwa pytania: jakie są kryteria selekcji w wyborze państw, które mają być obiektem wolnościowej misji Ameryki i jak na to reaguje szeroka publiczność tego kraju? Zacznę od odpowiedzi na drugie pytanie.

Szerokiej publiczności, która martwi się niespotykaną w dziejach Ameryki inflacją i spadkiem dolara, nie interesują nadmierne ideologiczno-religijne pragnienia prezydenta, Martwią ją głównie podatki, rosnące koszty utrzymania, przestępczość i brak bezpieczeństwa na ulicach miast. A ponieważ nie widzi ona żadnego związku między tymi problemami a liczbą aresztowanych w Chile lub na Kubie, nie wydaje się, by traktowała swego prezydenta zbyt poważnie. Tak powstał w przeciętnych amerykańskich oczach wizerunek człowieka chwilowego, który marząc o przewodnictwie Ameryki w świecie, nawet nie może dać sobie rady ze swymi współpracownikami, sprowadzonymi do Białego Domu z rodzinnej Georgii, z którymi ma ustawicznie kłopoty. Ale poza tzw. szeroką publicznością istnieje jeszcze inna — wąska — a więc elita intelektualna — czyli co najmniej ponad

pół miliona dziennikarzy, polityków, biurokratów i nie biurokratów, naukowców-humanistów i im podobnych. Tu kształtują się coraz wyraźniej dwa fronty, które oceniają wybiórczą politykę swobód obywatelskich według własnych sympatii. Te dwie dominujące grupy reprezentują antagonistyczne prądy polityczne. Oczywiście podział nie przebiega ostro, ponieważ prawie zawsze w takich sprawach podziały są z lekka zamazane.

Generalnie, ta pierwsza grupa — to liberałowie o rozmaitym nasileniu lewicowości. Druga — to neo-konserwatyści. Nie przykadam tu wielkiej wagi do tego jak dalece „neo-konserwatyści” są konserwatywni i jak dalece „liberałowie” są liberalni. Chodzi tu przecież o roboczą nomenklaturę podziału politycznego.

Reakcje tych dwóch grup łatwo przewidzieć: liberałowie wysuwają swój stary argument w formie pytania: dlaczego to Carter chce pozbawić Sowietów dobrodziejstw technologii amerykańskiej w odwet za skazanie Szczarańskiego i Ginzburga i przesładowanie dysydentów, a przynyma czy na dyktaturę chilijską i ogrutnego generała Pinocheta? Dlaczego potępia Kubę za to, że jest ramieniem zbrojnym Sowietów w Afryce, a feudalną Arabię Saudyjską wyposaża w samoloty i nie ma za złe szachowi Iranu jego barbarzyńskich rządów? Oczywiście zadający te pytania znają dobrze odpowiedź, ale chcą prezydenta postawić w kłopotliwej sytuacji i przycisnąć go do muru, żeby powiedział o co tu właściwie chodzi. Ale on nie chce i przeważnie nie odpowiada. A jeżeli odpowiada, to niezbyt mądrze. Nie osobiście, ale ustami swych doradców*.

Druga grupa — neo-konserwatyści — zarzuca swym liberalnym kontrahentom, nie bez racji, że co innego tolerowanie dyktatur z których wiele w ciągu ostatniego piętnastolecia się rozpadło, a co innego dyktatury komunistyczno-totalitarne. Te ostatnie okazują zadziwiającą trwałość jako, że żadna nie zdołała się zatamować w ciągu wielu lat swego istnienia. I to niekoniecznie z racji kontroli Kremla, ale — jak w wypadku Kuby, odległej o tysiące mil od Moskwy — z innych powodów. Argumentu, że Kubańczycy lubią swój totalitarny system i że dlatego jest tak trwały, nikt nie zaakceptuje, ponieważ nigdy się o to Kubańczyków nie pytało. Zresztą, czy w ogóle warto się pytać, skoro w komunistycznych systemach 95 % mieszkańców wie, że należy tak głosować jak władza sobie życzy?

* Przykładem odpowiedzi jednego z jego współpracowników: „Skoro nie możemy osiągnąć potężnych państw i zmusić ich władców do respektowania praw obywatelskich, stosujemy naszą presję tam, gdzie ma ona szanse działania. Innymi słowy — w stosunku do słabszych państw, które bardziej muszą się z nami liczyć”. Oczywiście, wymieniona zasada, którą słusznie potępił w swym przemówieniu harwarskim Sołżenicyn, jest wysoce niemoralna. W przełożeniu na stosunki wewnętrzne, oznaczałaby np., że z konieczności należy wybaczyć wielkim i wpływowym złodziejom, łapiąc natomiast ze szczególną zajądlnością drobnych rzezimieszków.

Mimo, że z punktu widzenia zdrowego rozsądku, raczej neo-konserwatystów wydają się bardziej przekonywujące, niepodobna odmówić pewnej słuszności tym pierwszym — tzn. liberałom — że ich podejrzliwość wobec pragnień wolnościowych Cartera jest uzasadniona. Podejrzewają go zresztą o to wszyscy. Tyle tylko, że jedni woleliby widzieć wyzwolone Chile, Argentynę i Iran, nie bardzo dbając o resztę, a drudzy — Sowiety i ich satelitów, również nie przejmując się zbytnio losem południowoamerykańskich sąsiadów, a tym mniej — Persów lub Filipińczyków. Ze stosunkowo największą dyskrecją i wstrzemięźliwością odnoszą się obydwie strony do Chińskiej Republiki Ludowej — państwa najbardziej totalitarnego (jeśli pominąć Kambodżę, w której odbywa się gigantycznych rozmiarów rzeź, ale w sposób chaotyczny czyli bez totalitarnej systematyczności).

Najsakrajniejsi konserwatyści amerykańscy domagali się do niedawna tej samej surowości w stosunku do Chin, ale ostatnio i oni przycichli. I słusznie. Bo przecież wszyscy dobrze wiedzą o co chodzi. I ci konserwatywni i liberalni, a najbardziej Zbigniew Brzeziński. Ten ostatni nie tak dawno temu, po swym pobycie w Chinach, powiedział w krótkim wywiadzie radiowym, „że w naszych czasach nie chodzi ani o doktryny ani o ideologie, ale o wolność człowieka” (cytuje z pamięci, ale taki był sens jego oświadczenia). Brzeziński powiedział to bezpośrednio po zaoferowaniu ChRL w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych kredytów, technologii amerykańskiej i wszelkiej możliwej pomocy. Za to należy się prof. Brzezińskiemu najwyższa pochwała. O zagadkowej wolnościowej retoryce możemy zapomnieć. Prof. Brzeziński okazał się bowiem najbardziej zdecydowanym rzecznikiem maksymalnego ściśłego zbliżenia z Chinami, co doprowadziło rządzące koła sowieckie do furii. Brzeziński, który jeszcze rok temu dumał jak wyciągnąć Amerykę „z wrogiego otoczenia” w jakim się znalazła na świecie, doszedł do trafnego wniosku — skądinąd od dawna oczywistego — że niepodobna tego przeprowadzić bez ChRL. Jeśli jednak ChRL — najbardziej totalitarne państwo świata — nie może być objęta misją wolnościową Stanów, to wypada uznać, że cała carterowska filozofia swobód obywatelskich jest albo dymną zasłoną albo wypadkową — z jednej strony gasnących, ale wciąż jeszcze potężnych wpływów liberalnej lewicy, a z drugiej — wzmagającym się z każdym miesiącem, trzęsącym spojrzeniem na ambicje Sowietów i stopniowym wyzbywaniem się złudzeń. Osobiście wydaje mi się, że teoria „dymnej zasłony” jest zbyt prymitywna do przyjęcia. Z tego powodu myślę, że postępowanie Cartera — jego ostre wystąpienia antysowieckie, które z reguły przy następnej okazji stara się złagodzić, są zderzane dwoma czynnikami: 1) Rosnącej świadomości zagrożenia ze strony Sowietów i poczuciem własnej czyli amerykańskiej niemocy, 2) obawą przed opinią liberalną Ameryki i Zachodniej Europy, niestrudzonej w swych wysiłkach rozbrojenia moralnego i militarnego narodów Zachodu.

Paraliż Ameryki, niezdolnej do obrony, jest już chyba nie

tylko następstwem powietnamskiego „szoku”, jak w to wierzyli niektórzy niepoprawni optymiści. Ma on swe wielorakie przyczyny, typowe dla okresu przekwitania pewnych ustrojów. Wiedzą o tym chińscy przywódcy, powinien wiedzieć o tym Carter, tak jak powinni to dostrzec od dawna wszyscy rozsądni i myślący ludzie, nie obdarzeni nawet duchem wizjonerskim Sołżenicyna. Zliżenie z Chinami, które chyba nigdy nie przybierze formy formalnego sojuszu (z racji Tajwanu), przekreśli raz na zawsze globalne plany Sowietów i być może uratuje świat od Trzeciej Wojny. Wraz z obniżeniem prestiżu i potęgi sowieckiej spowodować może wzmocnienie ruchów odśrodkowych wewnątrz imperium, doprowadzając do jego rozpadu, przy uniknięciu ogólnoswiatowej katastrofy. Jest to alternatywa optymistyczna, która ma cechy prawdopodobieństwa.

Sama koncepcja aliansu z Chinami zabrzmieć może u niejednego jej krytyka jako rozwiązanie niezmiernie cyniczne, podważające całą retorykę wolnościową Cartera i jego doradców. Przy tej bowiem propozycji 800 milionów Chińczyków, trzymanych w żelaznej dyscyplinie, stanowić będzie coś w rodzaju „mięsa armatniego” dla amerykańskich technologów wojny. Przynajmniej tak długo póki Amerykanie nie przekonają się, że w obrobie własnej wolności krew amerykańska czy zachodnioeuropejska nie jest cenniejszą od krwi Azjatów. Jeśli jednak ten gatunek aliansu nazwie ktoś cynicznym i barbarzyńskim, to realiści w Pekinie doskonale rozumieją jego konieczność. Pojmują oni sytuację w jakiej znalazł się Zachód ze swą wysoko rozwiniętą technologią i całkowitą indolencją do samoobrony. Wspólnego wroga — Sowiety — trzeba zniszczyć — inaczej czeka nas wspólny grób lub niewyobrażalna w swej potwornej beznadziejności niewola.

Konieczność liczenia się z opinią liberalną Zachodu, która nie chce dostrzec niebezpieczeństwa imperializmu sowieckiego, zmusza Cartera do szeregu posunięć, które przy zbliżającym się widmie sowieckiego zniewolenia świata, wyglądają jak czyste nonsensy. One to skłaniają go do utrzymania tak niewiarygodnej osobistości jak Andrew Young. One narzucają mu konieczność sankcji ekonomicznych wobec Południowej Rodezji i Argentyny. Te właśnie posunięcia dowodzą, że Carter wciąż jest jeszcze daleki od pełnego rozeznania niebezpieczeństwa sowieckiego jako zasadniczej sprawy, której powinny być podporządkowane wszelkie inne cele zagranicznej polityki amerykańskiej. Podział pomiędzy liberalną lewicą a neo-konserwatystami, który oddziela jednych Amerykanów od drugih, znajduje swe odbicie w rozdwojonej osobowości Cartera. Prezydent Stanów Zjednoczonych przechodzi ewolucję, wciąż jeszcze nie będąc w stanie dostrzec imperializmu sowieckiego w jego realnych kształtach. Nie trudno tu zauważyć, że właśnie prof. Brzeziński jest człowiekiem umacniającym ten realizm, zaś Cyrus Vance, Marshall Shulman i ich pomocnicy — zawodowcy od zbankrutowanego *détente*, są rzecznikami chowania głowy w piasek.

Carter i ci jego doradcy, którzy trzeźwo oceniają plany sowieckie, wspierają dysydentów w Sowietach i krajach satelickich nie tyle z racji swych sympatii dla ludzi walczących o swobody obywatelskie, ale również z powodów czysto praktycznych. Liczą na siłę rozsądzającą tych ruchów. Wprawdzie główną kartą strategiczną Ameryki mają być Chiny, ale opozycji wewnątrz sowieckiego imperium nie można lekceważyć. Dysydenci więc w Sowietach i w krajach satelickich mają pełnić rolę „piątej kolumny”, która pomoże rozbić imperium w wypadku, gdyby Kreml zdecydował się, bądź na militarną konfrontację, bądź próbował odciąć Zachód od dostaw ropy.

Trudno w tej chwili przewidzieć wszystkie możliwe ewentualności i poddawać się zbyt łatwym analogiom. Z dziejów jednak Drugiej Wojny Światowej wynikają cenne doświadczenia, ważne tym razem nie tylko dla Polaków, Czechów i Węgrów, ale — w proporcji do rozmiarów wyłaniającego się konfliktu — dla całej Europy. Chiny — ludnościowy gigant, który wchodził po woli na tory rozwoju industrialnego, nie hamowanego już fantastycznymi eksperymentami „rewolucji kulturalnej”, mogą w przyszłości, przy rosnącej pomocy amerykańskiej, pretendować do rangi najpotężniejszego mocarstwa świata. Przy potencjale demograficznym, mrówczej pracowitości i niezaprzeczalnym bogactwie talentów tego narodu, perspektywa taka jest zupełnie możliwa. Być może więc, że na przełomie XX-go i XXI-go stulecia Chiny wystawią Zachodowi podobny rachunek, jaki wystawiła po Drugiej Wojnie światowej Rosja. Tym razem jednak, przy nowych proporcjach, ceną będzie nie dominacja nad kilkoma narodami Europy Wschodniej, ale nad całą wschodnią półkulą. Mimo tego możliwego, a nawet wysoce prawdopodobnego ryzyka, jaki pociąga za sobą antysowiecki sojusz z Chinami, nie wydaje się, aby pozostawała jakaś inna alternatywa. Zachód sam sobie zamknął drogi obrony przed Rosją. Jeszcze 15 lat temu, przy relatywnie słabych militarnie Sowietach, mógł z łatwością ukrócić samodzielnie ich globalne apetyty. Obecnie jest już za późno. Musi działać w koncercie z potężnymi narodami Dalekiego Wschodu. Dla przyszłego zabezpieczenia się przed potęgą Chin, wypadałoby wprowadzić do naszych rozważań — Japonię — jednego sojuszników Zachodu, cywilizacyjnie bardziej związanego z Europą niż jakikolwiek inny naród azjatycki, lekko-myślnie rozbijoną przez Amerykę po Drugiej Wojnie światowej. Rola Japonii, której wiele uwagi poświęcił w swej publicystyce prof. Brzeziński, jest tematem zbyt rozległym, by mieścić się w ramach niniejszego artykułu.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork 1 sierpnia 1978 r.

Stała restalinizacja

Prezydentura Cartera, bardzo kontrowersyjna na Zachodzie, w społeczeństwach żyjących pod uciskiem sowieckim, oceniana jest o wiele życzliwiej. Bodaj po raz pierwszy od lat trzydziestu trzech Sowiety znalazły się politycznie w defensywie. Sprawili to przede wszystkim carterowski program walki o prawa człowieka. Idealnie trafił on w potrzeby społeczeństw Europy Wschodniej i zbiegł się z ostrymi przejawami kryzysu systemu komunistycznego, prowadząc w konsekwencji do umocnienia się ruchów opozycyjnych.

Nie mniejsze znaczenie psychologiczne dla społeczeństw krajów Europy Wschodniej miała próba Cartera przeciwstawienia się sowieckiej ekspansji, w której Angola odegrała chyba rolę przełomową. Szok wywołany agresją kubańską w Angoli musiał uzmysłwić Rosjanom, że dalsza ekspansja może nie być bezkarna, a ich wspólne z Kubańczykami osiągnięcia w Afryce poruszyły wreszcie Zachód i przede wszystkim USA ze zdumiewającego immobilizmu, z wygodnego, ale krótkowzrocznego letargu.

Rosjanie zdają sobie jednak doskonałe sprawę z chwiejności polityki USA, widocznej szczególnie w dziedzinie zbrojeniowej, jak zwykle dla nich najważniejszej, ale i najdelikatniejszej. Mająca tu z pewnością największe znaczenie sprawa broni neutronowej, niwelującej znaczenie sowieckiej przewagi pancerniej w Europie, obnażyła słabość i chwiejność nie tylko USA, ale i jej zachodnich sojuszników. Ich wojskowi specjaliści akceptowali najpierw program broni neutronowej, a potem politycy głośno się z niego musieli wycofać w obawie wstrząsów wewnętrzno-politycznych. Wreszcie sprawę odłożono i, jak się wydaje, główne ryzyko decyzji przerzucono na Cartera. A w USA są sprzeczne tendencje w dziedzinie polityki zagranicznej i zbrojeniowej. Broń neutronowa jest naturalnie złem samym w sobie, jak każda broń nowa, wydłużająca spiralę zbrojeniową. Ale skoro wysiłki zbrojeniowe nie przynoszą poważniejszych sukcesów, poza swego rodzaju rejestracją osiągniętych pułapów przez obie strony, to nowe, neutronowe ogniwo spirali zbrojeniowej, równoważące przewagę jednej ze stron, może w pewnej sytuacji być bezpieczniejsze niż utrwalenie się braku zrównoważenia sił. Nie ma mowy, aby ktokolwiek rozumny godził się łatwo na wprowadzanie nowych broni, ale w końcu wszyscy wiedzą, że Rosja to prowokuje, a Zachód znajduje się w sytuacji koniecznego przeciwdziałania. Choć wszystkie te sprawy okryte są pewnym marnym tajemnicą wojskowej, to jednak nie trzeba być ekspertem militarnym, by zdawać sobie sprawę, że Ameryka nie równo-

ważąc obecnie potencjału sił militarnych z Sowietami, poniesie tego skutki i po krótkim okresie czasu stanie wobec jakiejś konfrontacji narzuconej przez rozzuchwalonego przeciwnika.

Być może Carter zbyt wiele wymaga od popadłego w kwiaty Zachodu i własnego społeczeństwa i w konsekwencji przegra następne wybory, ale żaden z przyszłych kierowników polityki amerykańskiej nie będzie mógł ominąć problemów, wobec których stanęła obecna administracja. Poza zagadnieniami polityki zbrojeniowej i potrzeby sprzeciwu wobec dalszego ekspansjonizmu Sowietów, na czoło wysuwa się tu sprawa użycia karty chińskiej w polityce światowej, i solidarności z USA jej partnerów europejskich i japońskiego.

Wszystko to są problemy otwarte, a one właśnie zadecydują o dalszym biegu spraw na świecie. Sowiety nierozstrzygnięcie tych spraw po swojej myśli uznały za odejście od polityki współistnienia i powrót do polityki zimnej wojny, choć Zachód w gruncie rzeczy nie obrał jeszcze swej linii i jak można się domyślać będzie kluczył i poszukiwał półśrodków i kompromisów.

Sowiety uznały jednak, że wkroczyliśmy w okres napięcia międzynarodowego i przyhamowane w swoich zapędach ekspansjonistycznych, koncentrują się na wielkiej kampanii propagandowej w duchu pokojowym, by utrudnić Zachodowi swobodę ruchów i zamącić obraz prawdy w oczach szerokiej opinii publicznej. Któryż to już raz z rzędu po wojnie? Jednocześnie Rosjanie coraz bardziej twardą ręką rządzą w krajach od siebie zależnych, motywując to wobec rządów satelickich — zagrożeniem wynikającym z sytuacji międzynarodowej. Pod tym względem Sowiety są zresztą niezawodne, bo także odprężenie sytuacji międzynarodowej, a szczególnie okres po konferencji w Helsinkach, wykorzystano dla przykręcenia śruby nacisku na kraje satelickie. Wtedy to przecież zmieniano konstytucje w krajach Europy Wschodniej, gwarantując rządy komunistów i wpływy ZSRR prawem konstytucyjnym. W Polsce zostało to przeprowadzone w sposób najmniej konsekwentny z powodu spontanicznego oporu społeczeństwa, a szczególnie intelektualistów i Kościoła katolickiego.

Z powojennego rozwoju sytuacji międzynarodowej nasuwa się jeden niewątpliwy wniosek: *możemy liczyć tylko na siebie*. Przy najmniej tak długo, jak długo będzie utrzymywał się obecny układ sił światowych, ograniczający do minimum skuteczny nacisk Zachodu, a szczególnie USA na Moskwę i rządy satelickie.

Wszystkie dotychczasowe rozluźnienia ucisku społeczeństwa przez system sowiecki w Polsce nastąpiły nie w wyniku presji sytuacji międzynarodowej, lecz w wyniku naporu społeczeństwa, przed którym musiały się cofać rządy w Warszawie i ich moco dawcy w Moskwie. Tak było kolejno w roku 1956 (Poznań i przełom październikowy), w roku 1968 (zaburzenia studenckie), w roku 1970 (krwawe wydarzenia na polskim wybrzeżu) i w roku 1976 (rozruchy w Radomiu i Ursusie i strajk powszechny w kraju). Obecna sytuacja tym różni się jednak od poprzednich,

że od wydarzeń czerwcowych roku 1976 nacisk społeczeństwa na rządzących nie ustał. Mamy do czynienia z zupełnie nową sytuacją, z której teoretycznie są tylko dwa wyjścia. Albo partia ponownie wejdzie na drogę terroru, aby złamać prądy opozycyjne, albo też zdecyduje się na rzeczywiste ustępstwa wobec społeczeństwa.

Na ogół wiadomo, że Gierek nie chciałby żadnego z tych dwóch rozwiązań i próbuje selektywnym półterrorem zmęczyć i zniechęcić ruch opozycyjny. Wiadomo także, że w Rosji — wobec zbliżającego się nieuchronnie odejścia Breżniewa — górę biorą jastrzębie i linia twarda. Zarysował się więc wyraźny nacisk sowiecki na partię polską, żeby w końcu zdecydowała się na ostrzejsze kroki. W kołach zbliżonych do Komitetu Centralnego partii mówi się, że zmiana ambasadora sowieckiego w Warszawie otwiera nowy okres rozprawy z opozycją. Nie dlatego, aby towarzysz Piłotowicz nie robił w tym zakresie, co mógł, ale by dokonać jakościowej zmiany polityki i ostentacyjne interwencje ambasadora zastąpić środkami bardziej efektywnymi. Bardzo o to jednak trudno, gdyż coraz beznadziejniejsza sytuacja gospodarcza PRL i obawa przed rozdrażnieniem społeczeństwa, w gruncie rzeczy paraliżują kierownictwo partii. Po prostu boi się ono jakiegokolwiek ruchu i ogranicza się głównie do akcji policyjnych, tamujących działania opozycji, i do akcji propagandowych. Te ostatnie są szczególnie nieudane i — jak w wypadku lotu kosmicznego podpułkownika Hermaszewskiego — całkiem rozmiągają się z oczekiwaniami społeczeństwa, zainteresowanego bardziej tym, co dzieje się na ziemi niż w sowieckim kosmosie.

Pewne napięcie sytuacji międzynarodowej i niekończące się załamanie gospodarcze w kraju wywołują na szczytach PZPR pierwsze oznaki pęknięcia i zmian. W kierowniczych kołach partyjnych dyskutuje się ostatnio konsekwencje sytuacji międzynarodowej. Choć zachodni specjaliści od dobrych kilku lat uważają, że na przewencyjną wojnę Rosji przeciw Chinom jest już za późno, w PZPR albo wierzy się albo głosi w celu przestraszenia własnego aparatu, że właśnie zanoszą się na taką wojnę. Drugi jeszcze bardziej sensacyjny pogląd, głoszony bądź z przekonania, bądź też ze względu na psychologiczne oddziaływanie na opinię, przewiduje niebezpieczeństwo zjednoczenia Niemiec i nowego Rapallo. Na kierownikach warszawskiej centrali olbrzymie wrażenie zrobiła rozmowa Breżniewa ze Straussem, przedstawianym dotąd w PRL jako wcielenie diabła. Propaganda partyjna znalazła się zresztą w kwestii niemieckiej w przysłowiowej kropce. Opierała się bowiem dotąd na bezustannym straszaniu rewizjonizmem zachodnoniemieckim. Zresztą praktykuje to i nadal, licząc raczej naiwnie na wieczne resentymenty społeczeństwa, które akurat kierują się w zgoła przeciwnym kierunku. Tymczasem coraz trudniej jest robić propagandę antyniemiecką, gdy Helmut Schmidt wyraźnie różni się od zniechęconego w PRL Cartera. Przecież Niemcy nie mogą być dobre dla ZSRR, a złe dla PRL. Wobec tego w Komitecie Centralnym zaczął

straszyć duch Rapallo i „groźba” zjednoczenia Niemiec. A i tu, jak na ironię, Polskie Porozumienie Niepodległościowe ogłosiło właśnie dwa dokumenty z tezą, że niepodległość Polski związana jest ze zjednoczeniem Niemiec. Propaganda daje temu pośredni odpór m.in. piórem niezawodnego Ryszarda Wojny w *Trybunie Ludu*, głoszącego niespodziewanie „nowatorską” tezę, że nasza niepodległość jest zagrożona przez RFN i ma widoki tylko dzięki sojusznikowi z ZSRR. Ale przecież tak pisano trzydzieści lat temu, w międzyczasie przyjaźń z ZSRR tyle razy już okrzepła i wzmacniała się, że dziwi powracanie na całego do straszaka niemieckiego. Jest to zrozumiałe tylko w kontekście dokumentów PPN'u, które znalazły już echo w RFN, m.in. w najbardziej reprezentacyjnym tygodniku tego kraju *Die Zeit*.

Propaganda to jedna sprawa, a polityka druga. W polityce idziemy pełnym kursem w stronę stałego uzależniania się od Sowietów. Rosjanie musieli pomóc PRL w spłacie w dewizach rat kredytów i procentów i biorą natychmiast rekompensatę z tego tytułu. Polski przemysł okrętowy ma pracować praktycznie tylko na ich potrzeby. Podobnie będzie z wieloma innymi gałęziami gospodarki. W Warszawie dawno nie było tylu rządowych wizyt sowieckich. Przyjeżdżają głównie ministrowie resortów gospodarczych, z jedną z sowieckich szarych eminencji wicepremierem Katuszewem na czele. Trwają gorączkowe konsultacje w ramach RWPG. Ekipa Gierka dostaje się coraz bardziej w sowiecką niewolę gospodarczą. Wymiana handlowa w ramach obozu, a szczególnie z Rosją, przeważała już procentowo dotąd dość pokaźny handel z Zachodem. Tymczasem specjaliści PRL nie ukrywają, że żeby ekipa Gierka mogła rządzić, potrzebuje rocznie dwu miliardów dolarów dalszych pożyczek z Zachodu, głównie z USA. W związku z tym Gierek marzy o możliwie szybkiej rewizycie u Cartera w USA, a jego ambasador w Waszyngtonie, Spasowski, dobija się nader często do oplukanego w prasie PRL profesora Brzezińskiego.

PRL ma już na Zachodzie ponad 14 miliardów dolarów długu. Banki są skłonne dawać dalsze kredyty, gwarantowane przez rządy zachodnie. Rządy zachodnie chciałyby, żeby w Polsce był spokój, lub żeby one miały spokój z Polską. Wobec tego wygląda na to, że PRL dostanie jeszcze przez trzy lata po 2 miliardy dolarów. Niczego to jednak nie rozwiąże. Sam Jaroszewicz przyznał ostatnio w sejmie, że tylko na zakup zboża PRL potrzebuje ponad miliard rocznie, czyli więcej niż wynosi dochód z rocznego eksportu węgla. Jeśli do tego dodamy obciążenia z tytułu rat kredytów i odsetek i stale negatywny bilans handlu zagranicznego PRL z Zachodem staje się oczywiste, że nawet gdy zadłużenie PRL wzrośnie do 20 miliardów dolarów, stan gospodarki polskiej nie ulegnie większej poprawie. Dlatego Zachód powinien realistycznie traktować swoją dalszą pomoc finansową dla Gierka, obwarowując ją warunkami nie tylko z zakresu praw człowieka, ale także dotyczącymi polityki gospodarczej, wiecznie niedomagającej ekipy rządzącej w Polsce. Tylko bowiem natychmiastowa

i daleko idąca zmiana polityki rolnej i niezbędne reformy gospodarcze w przemyśle, nie zaś mniej lub bardziej rzeczywiste manewry i tricky propagandowe, mogą coś zmienić. Nadzieje na to zresztą zdecydowanie maleją, co wynika zarówno z rosnącego uzależnienia politycznego i gospodarczego od ZSRR, jak i ze związanych z tym fluktuacji personalno-politycznych w górze partyjnej.

Na Zachodzie mówi się często: ekipa Gierka. Czy słowa te odpowiadają jeszcze rzeczywistości? Bez wątpienia w coraz mniejszym stopniu. System sowiecki ma swoje żelazne prawa. Gierek jest coraz bardziej „robiony w konia”, podobnie jak dzie sięć lat temu Gomułka. I-szy sekretarz nawet tego nie zauważa, bo zakulisowe czynniki sowiecko-polskie otaczają go stale rosnącym kultem jednostki. Stwarza się wokół niego atmosferę człowieka niezastąpionego i ojca narodu. I dostarcza mu się zajęć ponad siły jednego człowieka. Gierek niemal codziennie ma spotkanie w innym województwie, w innym zakładzie pracy. W Warszawie obciąża się go bezcelowymi zajęciami protokolarnymi, bezceremonialnie używa do odbywania i przyjmowania propagandowych wizyt i spotkań, nasyła mu się tyłu ludzi bez znaczenia, że zajęciom swoim z trudem może podołać, a sam coraz częściej przyznaje, że nie wie o wielu sprawach dziejących się w kraju. Po części jest to wszystko intrygą zakulisowych czynników sowieckich i ich protegowanych w partii, a po części rezultatem działania systemu biurokratycznego, stojącego się celem samym dla siebie. Choć Gierek sam wyrósł w tym systemie i ma się za starego spryciarza, a nie jedynie za mędrca i ojca narodu, to jednak mechanizm systemu jest silniejszy od niego. Szczególnie że najbardziej zaufana „ekipa Gierka” ulega erozji, a wokół I-go sekretarza jest coraz więcej ludzi służących nie tylko jednemu panu. Właściwie już odejście z sekretariatu KC najpierw Tejchmy, a potem Szydlaka i Barcikowskiego oznaczało wybitne osłabienie pozycji Gierka. W międzyczasie ujawniło się, że jego formalny zastępca Edward Babiuch, także ze Śląska, odgrywa w partii kluczową i w dużej mierze niezależną od Gierka rolę polityczną. Jaroszewicz starzeje się, jest straszliwie niepopularny i rolę nadzorcy przejmuje coraz częściej Babiuch. Uchodzi on za jednego z najmniej inteligentnych ludzi w kierownictwie partii, ale jego pozycja zdecydowanie rośnie, bo jest wykonawcą zakulisowych czynników sowieckich. Babiuch jest obok Jaroszewicza i Wrzasczyka głównie odpowiedzialny za nieodpowiedzialną podwyżkę cen w czerwcu 1976 roku. Żadnemu z nich włos nie spadł z głowy z tego powodu i oni trzej trzymają lejce partyjnej polityki gospodarczej, robiąc swoje, to znaczy wprowadzając drańskie podwyżki cen stopniowo, skrycie, ale bardzo konsekwentnie. Drogą okólną zdziałali już nie mniej niż chcieli jednorazowo. Przerzucili na barki społeczeństwa wszystkie koszty nie tyle gierkowskiego, co sowieckiego „dynamicznego rozwoju”, czyli forsownego uprzemysłowienia nie dla potrzeb społeczeństwa, lecz dla potrzeb Sowietów. Ci trzej

ludzie wspólnie z Jagielskim i kilkoma innymi decydują arbitralnie o polskiej gospodarce, o jej kadrach, priorytetach itp. Odpowiedzialny formalnie za sprawy gospodarcze sekretarz KC Olszewski jest wyraźnie na bocznych torze, przyszła mu bowiem do głowy myśl powiedzenia opinii, jak źle jest naprawdę, co w oczach sowieckich speców było dowodem niezwyklej naiwności. Olszewski jest chyba dość odosobniony w KC, jest to jego słabością, ale i siłą zarazem, gdyż stanowi teoretycznie jakąś alternatywę.

Na wielkiej fali płyną natomiast obok Babiucha osławiony Łukaszewicz, który idealnie zsołwizował propagandę, cichy Jaruzelski, ziemiański syn oddany Sowietom i posiadający ich zaufanie, oraz tajemniczy Kania, nadzorca bezpieczeństwa i Kościoła. Można już dzisiaj przewidzieć, że ci ludzie przyniosą Gierkowi nie mniejsze kłopoty niż gospodarowanie Jaroszewicza i Wrzasczyka, oraz partyjna polityka Babiucha. Łukaszewicz zraził do partii cały świat kulturalny. Jego nowy minister kultury Nайдowski w całej swej przeszłości nie miał nic wspólnego z kulturą, natomiast wszystko z aparatem. Co prawda mówi się że jest zręczny. Sytuacja partii wśród twórców jest tragiczna. Przykładem były nagrody państwowe dla Żukrowskiego i Osmańczyka, czyżby rządzący nie mieli poza nimi już rzeczywiście nikogo? Kania zabłysnął niespodziewanie w końcu zeszłego roku, jako efektowny realizator próby przeciwstawienia Kościoła opozycji demokratycznej, autor wizyty Prymasa Wyszyńskiego u Gierka i Gierka u papieża. Tenże sam Kania niedługo potem zaczął odgrzewać ruch „księży patriotów”, najbardziej osławiony stalinowski instrument rozbijania Kościoła. Spotkało się to z odprawą biskupów, której stanowczość zaskoczyła partię. Kania zaś ujawnił się w podwójnej roli: dobroczyńcy Gierka i dywersanta wobec jego chęci zbliżenia z Kościołem. Nie wie lewica, co czyni prawica? Nie, raczej prymitywnie przejawiana przewrotność, chęć pokazania Kościołowi na przemian cukierka i bata. Jak zwykle zawodna i jakże szkodliwa dla samej partii w obecnej napiętej sytuacji społecznej.

Gierek wyczuwa, że źle się dzieje w państwie duńskim i chce swoją pozycję umocnić. Dopóki żyje Breżniew może raczej na to liczyć. Ale Gierek nie ma ludzi. Chce ściągnąć Zdzisława Grudnia z Katowic do Warszawy, najpierw mówiło się, że na miejsce Łukaszewicza, a potem, że na miejsce Kowalczyka do MSW. Trudno to jednak załatwić. Złe się dzieje i w Katowicach i w policji. W Katowicach, po prowokacyjnej aferze z wicewojewodą obrażającym zjazd pisarzy, którą zorganizował Grudzień przeciw Łukaszewiczowi lub Łukaszewicz przeciw Grudniowi, nastąpiła kolejna afeta z wojewodą, który przeszedł do opozycji, podobno zwariował i ustąpił z przyczyn zdrowotnych. W policji nasilają się przejawy samowoli, pijaństwa i gwałtów. Słychać o coraz większej ilości pobić i o dość tajemniczych zabójstwach. Policja polityczna jest niezadowolona z roli wyznaczanej jej przez partię. Partia mówi, że trzeba nauczyć się współżyć z opozycją.

a bezpiekę każe opozycję ograniczać. Zrozumiała jest wobec tego nienawiść społeczeństwa do milicji i bezpieki. Służby te chciałyby definitywnej rozgrywki z opozycją, ale na to słaba partia, w obliczu rosnących trudności gospodarczych, nie może sobie pozwolić. Dowcipnie mówią, że opozycja jest słaba, ale rząd jeszcze słabszy i jest w tym coś z prawdy. Należy jeszcze zwrócić uwagę na jeden nadzwyczaj niebezpieczny symptom. Wraz ze stałym wzrostem roli policji, nieuchronnym w sytuacji permanentnego kryzysu w kraju, czynniki policyjne wywierają coraz większy wpływ na sądownictwo. Nominacje na wyższe stanowiska sędziowskie otrzymują wyłącznie ludzie związani z bezpieką. Niezawisłość sądownictwa w PRL zawsze była legendą, ale to co robi w tym zakresie „ekipa Gierka” jest coraz bliższe praktyk okresu stalinowskiego. Drugim przejawem stalinizacji wymiaru sprawiedliwości są nagminne praktyki bicia ludzi w czasie śledztwa. Wiadomości o tym napływają z coraz to innego terenu kraju.

Trwający kryzys gospodarczy, społeczny i polityczny deprawuje aparat władzy i ucisku społeczeństwa, powoli dezintegruje ekipę rządzącą i coraz bardziej uzależnia ją od Sowietów. Należy się liczyć, że w okresie półtora roku, do następnego zjazdu PZPR, nasilą się procesy rozkładu i rywalizacja wewnątrz partii. Obecnie jest ona jeszcze ukryta, szczególnie w porównaniu z rozpasaniem walk frakcyjnych w latach sześćdziesiątych. Właściwa rozgrywka toczy się w ramach kilkunastu osób z biura politycznego i sekretariatu KC. W szerszym aktywie ukształtowały się branżowe grupy nacisku, które i kliki personalne i potężne ośrodki wpływów politycznych grup związanych z wojskiem i policją. Nad całym tym układem całkowicie panuje centrala moskiewska i sowieccy rezydenci w Warszawie. Ale w samej Rosji wszystko przecież jest pod znakiem zapytania ze względu na nieuchronne odejście *Carycy Leonidy*.

Chwilowo jednak impulsy biegnące z centrali moskiewskiej są wielce niepokojące. Panuje już nie dobrodusza „doktryna Breżniewa”, ale faktyczna restalinizacja systemu, widoczna w instrukcjach gospodarczych, w dominacji policji, w narzuceniu arcschematycznej propagandy, w nakazie stałego przejawiania uwielbienia dla ZSRR, w sterylizacji politycznej kultury i wszechstronnej wszechobecności cenzury. Różnica wobec przodujących „ideowo” krajów obozu, to jest samej Rosji, Czechosłowacji i NRD, jest właściwie tylko jedna. W Polsce partia i Sowietci nie mogą zdecydować się na zamykanie ludzi ze względów politycznych. Trzeba by bowiem po pierwsze zamknąć setki, jeśli nie parę tysięcy ludzi, a po drugie trzeba by zamknąć najwybitniejszych, najbardziej liczących się w opinii publicznej, obdarzonych największym autorytetem. Opozycja w Polsce bowiem to nie tylko dysydenci i dawni działacze partyjni, to z pewnością wszystko, co jest w narodzie najlepsze, pisarze, artyści, naukowcy, księża, studenci, no i także robotnicy. Ci ostatni nie mogą zorganizować się ze względu na terror i kontrolę w zakła-

dach pracy, z których większe nadzorowane są bezpośrednio przez KC i MSW, ale na ich nastroje nieuchronnie wpływają i trudności gospodarcze i dezorganizacja w kraju i niejasność sytuacji politycznej i wreszcie korupcja, zachłanność, oraz cyniczne wykorzystywanie władzy przez grupy rządzące, tak w Warszawie jak i w licznych teraz województwach.

„Ekipa Gierka” nie dotrwa w obecnym swoim stanie personalnym do końca lat siedemdziesiątych, ani Gierek nie zrealizuje zapowiedzianego przez siebie uporządkowania spraw kraju w dziesięciolecie swych rządów. Wszystko wskazuje, że dziesięciolecie to będzie kosztowało Polskę, jej gospodarkę i kulturę, straty, które trudno będzie odrobić w ciągu następnych dziesięciu lat. Rządy „ekipy Gierka”, która jest coraz mniej jego ekipą, a coraz bardziej ekipą dyrygowaną z Rosji, wspierają się na dwóch klasycznych filarach totalizmu, na policji i propagandzie. Jak długo jeszcze można jechać na tych skompromitowanych koniach. Odpowiedź jest jedna: tak długo, jak długo będzie to potrzebne aktualnie rządzącym ekipom w Moskwie i jak długo wytrzyma to społeczeństwo. Nie należy lekceważyć tego ostatniego współczynnika sytuacji. Gierek go docenia, ale nie mogąc zrobić otwarcia w stosunku do społeczeństwa, stara się je przynajmniej oszukać lub łudzić, mydlić mu oczy. Tylko tak a nie inaczej można rozumieć od dwóch lat powtarzane zapewnienia o produkcji na rzecz rynku, która w istniejącym systemie gospodarczym jest iluzją. Podobnym fortelem jest ogłoszony obecnie szumny program regulacji Wisły do końca stulecia. Kogo ma to ucieszyć i gdzie są na to środki? Jeszcze innym sposobem czarowania opinii jest słynne hasło partii: frontem do rodziny. Ma ono zaskarbić wdzięczność zwykłych ludzi a Prymasowi Wyszyńskiemu pomóc zapomnieć o księżach patriotach z rządowego Caritasu. Ale wszyscy w Polsce wiedzą, że sytuacja rodziny stale się pogarsza, kobiety są udręczone trudnościami z zaopatrzeniem, zdrowotność dzieci jest fatalna, brak lekarstw, w szkolnictwie panuje dezorganizacja związana z kolejną reformą, w szpitalach jest zupełna katastrofa, ludzie leżą nagminnie na korytarzach. W tej sytuacji drętwa mowa o rodzinie raczej ludzi złości niż pociesza, pocieszyć mogłyby tylko fakty, a nie słowa.

Fakty świadczą natomiast tylko o stałej restalinizacji systemu, który się nawet do tego pośrednio przyznaje, apoteozując pierwsze lata PRL, osiągnięcia forsownej industrializacji, dzieje i ludzi ZMP, stawiając kolejne pomniki Bolesławowi Bierutowi i wysyłając jego, skądinąd skromnego, synka na ambasadora do Bonn.

Zadziwiająca jest zaiste zręczność z jaką ludzie naprawdę dyrygujący „ekipą Gierka” nasycają propagandę frazeologią narodową i patriotyczną, jednocześnie ujarzmiając kulturę polską, uzależniając kraj od Rosji i wprowadzając model stalinowski z ograniczonym terrorem. Tylko, że to się nie może udać, tak jak załamało się w połowie lat pięćdziesiątych. Nie pomoże straszenie zjednoczeniem Niemiec, ani nawet Rapallem. To zbyt

dobrze znana i za stara piosenka, podobnie jak legenda ZMP (My ZMP — reakcji nie boimy się). Zjednoczenie Niemiec zaczyna być w kraju popularne, bo ludzie nie chcą restalinizacji i nie dopuszczają do niej. Nowa konfrontacja w Polsce jest nieunikniona. Jest tylko kwestią czasu. Byłoby to cena nie była za wysoka. Można tylko liczyć na instynkt samozachowawczy warstwy rządzącej, bo niestety nie na jej sumienie narodowe.

Ryszard JAGŁA

Korespondencja z Rzymu

Filozofia i czyny samarytanina XX-go wieku

„Wszyscy ponosimy winę. Nie zabiegaliśmy dostatecznie by wykazać uciskany i opuszczony, że Jezus Chrystus żyje wciąż w swym Kościele, że znajduje się bezwarunkowo po ich stronie. Dla złudnych korzyści zbyt często uśmiechaliśmy się i wyciągaliśmy dłoń do tyranów i wyzyskiwaczy, sięgając za rękę wśród wiernych i prowokując desperację uciemiężonych... Chrześcijaństwo zdewaluowane w wolnym świecie i wyprzedawane po zniżonej cenie stanowi źródło skandalu dla Kościoła w Europie Wschodniej. Skandalu — ponieważ nasi bracia prześladowani tracą nieraz odwagę, odkrywając, że po naszej stronie wyrzuca się za burtę wartości dla których oni poświęcają swe dobra, przyszłość, wolność, a czasem nawet życie... Kościół traci swój kredyt i siłę perswazji, nie stanowiąc alternatywy dla tych, którzy wyrzekli się wiary w Marksa i poszukują dziś nowego ideału... Nasi bracia prześladowani stanowią elitę Kościoła. Winniśmy im solidarność ponieważ niewątpliwie dzięki tym chrześcijanom na Wschodzie, Kościół w naszych ponturych czasach pozostaje wciąż Świętym Kościołem. Kościół cierpiący wołał raczej znieść niesłychane ofiary niż dzielić niepewne korzyści z kolaborantami i księżmi-patriotami. Ten właśnie Kościół, cierpiący i często zapomniany, stanowi rękojmię naszego odkupienia”.

Autorem tych cierpkich słów jest O. Werenfried van Straaten (Holender z zakonu premonstratensów), twórca i przywódca instytucji „Pomoc dla Kościoła Cierpiącego” (*Aiuto alla Chiesa che soffre, Aide à l'Eglise en détresse*), założonej w 1948 roku. W 1964 roku instytucja ta uzyskała aprobatę papieską jako *opera pia*, a Paweł VI, przyjmując ojca Werenfrieda, wyraził mu uznanie i poparcie. W latach 70-tych doszło do pewnych napięć z Watykanem. Ojcu Werenfried udało się jednak uratować niezależność instytucji przed zakusami biurokracji watykańskiej, które zamierzała przejąć jej majątek i administrację. W 1975 r. centralną siedzibę tej instytucji przeniesiono z Rzymu do Koe-

nigstein w Republice Federalnej Niemiec. Oficjalny powód: chaos pocztowy i transportowy we Włoszech. Były jednak i inne powody. Budżet jej wzrósł w roku ubiegłym o jedną trzecią (z 20 do ok. 27 milionów dolarów). Na czele listy ofiarodawców z 11 krajów zachodnich figurują Niemcy (35 % całego budżetu), następnie Francja, Belgia, Szwajcaria. Ofiary z USA i Kanady są minimalne. Zamknięte struktury akcji charytatywnej, kościelnej i prywatnej, uniemożliwiają praktycznie dostęp europejskim instytucjom. Raport za rok ubiegły podaje m.in. następujące cyfry: na pomoc dla uchodźców przeznaczono 2,5 mln. dolarów. Pomoc dla Kościoła prześladowanego (Europa Wschodnia) wyniosła ponad 7 mln. dol., dla Kościoła zagrożonego (trzeci świat) — 13,5 mln. dol. Na czele listy beneficjentów z bloku sowieckiego znajduje się Polska — przeszło 3 mln. dol., potem Jugosławia, Węgry, Rumunia, Czechosłowacja i ZSSR (Rosja, Ukraina, Litwa i Łotwa — łącznie ok. 800 tys. dol.). Nieznaczna stosunkowo wysokość funduszy przeznaczonych dla chrześcijan w ZSSR raport tłumaczy „obiektywnymi trudnościami” dotarcia z efektywną pomocą. Struktura wydatków rozkłada się na następujące cele: katechizacja, budowa i remont kościołów, środki społecznego przekazu, seminaria, motoryzacja duszpasterstwa, utrzymanie kapłanów, książki liturgiczne i teologiczne, pomoc charytatywna.

Spoza suchego zestawienia cyfr wyłania się ogrom pracy polegającej na właściwym rozeznaniu i zaspakajaniu potrzeb w różnych częściach świata. Wszystkie dzięki pracy i samozaparcu jednego człowieka i nielicznego sztabu współpracowników. Wyłaniają się konkretne przykłady. Oto przy fotografii rozsypanych się budynku parafialnego: „przekazaliśmy na remont subsydium w wysokości 5 tys. dolarów”. Przy fotografii ciasnego pomieszczenia: „dzięki naszej pomocy miejscowy biskup mógł podjąć budowę nowego seminarium”. O. Werenfried uzasadnia następująco pomoc dla Kościoła w „trzecim świecie”:

„Kościół zagrożony przekształcił się nieuchronnie w prześladowany, jeśli nie podejmie sam inicjatywy. Należy go wesprzeć. Musi on stawiać czoło egoistycznym reakcjonistom, broniącym ustalonego porządku i komunizmowi, prosperującemu jak paszyt na nędzy mas. Kościół walczy tam na dwóch frontach i broni przeciw prawicy i lewicy obrazu Boga w duszach milionów analfabetów i niedożywionych. W XIX wieku Kościół w Europie prowadził analogiczną walkę. Przegrał ją...”.

Filozofia O. Werenfrieda jest urzekająca w swej prawdomówności, realizmie i nowoczesnym ujęciu obowiązku chrześcijańskiego niesienia pomocy bliźnim. Oto próbka jego realizmu:

„Nie należę do kategorii tych, którzy na każdy uśmiech lub taktyczną koncesję komunistów reagują wiarą w kres prześladowań”.

Jego zdaniem komuniści mają na pewno powody do prowadzenia tu i ówdzie polityki bardziej umiarkowanej wobec Kościoła. Nie można wykluczyć tej ewentualności. Byłoby jed-

nak rzeczą nieprzezorną — stwierdza — zapominać o 60 latach perfidii i rokowań z nimi jak z normalnymi partnerami. Po wszystkich doświadczeniach dyplomacji kościelnej, wprowadzanej w błąd przez komunistów, nie należy ich sądzić po słowach, lecz po czynach. Tak długo jak nie nastąpi radykalna odmiana; Kościół nie może zawierać paktu z Moskwą bez utraty zaufania uciskanych". O. Werenfried nie jest bynajmniej zwolennikiem antykomunistycznej krucjaty. Uważa, że komunizm stanowi wyzwanie pod adresem autentycznego chrześcijaństwa i apeluje by chrześcijanie, zwłaszcza katolicy, „wzięli wreszcie na serio naukę Chrystusa". Postuluje radykalną reformę życia chrześcijańskiego bez czego trudno myśleć o wyjściu z obecnego kryzysu moralnego i społeczno-gospodarczego, powstałego „na skutek naszych licznych grzechów i zaniechań". W obliczu *emergency* chrześcijanie muszą być gotowi, według niego, do zwrotu bogactw niestusnie posiadanych ponieważ „dzieje się to ze szkodą dla świętości i dla życia naszych upośledzonych braci". Prawo własności — jego zdaniem — „posiada granice niestety zbyt słabo zaznaczone w latach walki przeciw marksizmowi; zbyt nieśmiało pokazano nam gdzie zaczyna się obowiązek wyzbycia się nadmiaru po odłożeniu tego co stanowi minimum życiowe". O. Werenfried w swym poczuciu realizmu, doprowadzonym do ostatecznych konsekwencji, widzi promyk nadziei nie gdzie indziej jak właśnie na Wschodzie, gdzie:

„... prawdziwi chrześcijanie żyją jak owce wśród wilków". „Nie są to sabotażyści — pisze — nie niszczą istniejących struktur, ale zmierzają do ich humanizacji; nie wzywają do rewolty, lecz uczą niewolników jak należy korzystać z wolności".

Tak się złożyło, że sprawozdanie z działalności *Aide à l'Eglise en détresse* i tekst „listów do drogiej przyjaciół" (pisane od wielu lat ukazały się w formie książki pod koniec tego roku) Ojca Werenfrieda, czytałem w tym samym czasie kiedy odbywała się tutaj uroczysta sesja, z okazji 10-lecia założenia, słynnego Klubu Rzymskiego, skupiającego elitę uczonych z całego świata. W roku 1972 głośne echa wywołał raport Klubu Rzymskiego na temat „granic rozwoju", ostrzegający przed niepowstrzymanym i niekontrolowanym wzrostem gospodarczym i demograficznym, prowokującym zachwianie równowagi ekologicznej i zaktócenia w środowisku naturalnym człowieka. Podczas obecnej sesji na temat „perspektyw świata" prof. Aurelio Peccei, prezes „Club di Roma" powiedział m.in.: „Ludzkość stoi wobec największego przełomu w swych dziejach. Pozostaje nam tylko 10 lat, by uniknąć katastrofy pod koniec naszego stulecia". Apelowat więc do rządów Zachodu i Wschodu o podjęcie „radykalnych decyzji" w celu wyrównania dysproporcji w rozwoju gospodarczym, opanowania kryzysu energetycznego i powstrzymania wyścigu zbrojeń. Apel prezesa Klubu Rzymskiego skierowany jest również do „wielkich organizacji kulturalnych i religijnych". Ratunek zależy bowiem od „konwergencji" czyli zbieżności celów „chrystianizmu i kultury

humanistycznej". Przypomina się jedna z głównych tez Juliusza Mieroszewskiego, który w swych przenikliwych esejach na temat ewolucjonizmu utrzymywał, że ocalenie naszej cywilizacji opiera się na dwóch filarach: na Kościołach, zwłaszcza na Kościele katolickim, i na kulturze. Mądry zakonnik-samarytanin, wybitny uczony i znakomity publicysta doszli do tego samego wniosku mimo odmiennego punktu wyjścia swych analiz i różnych postaw filozoficznych.

W obronie uciemiężonych pobratymców

Dla chrześcijan wszystkich wyznań zamieszkujących w republikach sowieckich, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii, a nawet w Jugosławii, strategia Kościoła w Polsce stanowi uchwytyny punkt odniesienia i nadziei na poprawę położenia. W zależności od sytuacji w danym kraju, od stopnia uciemiężenia jego obywateli — faktyczny status (prawno-publicznego statusu Kościoła domaga się) uzyskany przez Kościół w kraju jest dla chrześcijan w ZSSR i Demoludach mniej lub bardziej odległym i wymarzonym ideałem. Świadczą o tym przenikające wciąż informacje, które docierają do czeskich, słowackich, węgierskich, litewskich i ukraińskich kół kościelnych w Rzymie (otrzymują je również kancelarie watykańskie). Istnieje też świadomość, że stosunki pomiędzy poszczególnymi rządami komunistycznymi a Stolicą Apostolską mogą i powinny wejść na tory analogiczne do modelu polskiego, a przynajmniej, że należy wykorzystać doświadczenia polskie w tej dziedzinie.

Pod wpływem właśnie tych doświadczeń grupa katolików czechosłowackich, duchownych i świeckich, wystosowała apel do dyplomatów Stolicy Apostolskiej, ogłoszony we włoskim miesięczniku chadeckim *Prospettive nel mondo*, któremu patronuje Amintore Fanfani, przewodniczący senatu. Z apelu przebijają wielkie rozgoryczenie, ale zarazem ufność, że wyrządzone zło (przez tych dyplomatów) można jeszcze naprawić. Apel wzywa mons. Casariego, by podczas następnej wizyty w Pradze domagał się spotkania z b. więźniem i wciąż prześladowanym biskupem Janem Korcem z Bratysławy (por. korespondencja w nr. 6 br.), który cieszy się wielkim autorytetem w całej społeczności chrześcijańskiej.

„Czechosłowacja jest pełna takich chrześcijan-bohaterów, ale kto ich dziś reprezentuje? Jakimi biskupami obdarzono ich po latach poniewierki i oczekiwania?" — pytają sygnatariusze apelu. I odpowiadają sami: „wybór padł na biskupów zastraszonych i służalczych, których rząd pragnął za wszelką cenę, a którym duchowieństwo i wierni odmawiali zaufania. Kogo konsultowali przedstawiciele Stolicy Apostolskiej zanim dali nam tych biskupów? Przyjęcie zasady, że rząd przedkłada listę mile widzianych kandydatów jest potwornym błędem".

Salvare il salvabile? (Ocalenie tego co jest do ocalenia). Kato-

licy czechosłowaccy kwestionują tę niepisana normę uzasadniającą postępowanie watykańskiej dyplomacji:

„... w naszym przypadku dyplomacja watykańska uratowała jedynie pozory. Tzw. *salvabile* kureży się z dnia na dzień do tego stopnia, że wkrótce nie nie zostanie do ocalenia. Nie kwestionujemy tego, że dyplomacja wykorzystuje arkany swej sztuki by doprowadzić do układów. Oponujemy jednak by kontynuowała ten proceder ponad naszymi głowami. Funkcjonariusze państwowi szyczą z nas, pokazując nam fotografie przedstawicieli Stolicy Apostolskiej jako 'lojalnych przyjaciół' państwa czechosłowackiego”.

Katolicy czescy i słowaccy stawiają w swym apelu konkretne postulaty pod adresem dyplomatów watykańskich:

1. Należy konsultować — bez niepowołanych świadków — kapłanów i świeckich. Jest już niestety późno: „znajdziecie biskupów, którzy wam powiedzą to samo co członkowie rządu”.

2. Róbcie co pewien czas bilans tego co uzyskaliście, kontrolujcie czy przyrzeczenia zostały dotrzymane.

3. Zróbcie wykaz zasadniczych postulatów-minimum, jakiego nie możecie się wyrzec. Nie chodzi nam o przywileje, lecz o poszanowanie i przywrócenie praw ludzkich i obywatelskich.

4. Angażujcie do misji dyplomatycznych osoby, które znają nasz język, historię, kulturę, które mogą spełniać również konieczne funkcje duszpasterskie.

Sygnatariusze apelu stwierdzają, że nie tracą ufności i głębokich uczuć szacunku i miłości do osoby Papieża. Zaznaczają jednak:

„... straszny jest zawód tych chrześcijan, którzy myślą dyplomację watykańską z Papieżem. Usiłujemy wyjaśnić im to pomieszanie i zachęcać do cierpliwości”.

Dziennik watykański *Osservatore Romano* nie ogłosi prawdopodobnie tego apelu. Dzięki jednak nowemu redaktorowi naczelnemu, wybitnemu pisarzowi katolickiemu, Valerio Volpini, coraz częściej zamieszcza relacje i dokumenty dotyczące prześladowań chrześcijan w bloku sowieckim. Wiadomo, że od pewnego czasu zmieniły się dyrektywy, co oczywiście ułatwia inicjatywę nowego redaktora. Świadczą o tym sprawozdania z sesji rzymskiej Trybunału Sacharowa i z przebiegu sympozjum dotyczącego religijnej „dysydencji” w ramach weneckiej Biennale. Piszącego te słowa spotkało nawet niespodziewane wyróżnienie: trzykrotne cytaty z wygłoszonego tam referatu o roli Kościoła i chrześcijańskiego nurtu w ruchu oporu i obronie praw człowieka w Polsce. Niedawno, z okazji 15-tej rocznicy pontyfikatu Pawła VI-go, dziennik watykański opublikował artykuł Evgenija Vagina, rosyjskiego historyka prawosławnego, przebywającego w Rzymie od trzech lat. Vagin jest jednym ze współzałożycieli Unii Chrześcijańsko-Społecznej w Leningradzie, grupy prawosławnych intelektualistów, rozbitej w 1967 roku. Po skazaniu na 8 lat łagru zmuszono go do emigracji. Leader tej grupy, Igor Ogurcow, skazany został na 20 lat więzienia i łagru. W artykule pt. „Dla

ludzi Gułagu” Vagin pisze m.in. o kontaktach ze Stolicą Apostolską za pośrednictwem „naszych przyjaciół polskich” (dzięki czemu mógł zaznajomić się z encyklikami papieskimi i dekretami Soboru Watykańskiego) oraz o „braterskich, ekumenicznych stosunkach pomiędzy prawosławnymi i katolikami litowskimi w czasie pobytu w łagrach”. Vagin otrzymał list od Substytuta Sekretarza Stanu, który wyraża mu uznanie i wdzięczność Pawła VI-go, który „przeczytał artykuł z głębokim wzruszeniem”.

W dniu 26 sierpnia — uroczystość Matki Boskiej Częstochowskiej — odczytany będzie w kościołach list biskupów polskich, poświęcony „odpowiedzialności za wolność Kościoła w Polsce i na całym świecie, a zwłaszcza w tych krajach, gdzie ludzie cierpią prześladowania”. W liście tym jest mowa o krajach, „gdzie świątynie są pozamykane, obrócone na muzea, domy ateizacji czy magazyny, gdzie święte ikony zdjęto z ołtarzy, nie ma kapłanów, a jeśli są, to często nie wolno im sprawować Eucharystii i udzielać sakramentów świętych”. Szczególna odpowiedzialność ciąży na Polakach, stwierdzają dalej biskupi:

„Wszyscy powinni pośpieszyć z pomocą narodom w krajach, gdzie nie są przestrzegane podstawowe prawa osoby ludzkiej... Nie możemy pozostawać obojętni wobec prześladowania Kościoła w tych narodach, gdzie za chrzest czy pierwszą komunie świętą ludzie cierpią a kapłanowi grożą ciężkie kary”.

W imieniu Episkopatu ordynariusz częstochowski (i komisarz papieski sprawujący zwierzchnictwo nad zakonem Paulinów po anulowaniu dekretu watykańskiej Kongregacji dla zakonów o nominacji nowego generała) biskup Bareła, ogłosił tekst zbiorowej modlitwy za Kościół do Matki Boskiej Jasnogórskiej. Modlitwa ta zawiera m.in. następujące wezwania:

„Rozbudzaj we wszystkich świadomość praw ludzkich, tak łatwo deptanych pod pozorem wspólnego dobra całego narodu. Ratuj Kościół wszędzie gdzie jest on zagrożony. Powstrzymaj falę laicyzacji i demoralizacji sumień, szczególnie w sercach młodzieży i dzieci. Usłysz jęk skrzepowanych i prześladowanych za swą wiarę i przekonania... Ludzi stęsknionych do świątyń, sakramentów, ołtarzy i do Twojej Ikony — Oddajemy Ci Jasnogórska Maryjo! Ludzi uwięzionych i torturowanych za swe przekonania religijne, ludzi nie mających dostępu do kapłana, naszych pobratymców oczekujących lepszego jutra dla wolności swej wiary i kultu Bożego — Oddajemy Ci!”.

Przeciw cenzurze i manipulacji w dziedzinie informacji

Episkopat polski wydał ponadto „Wezwanie pasterskie” na doroczny dzień środków społecznego przekazu, które, zgodnie z zaleceniem Pawła VI-go, będzie odczytane 17 września bież. roku. W „wezwanii” tym kardynałowie i biskupi stwierdzają, że:

„... wszystkie środki masowego przekazu zostały opanowane przez państwo i są wykorzystywane do narzucania jednych tylko poglądów, wzorców zachowań i sprawowania władzy... Ludzie, którzy dziś opanowali prasę, radio, telewizję, kino i teatr mają na uwadze własne cele, trzymając te środki w swych rękach. Karmią nas swoimi treściami. Jako obywatele we własnej

ojczyźnie posiadamy prawa, których nie możemy się wyrzec... Pominieć naszej opinii jako odbiorców jest wyrazem traktowania nas jako przedmiotu dowolnej manipulacji sprawowanej przez tych, którzy przyjęli władzę nad pozbawionymi możliwości publicznego wyrażania swego stanowiska obywatelami".

List biskupów udziela poparcia środowiskom opozycji demokratycznej działającej w obronie praw człowieka, prawa do swobodnego krzewienia kultury narodowej i prawa do obiektywnej informacji. Biskupi wyrażają „ubolewanie z powodu wypadków dręczenia osób, które mają odwagę wypowiadać ustnie i na piśmie swoje osądy i opinie w sprawach życia publicznego i treści przekazywanych przez środki społecznego przekazu". Biskupi, cytując orędzie Papieża, stwierdzają:

„... odbiorca musi przyjąć aktywną postawę. Musimy zatem podawane treści w prasie, radiu i telewizji oceniać, pamiętając zawsze o tym z jakiego źródła one pochodzą. Musimy odbierane treści uzupełniać z innych, bardziej wiarygodnych źródeł; musimy w razie potrzeby protestować w dostępny nam sposób. Mamy moralny obowiązek protestować ilekroć obrażane są zasady wiary i moralności chrześcijańskiej, ilekroć atakuje się ludzi, którzy nie mają możliwości obrony".

Zupełnie niedwuznacznie wypowiadają się biskupi na temat konieczności alternatywnego, niekonformistycznego wykształcenia, co starają się czynić „latające uniwersytety" i niezależne zespoły współpracy naukowej:

„... po to by zająć czynną postawę wobec prasy, radia, telewizji i innych środków społecznego przekazu, musimy podjąć trud i obowiązek samowychowania, aby nacisk wywierany dziś przez te środki nie stępił lub — co gorsze — nie zniszczył w nas zdolności krytycznej oceny... Cenzura państwowa była zawsze i nadal jest bronią systemów totalitarnych. Przy pomocy cenzury chce się nie tylko kierować życiem duchowym społeczeństwa, opinią publiczną, ale nawet paraliżuje się życie kulturalne i religijne całego Narodu. Życie społeczne 'wymaga jawności i wolności opinii publicznej, cenzura nakłada okulary na ludzi' — mówił Prymas Polski w kazaniu wygłoszonym 6 stycznia w katedrze warszawskiej — dezinformuje ich, a co gorsza — zwalnia od odpowiedzialności za naród. Ograniczenie, a nawet zniesienie ingerencji cenzury jest nakazem chwili. Wsuwany jest on dzisiaj przez wszystkich ludzi myślących kategoriami dobra Narodu niezależnie od orientacji światopoglądowej czy społeczno-politycznej".

„Wezwanie pasterskie" wymienia następnie wśród czasopism katolickich trzy tygodniki katolickie uznane jako takie ponieważ „kierują się prawdami wiary i moralności chrześcijańskiej i które stoją na gruncie katolickiej nauki społecznej". Łączny zakład tych trzech katolickich tygodników *Gość Niedzielny* w Katowicach, *Przewodnik Katolicki* w Poznaniu i *Tygodnik Powszechny* w Krakowie — stwierdzają biskupi — „wynosi zaledwie 190 tys. egzemplarzy, podczas gdy zapotrzebowanie na te pisma sięga wielu milionów". W ten sposób episkopat pośrednio zdezwuolił główny zarzut, stawiany przez „neo Znak" i innych zacietrzewio-

nych kolaboranckich zwolenników chrześcijańsko-społecznej, przeciw zespołowi *Tygodnika Powszechnego*, że nie stoi lub wręcz zwalcza katolicką naukę społeczną. „Wezwanie pasterskie" domaga się zezwoleń na wydawanie katechizmów i modlitewników, przynajmniej, jednego, niezależnego dziennika katolickiego oraz nadawania przez radio mszy św. w niedziele i święta i programów religijnych dla ludzi chorych i cierpiących.

Tymczasem, jeśli chodzi o stan rokowań pomiędzy Stolicą Apostolską a rządem PRL, potwierdza się ocena podana w mojej poprzedniej korespondencji: martwy punkt. Komunikat z 164-tej Konferencji Plenarnej Episkopatu (z 16 czerwca), referując o pobycie w Kraju wysłannika papieskiego, stwierdza:

„Bez uzgodnienia zasad, na których ma się oprzeć uregulowanie statusu prawnego Kościoła i zagwarantowanie mu warunków pełnienia jego misji, trudno mówić o normalizacji i postępie rozmów pomiędzy Stolicą Apostolską i Rządem PRL, a także między Episkopatem i Rządem".

Zdaniem biskupów:

„... uznanie osobowości publiczno-prawnej Kościoła stanowi fundamentalną zasadę, na której musi się oprzeć trwałe ułożenie stosunków między Kościołem a Państwem".

Konferencja episkopatu wzywa władze do zaprzestania szykanowania pracy duszpasterskiej w czasie wakacji oraz do powstrzymania się „od represjonowania gospodarzy udzielających gościny grupom młodzieży z ich duszpasterzami". Biskupi protestują ponadto stanowczo przeciw „uprzywilejowaniu aktywności" Towarzystwa Kultury Świeckiej „przez nadanie mu prawnie charakteru wyższej użyteczności i oddanie mu do dyspozycji urządzeń państwowych przy jednoczesnym ograniczaniu działalności Kościoła".

Dominik MORAWSKI

Pisane 5 sierpnia 1978.

Widziane z Brukseli

ABY WYGRAĆ TRZEBA NIENAWIDZIĆ PRZECIWNIA

Przyjęcie w Baguio City

Burmistrz miasta Baguio, położonego o 225 km. na północ od Manili, stolicy Filipin, wydał uroczyste przyjęcie z okazji

otwarcia meczu o szachowe mistrzostwo świata między Anatolim Karpowem, który reprezentuje Związek Socjalistycznych Republik Sowietkich a Wiktorem Korcznojem, który od pewnego czasu reprezentuje wyłącznie swoją własną osobę. Na przyjęcie przybył prezydent Filipin Markos, obaj arcymistrzowie, kilku przedstawicieli KGB, ukrywających się pod najrozmaitszymi wizytówkami, oraz ok. 200 dziennikarzy akredytowanych przy meczu.

Pozornie, na pierwszy rzut oka, we wspomnianym komunikacie nie ma nic dziwnego ani nadzwyczajnego. Miasto Baguio wybrane zostało w najbardziej prawdziwy sposób. O zaszczyt i zyski z goszczenia meczu ubiegało się 7 miast z Holandii, Francji, Szwajcarii, Austrii, Jugosławii, NRF i Filipin. Po otwarciu kopert okazało się, że arcymistrzowie różnili się co do pierwszego miejsca na liście swych kolejności, zgodnie natomiast na drugim miejscu umieścili Baguio. P. Euwe, prezes Międzynarodowej Federacji Szachowej (FIDE) miał więc zadanie ułatwione, wybór był prosty. Nie od rzeczy przy tym wyborze był skromny detal: nagrody wynosiły 550.000 dolarów, 3/5 dla zwycięzcy, reszta dla pokonanego. Chociaż, naturalnie, w szachach pieniądze nie grają żadnej roli, nie jest to zły interes ani dla graczy ani dla miasta Baguio. Koszty ogólne organizacji meczu wyniosą ponad 2 miliony dolarów, ale wpływy będą większe: TV z całego świata już zapłaciły ponad milion dolarów, reszta, z zyskiem nawet, wpłynie z biletów (2.000 miejsc dziennie), specjalnego datownika filatelistycznego, wydawnictw, turystyki itd.

Ilość partii jest nieograniczona, zwycięzcą zostanie zawodnik, który pierwszy wygra sześć partii. Mecz rozpoczął się 18 lipca od... sześciu remisów, po czym dopiero Karpow wygrał pierwszą partię. P. Byrne, wielki mistrz amerykański zapytany przez żonę czy sądzi, iż będzie w domu na Boże Narodzenie, odpowiedział: „Na które Boże Narodzenie?”. Wielki mistrz argentyński Miguel (przed wojną miał na imię Michał i był mistrzem Polski) Najdorf, który jest w Baguio jako obserwator, na własny koszt, przypomniał, że w 1927 roku mecz o tytuł między Capablanką a Alechinem trwał 35 partii i wyraził zdanie, iż nie jest zupełnie pewny czy obaj zawodnicy będą mogli uczestniczyć w olimpiadzie, która rozpoczyna się... w październiku w Buenos Aires. Najdorfa spotkałem w 1962 roku w Hawanie na Kubie, gdzie wygrał turniej imienia Capablanki i gdzie już wtedy dał się poznać jako anegdotczyk: wygrał na ślepo simultankę przeciw 34 przeciwnikom, remisując jedynie z... Fidelem Castro.

Fachowcy z najbliższego otoczenia graczy także sądzą, że mecz potrwa ok. 30 partii. Ponieważ partie rozgrywane są we wtorki, czwartki i soboty (dokończenia w dni następne) przeto nowy mistrz świata powinien być znany przed upływem trzech miesięcy.

Nic w tym wszystkim, jako się rzekło, nie zaskakuje, wszystko to ma pozory całkowitej normalności. Ale tylko pozory. Poza nimi idzie straszna wojna, o tytuł, o pieniądze i o życia ludzkie. Obaj gracze mają tylko jedną rzecz wspólną, obaj nauczyli się

grać w szachy w Rosji. Cała reszta ich dzieli. Bobby Fischer, amerykańczyk, „Mozart szachownic”, człowiek, który spowodował w ZSSR żałobę narodową odbierając Borysowi Spassky'emu w 1974 roku, w Islandii, tytuł mistrza świata, otóż Fischer powiedział: „Aby wygrać w szachach trzeba nienawidzić przeciwnika”. Pod tym względem obaj panowie K. mają pełne i równe szanse na zwycięstwo. Ale tylko pod tym względem.

Made in USSR

Anatoli Karpow, lat 28, to typowy produkt sowietyzmu w szachmatach. Dziecko ludu, urodzony na uralskiej ziemi, absolwent wydziału ekonomii uniwersytetu leningradzkiego, Karpow został już w 1970 roku wielkim mistrzem międzynarodowym. Jego droga do tytułu mistrza świata była gładka i logiczna. Karpow zwyciężył kolejno w 18 wielkich turniejach międzynarodowych, przez kolejnych pięć lat 1973-77 utrzymał tytuł „najlepszego szachisty świata”. Grał w dwóch olimpiadach szachowych zdobywając dla ZSSR największą ilość punktów: 22 partie wygrane, 6 remisów i tylko jedna przegrana. Bilans globalny był jeszcze bardziej imponujący: ze 187 partii granych w oficjalnych turniejach, Karpow wygrał 88, zremisował 93 i tylko 6 przegrał, inaczej mówiąc zdobył 71,9 % możliwych punktów, z czego 67,2 % grając przeciwko wielkim mistrzom. Spokojny, zimny, bez nerwów, o żelaznej woli, mistrz defensywy, czekający za węglem na ofiarę, Karpow jest symbolem człowieka sowieckiego: wierny syn partii, członek KC Komsomolu, znający równie dobrze Tartakowera i Alechina co Marksa i Breżniewa, człowiek bez skrupułów, Karpow ani chwili się nie wahał, kiedy władza dała mu, w 1976 roku, do podpisania obrzydliwą petycję w sprawie pozbawienia pewnego podejrzanego szachisty prawa uczestniczenia w turniejach i w oficjalnych eliminacjach do meczu o mistrzostwo świata. I słusznie się nie wahał, albowiem, jak głosiła petycja chodziło o „zdrajcę, który przejawiał ekshibicjonizm i narcyzm”. Osobnikiem tym, zdrajcą i ekshibicjonistą był Wiktor Korcznoj, dzisiejszy przeciwnik Karpowa.

Mecz w Baguio jest więc w pewnym stopniu rewanżem. Nie za petycję, która, jak świadczy obecność Korcznoja w Baguio, nie na wiele się przydała, a za mecz z 1974 roku, kiedy to obaj panowie K. spotkali się w meczu o prawo grania o tytuł mistrza świata, znajdujący się wówczas w posiadaniu Bobby Fischera. Federacja sowiecka słusznie przewidywała, że Fischer może tytuł stracić, ale już wtedy nie chciała aby przeszedł on w ręce Korcznoja. Przy użyciu wszelkich środków, fałszując m.in. podpis Korcznoja pod zgodą na granie w Moskwie, zamiast w Leningradzie, gdzie otoczenie było mniej wrogie i mniej spenetrowane przez policję i przez polityków. Federacja faktycznie wymusiła na Korcznoju przegraną z Karpowem. Naciski i groźby, szalona pomoc udzielona Karpowowi i faktyczny sabotaż Korcznoja,

„dziwna atmosfera i ogólnonarodowy spisek”, jak on to sam wspomina, sprawiły, że Karpow pierwszy wygrał niezbędne trzy partie. Niedługo potem Karpow został mistrzem świata i to bez walki, bo Fischer odmówił stawienia się przy szachownicy. Lan-
sując petycję przeciwko Korcznojowi Kreml miał nadzieję, że wyeliminuje go z wyścigu o tytuł, że Karpow wygra, znowu bez walki, albo przy niewielkim wysiłku. Kreml się pomylił. Gambit się nie udał.

Wiktor Korcznoj wypowiedział wojnę Karpowowi i całej po-
tędze ZSSR w lipcu 1976 roku, kiedy to korzystając z turnieju w Amsterdamie odmówił powrotu do Moskwy. Korcznoj jest o 20 lat starszy od Karpowa, ale, jak się za chwilę okaże, to nie jest jego jedyny handicap. Urodzony w inteligenckiej rodzi-
nie w Leningradzie, mocno na domiar złego zażydzonej, Korcznoj ma za sobą kolosalną karierę szachową. Mistrz w 1954 roku, arcymistrz w dwa lata później, Korcznoj grał w 16 mistrzostwach ZSSR, które cztery razy wygrał. Od 1964 Korcznoj brał udział w 90 turniejach i w 4 olimpiadach ze świetnym wynikiem: 50 partii wygranych, 31 remisów, 3 partie przegrane. W przeciwień-
stwie do Karpowa, Korcznoj to gracz nieobliczalny, geniusz im-
prowizacji, stale szukający nowych rozwiązań, pierwszy w ataku, łatwo ulegający zmianom ducha, łatwo wpadający w euforię i depresję. Do tytułu mistrza świata startował już 4 razy (1962, 1968, 1971 i 1974) ale do decydującej rozgrywki doszedł dopiero dziś w Baguio. Muza szachów sprawiła, że dopadł tam Karpowa.

Droga na szczyt nie była łatwa. Kiedy projekt petycji o świa-
tową banicję Korcznoja nie przyniósł spodziewanych efektów, sowiecka federacja szachowa i Kreml, który się do niej przyłą-
czył, podjęli wszystkie nasuwające się kroki. Nie szczydził ani
pieniędzy, ani propagandy, ani ludzi. Na nic. W pościgu za
tytułem i za Karpowem, Korcznoj zapisał wyjątkowy *tableau de*
chasse. Zbieg okoliczności i sprawiedliwość dziejowa sprawiły,
że Korcznoj wyeliminował nie graczy węgierskich, amerykań-
skich, jugosłowiańskich czy innych, ale właśnie i wyłącznie wiel-
kich mistrzów sowieckich. Najpierw w ćwierćfinale Korcznoj
zmiótł w 12 partiach Tigrana Petrosjana, zwanego pieśzcotliwie
„pytonem Jerywania”, jednego z autorów tekstu wspomnianej
petycji. Potem w półfinale potrzebował tylko 13 partii by wysa-
dzić z konkurencji Lwa Poługajewskiego, jednego z pierwszych
sygnatariuszy owej petycji. Wreszcie w finale kandydatów, Korcz-
noj wyeliminował Borysa Spasskiego, który choć aktualnie miesz-
ka we Francji, to jednak zachował obywatelstwo sowieckie.
Mecz był zimny (panowie się nie lubią), ale korekt, Spasski był
bowiem jednym z trzech sowieckich arcymistrzów (pozostali to
byli mistrzowie świata Bronsztejn i Botwinnik), którzy odmó-
wili podpisania petycji o „zdrajcy i ekshibicjonście”. Ale był
to także mecz historyczny, po raz pierwszy bowiem od chwili
wejścia Sowietów na szachową scenę świata w meczu o prawo
grania o tytuł mistrza świata spotkało się dwóch Rosjan mies-
zkających na Zachodzie.

Srodki specjalne

W miarę wdrapywania się Korcznoja na szczyt zajęty przez
Karpowa, nerwowość na Kremlu rosła. W meczach z Petrosjanem
i Poługajewskim, Korcznoj, który zna zwyczaje organów szacho-
wych (i innych) ZSSR musiał podjąć specjalne środki ostro-
żności. Zażądał nie tylko oddzielnej jadalni, ale także nie komu-
nikujących się klozetów (diabeł nie śpi), sam gotował sobie
herbatę w pokoju hotelowym, sprawił, że organizatorzy musieli
zainstalować pod stołem specjalną deskę odgradzającą nogi gra-
czy, pamiętał bowiem jakiego kopa dostał od Petrosjana, kiedy
ów dystygowany szachista przegrał mecz w 1974 roku w Odes-
sie. Nie pozwolił również na używanie przez głuchawego Poługa-
jewskiego aparatu do słuchania. Korcznoj wiedział bowiem, że
nic prostszego niż taki aparat dla przekazywania rad i wariantów
zza kulis i garderoby.

Prasa zachodnia kpiała z Korcznoja kiedy po czwartym remi-
sie w Baguio zażądał aby jogurt przygotowywany przez kucha-
rza delegacji sowieckiej konsumowany w czasie gry przez Kar-
powa był zawsze tego samego fioletowego koloru, w tym samym
smaku, podawany w takim samym naczyniu i przez filipińskiego
a nie sowieckiego kelnera. Prasa zachodnia była raz jeszcze w
błędzie, prasa zachodnia nie zna życia. A Korcznoj zna wyo-
braźnię swej byłej ojczyzny i praktyki swej byłej Federacji.

Była ojczyzna nie potrafiła więc powstrzymać korcznojow-
skiego buldożera. Kiedy legł Petrosjan, Kreml, który ciągle jesz-
cze wierzy w cudowne działanie czystek, wyrzucił go z posady
naczelnego redaktora pisma „64”, organu federacji szachowej.
Korcznoj, jako się rzekło, człowiek bywały, powiedział wtedy:
„Poczekajcie, a zobaczycie, to dopiero początek, oni jeszcze nie
skończyli wyrzucać”.

I rzeczywiście. Kiedy przegrał Poługajewski, we władzach
federacji nastąpiło prawdziwe trzęsienie ziemi. Z 20 członków
nowych władz, tylko 9 miało coś niecoś wspólnego z szachami,
reszta to były figury z innej gry. Na miejsce arcymistrza Awer-
bacha, prezydentem Federacji został niejaki Witali Sebastianow,
powszechnie znany w wszechświecie kosmonauta z Sojuzów nr 9
i nr 18, zupełnie nieznany jednak w świecie szachowym. Dwaj
inni „szachiści” przyciągnęli powszechną uwagę. Pierwszy z nich,
p. Witali Ignatenko, wiceprezes agencji TASS nie był znany co
prawda jako szachista, ale zdobył sobie sławę jako współautor
scenariusza filmu o życiu Leonida Breżniewa pt. „Życie komu-
nisty”. Drugi to p. Ewgeni Pitowranow, oficjalnie wiceprezes
Izby handlowo-przemysłowej ZSSR oraz wiceprezes Towarzystwa
Przyjaźni Portugalsko-Sowieckiej, nieznany jako szachista, ale
znany za to jako generał KGB, odpowiedzialny m.in. za nadzór
nad kontaktami urzędników ZSSR z obywatelami państw kapi-
talistycznych.

W tej sytuacji kiedy doszło do meczu Korcznoj-Spasski, Moskwa zupełnie zapomniała, że Spasski dawno był utracił sympatię i poparcie Kremla. W 1975 roku mianowicie Spasski zakochał się, i mimo dwuletnich perswazji, szykan i szantażów ze strony władz, ożenił się z panną Maryną Szczerbaczkową, obywatelką francuską, urzędniczką ambasady Francji w Moskwie. Na domiar złego, zmęczony walką o szczęście, Spasski postanowił, czasowo, naturalnie, zamieszkać na Zachodzie*. Otóż, kiedy okazało się, że Spasski, choć pół-renegat i prawie ekshibicjonista, stanowi ostatnią możliwą przeszkodę na drodze Korcznoja po skali Karpowa a zarazem ostatnią nadzieję na wyeliminowanie zdrajcy, Kreml zmobilizował wszystkie siły aby pomóc Spasskiemu. Ale było za późno. Nie pomógł ani kosmonauta, ani generał, ani konsultanci przystani z Moskwy. 18 partii później, Spasski był także wyeliminowany. Droga do i po Karpowa stanęła przed Korcznojem otworem.

W Moskwie zapachniało siarką. Szachy to narodowe wytnienie dla zmęczonych stanem w ogonkach obywateli Kraju Rad, to narodowy sport, to część dowodu na wyższość socjalizmu. Kiedy Karpow odebrał, bez walki i wysiłku tytuł Fischelowi, Kreml postanowił, że tytuł mistrza świata w szachach nie może nigdy więcej opuścić granic ZSSR. Teraz jednak tytuł znowu znalazł się w niebezpieczeństwie. Towarzysze, rzekło kierownictwo, zachodzi obawa, że tytuł może wpaść w ręce obywatela nie ZSSR, więcej nawet, w ręce w ogóle nieobywatela, bezpaństwowca, i to na domiar żydowskiego. Specjalny sztab, dodało kierownictwo, ustali taktykę i strategię. I ustalili.

Kiedy obie drużyny przybyły na Filipiny okazało się, że sowieckie *team* szachowy liczy 14 osób oficjalnego składu, nie licząc „turystów” sowieckich, którzy, jak wiadomo, pasjami lubią jeździć na Filipiny i bardzo cenią zabytki miasta Baguio. Szefem ekipy Karpowa był niejaki Wiktor Baturinski, były prokurator wojskowy, ceniony współpracownik KGB, prezes szachowej organizacji moskiewskiej i *quasi*-oficjalny politruk sowieckich szachmatów. I jest to również najbardziej znany i szczerzy, osobisty i ideologiczny wróg Korcznoja w ZSSR i na całym świecie. Sam jego widok działa Korcznojowi na nerwy, przypominając mu najgorsze czasy szachowego gułagu.

Dowiadując się o składzie ekipy sowieckiej Korcznoj miał

* P. Kauzow, urzędnik sowieckiej firmy frachtowo-morskiej nie miał żadnych trudności z uzyskaniem zezwolenia na poślubienie panny Onassis, obywatelki greckiej, choć była to nie skromna urzędniczka a właścicielka największej floty tankowców na świecie, symbol gnilnego zepsucia ustroju kapitalistycznego i jego ostatniej fazy, imperializmu. Na miejscu panny Onassis byłbym się zastanowił skąd się wzięła taka różnica między traktowaniem przez władze sowieckie szachisty Spasskiego i frachtowego urzędnika i członka partii Kauzowa. Miłość, rzeczywiście, nie zna granic, życząc państwu Onassis wszystkiego najlepszego, ale czy czasem nie zachodzi ryzyko pomieszania rodzajów literatury, czy sowiecki kopciuszek nie przekształcił się w grecką tragedię?

dwojaką reakcję. Po pierwsze z pewną przesadą zawołał: „Baturinskiego trzeba powiesić, utopić a potem poćwiartować”. Po drugie, już zupełnie spokojnie, zaproponował, aby wszyscy członkowie ekipy sowieckiej ujawnili swoje prawdziwe funkcje i przynależność zawodową. Propozycja ta została naturalnie z niesmakiem odrzucona przez Baturinskiego. Statut Federacji szachowej, powiedział były prokurator, nie przewiduje podobnej procedury.

Prawdziwy przeciwnik

To prawda. W istocie jednak, to nie Karpow i nie Baturinski, ani żaden inny szachista z ekipy sowieckiej w Baguio jest prawdziwym przeciwnikiem Korcznoja. Korcznoj gra z Karpowem o tytuł i o 300.000 dolarów, ale równocześnie gra z Kremlem o los jego własnej rodziny. Kreml bowiem niczego nie zaniedbał. Najpierw, sowieckim zwyczajem, odwrócił kota ogonem. Kiedy Karpow wygrał pierwszą partię, agencja TASS zawyła ze wzruszenia („Korcznoj literalnie zmiażdżony”, ogłosiła) oraz podała, iż zwycięstwo jest tym bardziej wartościowe, że „mistrz świata zmuszony jest walczyć nie tylko na szachownicy, ale znosić również absurdałne prześladowania ze strony ekipy przeciwnika, zmierzającej do rozgrzania atmosfery i tak już wystarczająco napiętej...”. Następnie zaś, do wojny przeciw Korcznojowi wprowadził, starodawnym mongolskim zwyczajem, także zakładników. Przetrzymuje mianowicie siłą żonę Korcznoja Bellę i 19-letniego syna Igora. Rodzina Korcznoja już trzykrotnie od 1976 roku wносиła o paszport i trzykrotnie otrzymywała odmowę. Kreml broni zasady: rodzina zdrajcy może i powinna się go wyrzec, ale na pewno nie powinna chcieć do niego wyjechać, zwłaszcza kiedy rozłąka daje okazję szantażu w walce o pozycję socjalizmu w szachowym świecie. Korcznoj wszystkimi sposobami domaga się uwolnienia rodziny, pisze listy do Breżniewa, woła na konferencjach prasowych. Zrobił to także w Baguio, wskazując na rolę zakładników w grze szachowej o mistrzostwo świata, ale Baturinski spokojnie odpowiedział, że „sprawa łączenia rodzin nie należy do federacji szachowej” i że rozwiązywanie trudności rodzinnych pretendentów do tytułu mistrza świata nie jest objęte regulaminem FIDE. Pogląd ten jest mniej odosobniony niż by to się mogło wydawać. Pewien duży tygodnik francuski, obserwujący świat z pozycji lewicowych, poświęcił meczowi o mistrzostwo świata spore artykuły w dwóch kolejnych numerach, ale ani razu nie wspomniał, iż Korcznoj znajduje się pod szalonym naciskiem dramatu jego rodziny pozostającej w łapach KGB, że żona i syn jednego z graczy są w niewoli władzy drugiego gracza, że więc stan ducha obu konkurentów nie jest identyczny.

Już po rozpoczęciu rozgrywek w Baguio do Korcznoja doszło, że syn jego, który z powodu normalnych w ZSSR prześladowań dzieci „zdrajców”, musiał zrezygnować ze studiów na politechnice leningradzkiej, stracił prawo do odroczenia i będzie musiał

pójść pod sztandary armii czerwonej. Oznacza to trzy lata służby, po których następuje pięć lat kwarantanny „w imię ochrony tajemnicy wojskowej”, co sprawia, że wszelki projekt wyjazdu do ojca zostaje automatycznie odłożony o 8 lat. Czytelnikom *Kultury* nie trzeba tłumaczyć co w ciągu tych 8 lat przeżywa w ZSSR kandydat na emigrację...

Kreml zapewne myśli, że niewola rodziny Korcznoja w Lenin-gradzie, to najlepsze ruchy na jakie stać Karpowa w Baguio. Ale po pierwsze to haniebne, po drugie, niepewne. Na razie Korcznoj, który umie zapewne grać z Karpowem, uczy się jak należy grać z Kremlem. Rozumowanie nie było zresztą skomplikowane. Do finału Korcznoj musiał stanąć. Gdyby na znak protestu odmówił grania, tytuł, znowu bez walki, zostałby przy Karpowie i w ZSSR a Kreml byłby najzupełniej z takiego obrotu sprawy zadowolony. Wobec tego Korcznoj oświadczył: „Sprawiedliwość wymaga abym zdobył tytuł. Wtedy będę mógł odmówić rewanżu aż do chwili wypuszczenia mojej rodziny. To być może jest moja ostatnia szansa...”.

Przyjęcie u prezesa klubu Wimbledon

Prezes klubu tenisowego Wimbledon wydał uroczyste przyjęcie z okazji zakończenia dorocznego turnieju tenisowego. Na przyjęcie przybył książę Kentu, kuzyn królowej, wraz z małżonką, sfery dyplomatyczne oraz uczestnicy turnieju, a przede wszystkim finaliści panowie Borg, który reprezentował Szwecję i Connors, który reprezentował USA oraz panie Chris Evert, która reprezentuje także USA i Martina Navratil, która od pyewnego czasu reprezentuje wyłącznie swoją tylko osobę.

Panna Navratil przez pierwszych osiemnaście lat swego życia reprezentowała Czechosłowację. Choć już jej babka była przed wojną wicemistrzynią Czechosłowacji, a nauczył ją grać ojciec, też niezły zawodnik, nikt nie przypuszczał aby słaba i nerwowa Martina mogła zrobić karierę w tenisie. A jednak już w 1973 r. Martina opuściła swe rodzinne miasteczko Rewnice, 5.000 mieszkańców, 30 km. od Pragi, udając się na turniej do Paryża. Martina nie zrobiła większego wrażenia na kortach Rollands Garros, ale zrozumiała co to jest światowy tenis. Kiedy powróciła w to samo miejsce dwa lata później, doszła już do finału. Przegrała wtedy, właśnie z Chris Evert, ale znowu się czegoś nauczyła. I podjęła odpowiednie decyzje. Kiedy więc w kilka miesięcy później Martina pojechała na wielki turniej Forest-Hills w USA, gdzie doszła do finału, postanowiła (na razie i czasowo, powiedziała i myślała) nie wracać do Czechosłowacji. Zrozumiała bowiem, że tylko wyzwolenie się spod opieki władz tenisowych jej kraju, ulegających bardziej kryteriom politycznym niż sile jej serwisu, potrafi otworzyć jej światowy Olimp tenisowy.

Szok był głęboki. Tak jak niektóre gwiazdy rosyjskiego baletu, które wybrały wolność od partyjnej dyktatury na deskach

Bolszoju, Martina wydała się być dotknięta jadem zachodniej obfitości. Przejście od skromnych diet wypłacanych przez nadzorców z federacji tenisowej z Pragi do bajkowych gaź mogło się źle skończyć. Wydawało się już, że Martina wybrała *show-bussines*: grała gdzie się dało, reklamowała co od niej chciano, i inkasowała, inkasowała... Kupiła bajkową willę w Palm Springs, najbardziej zasnobowanej amerykańskiej Jastarni, zafundowała sobie Mercedesa 450 (takiego jak Breżniew dostał od Brandta), utyli, straciła na sile uderzenia i na szybkości, na korcie była nierówna i historyczna, wszyscy już mówili, ot, jeszcze jedna ofiara zawodowstwa w sporcie, koniec wielkiej kariery, jeszcze jedna wieczna półfinalistka.

W kosmosie i na ziemi

Ale się mylili. Martina spotkała niejaką Sandrę Haynie, dawną mistrzynię golfa, obecnie sportowego impresario. Panie zamieszkały razem w wygodnym domu w Dallas i pod wpływem Sandry, impresario i przyjaciółki, Martina wróciła do dyscypliny wyczerpanego życia. Schudła, nabrała siły, jej serwis zaczął szereg spustoszenie na kortach. Miejsce hysterii zajęła równowaga i pewność siebie. Wyniki nie dały na siebie czekać. Zanim Martina zdobyła Wimbledon, największe tenisowe trofeum świata, wygrała w ciągu 9 tygodni 37 kolejnych spotkań i zainkasowała 160.000 dolarów.

„Nie wiem czy mam śmiać się czy płakać”, powiedziała panna Nawratil do panny Evert w czasie pofinałowego uścisku rywalek. I jedno i drugie, oczywiście. Śmiać się ze szczęścia, bo Wimbledon to największe marzenie każdego tenisisty, to start do ogromnej kariery sportowej i finansowej, którą 22-letnia Martina ma jeszcze przed sobą.

Płakać, albowiem Evert to nie była jedyna przeciwniczka Martiny w finale. Cała potęga państwa czechosłowackiego, które jako pierwsze nie super-mocarstwo miało człowieka w kosmosie, grała przeciwko Martinie. Jej rodzice mianowicie są siłą przetrzymywani w Czechosłowacji i nie otrzymują zgody władz na czasowy choćby pobyt u córki na Zachodzie. Ojciec, już sam chciał pojechać tylko na kilka dni aby być u boku córki w czasie wimbledowskiego finału, ale twarda i sprawiedliwa socjalistyczna władza w Pradze, nie pozwoliła. „Do zdrajców się nie jeździ”, powiedzieli zapewne za przykładem wielkiego brata.

Po to aby rodzice Martiny mogli być bliżej córki w dniu jej największego triumfu, musieli potajemnie pojechać do przyjaciół mających dom przy granicy NRF, gdzie mogli z zachodnio-niemieckiej telewizji śledzić przebieg finału i widzieć uśmiech córki. Razem popłakali się ze szczęścia i ze smutku dopiero przez telefon, bo organy zapomniały wyłączyć.

„Czy myśli pani, iż zwycięstwo w Wimbledonie pomoże w wyzwoleniu pani rodziców z niewoli policji czechosłowackiej?”,

zapytali dziennikarze splakaną Martinę tuż po pofinałowym telefonie do rodziców. „Czy pomoże nie wiem, zaszkodzić nie może, coś innego mogą dla nich zrobić, to moja jedyna broń?...”.

Przyjęcie w Brukseli

Na uroczyste przyjęcie wydane w Brukseli z okazji zakończenia tego felietonu nikt, na szczęście, nie przybył, dzięki czemu Brukselczyk mógł dojść do następujących niezaskakujących zresztą spostrzeżeń.

I Korcznoj i Nawratilówna odmówili kapitulacji wobec jednego z najbardziej zintegrowanych widm bloku państw komunistycznych, wobec biurokracji, która polityzuje sport, odbiera mu wszelkie cechy ludzkie i indywidualne, zniewala talent w imię brudnych kombinacji i interesów nie mających ze sportem nic wspólnego. Pewnie, obrzydliwie skomercjalizowany sport Zachodu nie odpowiada ideałom barona Coubertin, ale jest przynajmniej pozbawiony hipokryzji, a przede wszystkim nie podlega kontroli policji czy KC. Nie jest więc przypadkiem, że Korcznoj i Nawratilówna złożyli identyczne prawie oświadczenia w chwili odmowy powrotu. Chcieli mianowicie „grać z kim, kiedy i za ile nam się podoba” a nie tak jak im grać, albo i przegrywać (jak w wypadku Korcznoja), kazały władze ich kraju, policji i federacji sportowej.

I Korcznoj i Nawratilówna zaangażowani są w ostry wyścig z czasem. Muszą być szybko bogaci, ich kariery nie potrwają długo, muszą też szybko osiągnąć szczyty sportowej sławy (obie rzeczy są ze sobą związane) nie tylko dlatego, że ich talent daje im do tego prawo, ale także aby móc przełamać szantaż władz krajów ich pochodzenia. Inaczej mówiąc Korcznoj i Nawratilówna muszą zwyciężać, albowiem ich przeciwnikami są nie tylko sportowcy, przestrzegający mniej lub bardziej określonych reguł postępowania, a gangsterskie władze, stosujący najbardziej haniebny, bo ludzki i rodzinny, szantaż.

Najtrudniejszy mecz w ich karierze Korcznoj i Nawratilówna grają przeciw totalitarnym potęgom ZSSR i zsatelizowanej Czechosłowacji. Stawką jest los ich rodzin. W tym meczu Korcznoj i Nawratilówna nie powinni być osamotnieni, nie powinni grać przy pustej widowni. Chodzi o coś więcej niż o tytuł czy pieniądze, chodzi o prawo człowieka do jego własnej osoby. Pewien wybitny publicysta zachodnioeuropejski sprzeciwił się interpretowaniu meczu Korcznoja z Karpowem jako rewanżu za skazanie Szczarańskiego. Cóż za nieporozumienie?! I co za idiotyzm?! Mecz Korcznoj-Karpow w 1978 roku jest rewanżem nie za proces Szczarańskiego, a za mecz Korcznoj-Karpow z 1974 roku. Fakt natomiast, że Korcznoj chce wygrać aby móc potem szachować KGB i wyzwolić swą własną rodzinę z łap barbarzyńskiego państwa jest zrozumiały i naturalny, Korcznoj bowiem nie dysponuje bombami atomowymi i przestraszyć Kremla nie

może. Szachy to jego jedyna broń. Zachodnioeuropejski komentator, który sprzeciwia się tak ostro polityzacji meczu szachowego, zapomniał jednak dodać, kto ten mecz spolityzował, oraz podkreślić detal, to mianowicie, że gdzieś tam w Leningradzie dwie przerażone i osaczone osoby patrzą na mecz w Baguio City jako na ich ostatnią szansę. Zapomniał albo nie chciał o tym pamiętać, bo to by mu popsuło artykuł.

Najbardziej skromne spotkanie sportowe jest kierowane i kontrolowane przez mniej lub bardziej neutralnego i obiektywnego sędziego. Mecz w grze podwójnej Korcznoj-Nawratilówna przeciwko połączonym siłom ZSSR i Czechosłowacji też nie powinien się toczyć bez sędziego.

W chwili pisania tych słów nie wiem jaki jest czy będzie los żywego towaru, przetrzymywanego przez faulujących prezydentów ZSSR i Czechosłowacji. Nie wiem także czy Korcznoj zdobędzie tytuł mistrza świata i czy Nawratilówna wygra „wielki szlem” tenisowy. Wiem tylko, że od kiedy Persowie czy Chińczycy wynaleźli szachy, od kiedy Arabowie przy okazji wojen krzyżowych przekazali je Europie, od kiedy Kochanowski napisał „Szachy”, nikt jeszcze nie wprowadził do gry, obok 32 figur na szachownicy, dodatkowych figur rodziców i dzieci przeciwników. To się dopiero udało sowietyzmowi.

Nie wiem, kto wygra te mecze, toczące się w cieniu ludzkich tragedii, wiem tylko kto te mecze już przegrał...

BRUKSELCZYK

Pisane 6 sierpnia 1978.

PETER RAINA
**POLITICAL OPPOSITION
IN POLAND
1954-1977**

Poets' and Painters' Press,
146 Bridge Arch, Sutton Walk, London SE1.
584 pages. — Price in UK £6 + pp.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 289 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA
**SZKICE O LITERATURZE
EMIGRACYJNEJ**

Wczesny okres wojenny. — Literatura Polski Walczącej. — Londyn 1942. — Polacy w Rosji: Literatura zsyłkowa. — Od Teheranu do Jerozolimy. — Rozdział włoski. — Londyn u kresu wojny i w latach powojennego chaosu. — Czasopisma literackie.
Książka zaopatrzona jest w Indeks Nazwisk.

Str. 416.

Cena F. 85.

TOM 290 — MARIA CZAPSKA
CZAS ODMIENIONY

to dalszy ciąg wspomnień Autorki („Europa w rodzinie”), to jej losy w czasie pierwszej wojny światowej kiedy z Mińska przez Petersburg i Warszawę — rewolucja rosyjska i wyzwolenie Polski — dociera do uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Str. 160.

Cena F. 35.

TOM 291 — WŁADYSŁAW BIENKOWSKI
Seria „Bez Cenzury”
SOCJALIZM PO 60 LATACH

Str. 64.

Cena F. 18.

TOM 292 — ZESZYTY HISTORYCZNE
ZESZYT CZTERDZIESTY CZWARTY

Zawiera m.in. prace: W. Drzewieckiego — *Wywiad z St. Mikołajczykem z 17. XI. 1947*; M. Chęcińskiego: „*Ludowe Wojsko Polskie*”; A. Ciencialy: *Anglia była gotowa bić się o Gdańsk*; J. Nowak: *Rozmowy z gen. Sosnkowskim*; Z. S. Siemaszko: *17 września i jego konsekwencje*; T. Katelbach: *Bezdroża (dok.)*; W. Krzyżanowski: *Lata bukareszteńskie (dok.)*. RECENZJE.

Str. 240.

Cena F. 35.

Kraj

Akcja "K"

W PRL często wybuchają (i równie szybko przemijają bez echa) rozmaite akcje. Jak ktoś słusznie niedawno zauważył oficjalne słownictwo tego kraju lubuje się w określeniach militarnych, takich jak strategia, ofensywa, manewr, mobilizacja, uderzenie, atakowanie (oczywiście problemu) itd. Akcja również znamionuje ową bojową krzepę, której coraz bardziej brakuje w powoli i nieuchronnie miękącym społeczeństwie. A że najczęściej nie się za takim frazesem nie kryje, to inna sprawa.

Określenie „Akcja K” nie figuruje w oficjalnym czy ściśle tajnym wokabularze PZPR, nie figuruje zresztą także w codziennym słownictwie Polaków. Wymyśliłem je, ponieważ pozwala mi zsypać do jednego worka dość różne cele i działania władzy, które — w planie nadrzędnym — mają niewątpliwie to samo zadanie: podporządkowanie sobie społeczeństwa. „K” oznacza korupcję. Ale znaczenie nadaję temu pojęciu szerokie, stąd konieczność pewnych wyjaśnień.

Termin korupcja rozumiany jest w mowie potocznej zasadniczo dość wąsko: chodzi przede wszystkim o przekupstwo, o podporządkowanie swym osobistym korzyściom osób czy instytucji poprzez ich demoralizację. I tu zasadza się podstawa mojego, znacznie szerszego rozumienia: bo jeśli demoralizacja, to takową osiągnąć można nie tylko drogą materialnej zachęty, ale także drogą zastraszenia, szantażu, w ogóle każdej formy demoralizującej. To szersze rozumienie słowa korupcja uwidatnia się wówczas, kiedy przestajemy rozpatrywać działanie jej w relacji między jednostką a jednostką, ale w działaniu jednostki wobec (czy przeciw) społeczeństwa i *vice versa*. Chodzi o dążność do podporządkowania sobie strony w naturalny sposób antagonistycznej.

Dobrze, odpowie ktoś, ale przecież najprostszym środkiem

jest zastraszanie, jest terror. Wbrew pozorom nie jest to aż tak skuteczny środek. Terror wprawdzie stosować można długo i skutecznie (historia Rosji, a w szczególności dzieje ZSRR są na to przekonującym dowodem), ale nie zawsze i nie wszędzie. Cierpliwość ludzka ma swe granice, cierpliwość Polaków szczególnie. Terror budzi reakcję równie gwałtowną jak on sam. Jest orężem sprawnym w rękach mocnych. Ale u nas „nie ma mocnych”.

Po cóż więc uciekać się do form brutalnych i nie zawsze skutecznych, kiedy istnieją metody subtelniejsze i o wiele pewniejsze. Metody, których celem jest oślepianie i usypianie przeciwnika (w tym wypadku społeczeństwa jako całości i jako zbioru jednostek). Jest to rodzaj broni bakteriologicznej wywołującej epidemie, której na imię „zniczulica”.

Nie chodzi mi oczywiście o to, by dokładnie analizować wszelkie formy i sposoby korumpowania społeczeństwa i poszczególnych jednostek, nie jest to bowiem rozprawa „rehabilitacyjna”, ale próba uporządkowania banalnych w swej istocie obserwacji, poczynionych na codziennym PRL'owskim poligonie, na którym pośród górnołotnych i militarnych hasel toczą się boje wyzbyte patosu, bezbronnie i jałowe. Polygon ten wszelako wart jest uwagi dla dwu przyczyn: po pierwsze mamy tu do czynienia z nową w dziejach totalitaryzmów wszelkiej maści formą: totalitaryzmu pośredniego, to znaczy totalitaryzmu kolonialnego, po drugie w orbicie społeczeństwa wyjątkowo trudnego, bo i krnąbrnego i myślącego. Dawniej, w epoce Polski przedrozbiorowej, mieliśmy także do czynienia z przejawami szeroko pojętej korupcji, stosowanej wprawdzie nie przez państwo, ale przez tych co się z państwem utożsamiali. Korupcja ta dokonywała się najczęściej metodą „czapki i papki”, ale zawodziła. Próbowano więc udoskonalić ją przerabiając ją na metodę „pałki i papki”, ale to też nie poskutkowało. Zastosowano więc nową: „zmiękczanie” narodu. I ta ostatnia przynosi niestety zamierzone rezultaty.

Wyjaśnijmy jednak co w mowie potocznej oznacza „zmiękczanie”. Posłużę się tu przykładem jednostkowym. Spotykam, w sekretariacie pewnego dyrektora, znajomego, który zajmował w tej instytucji kierownicze, choć niezbyt wysokie stanowisko. Na moje stereotypowe pytanie: „co słyhać” — otrzymuję odpowiedź, że kiepsko, że mój znajomy spodziewa się wywalenia ze stanowiska, bowiem dyrektor wezwał go na określoną godzinę, a teraz już czeka tu półtorej godziny i dyrektor wciąż go nie wzywa do swego sanktuarium. Powiadam: „A może dyrektorowi wypadła jakaś niespodziewana konferencja, jakaś ważna rozmowa...?”

„Skądże — replikuje znajomy — już mu sekretarka po raz

drugi kawę zanoszą. On mi chce po prostu dać kopa, a każe czekać, żeby mnie zmiekczyć, abym nie podskakiwał, abym nie wierzał...”.

Opisany przypadek to właśnie pospolity i prymitywny sposób „zmiękczania”, przez zastraszanie, sponiewieranie, ośpienie. Całego społeczeństwa nie sposób wezwać do gabinetu I-go sekretarza i kazać mu czekać. Wprawdzie społeczeństwo czeka, i to ponad trzydzieści lat, ale czeka inaczej, dotkliwiej choć niepozorniej. Chodzi o zmiekczenie nie tyle fizyczne co psychiczne.

Można więc ustalić, że korupcja dokonuje się zarówno poprzez zachętę, jak też poprzez perswazję (oczywisty eufemizm: skrajnie tej metody przewidują ojcowskie rady, jak też łamanie gnatów w sensie niemal dosłownym), ale ponadto występują jeszcze formy nie dające się zakwalifikować do obu wymienionych grup. Chodzi mianowicie o te metody, których celem jest dezintegracja i zarówno intelektualna jak też moralna pauperyzacja społeczeństwa.

Ten w zasadzie dość klarowny obraz ulega zamazaniu wskutek tego, że mówiąc „społeczeństwo”, obejmujemy tym pojęciem zlepek dość różnych i już w swej istocie konfliktowych grup. Państwo to nie abstrakcyjne pojęcie, ale zinstytucjonalizowana władza. W wypadku ustrojów totalitarnych władza pozostaje w rękach pewnych szczególnych grup społecznych. Dla wypełniania jej potrzebny jest jednak wcale liczny aparat i potrzebne jest minimalne wprawdzie, ale niezbędne zaplecze ludzkie. W ustroju totalitarnym rośnie więc na bazie całości społeczeństwa nowotwór: pokraczna piramida władców i ich aparatu. Doskonale przewidział to Orwell, karykaturyzując przeciwstawne sobie światy partyjnych i bezpartyjnych „prołów”. Ale u Orwella wizja ta ulega demonizacji, bowiem takie jest prawo literackiej fikcji. W rzeczywistości pomiędzy tkanką zdrową, a tkanką rakową granica jest płynna: jedno w drugie się wtapia, bowiem piramida hierarchiczna partii jest u samego dołu rozmyta i amorficzna, świadomie zresztą: nie każdy bowiem zasługuje na wyróżnienie przez sam fakt uczestnictwa. A jeszcze na dobieitek ironiczne życie stwarza sytuacje nieprzewidziane, mącące radosny krajobraz społeczeństwa zniewolonego. Oto na owej szarej bazie „prołów”, wokół masywnej piramidy partii, wyrastają samorzutnie rozmaite samoczynne pagórki: tu arystokracja pieniądza, ówdzie potentaci nauki i kultury, biznesmeni i intelektualisci. Pomiędzy górą i pagórkami nie ma żadnej łączności, poza tzw. kontaktami osobistymi. Istnieją niezależnie od siebie, a ta niezależność musi w efekcie prowadzić do sytuacji konfliktowych. W socjologii *tertium non datur*.

Jest rzeczą oczywistą, że inne zasady zachęty funkcjonują w stosunku do uprzywilejowanych, naznaczonych partyjnym charakterem (należą tu bowiem także inni adherenci: członkowie pozostałych pseudopartii PRL'owskich, a nawet dopuszczeni do łask i zaufania eksponowani bezpartyjni), a inne w stosunku do „prołów”. Dodajmy, że również w piramidzie władzy stopnie zachęty są równie zróżnicowane, jak sama struktura tejże. Stąd niemożliwością staje się szczegółowe analizowanie metod, a jedynie globalne ich charakterystyki.

Na najwyższym pięttrze apetyty są oczywiście gargantuiczne i występują w dwu zasadniczych ukierunkowaniach: na władzę i na forszę, ale najczęściej w obu jednocześnie. Do przeszłości należy drobnomieszczański w gruncie rzeczy „styl” Gomułki i innych Kliszków, gdzie pułap luksusu nie przewyższał skali CDT (Centralne Domy Towarowe — największa wyprzedaż rodzimych bubli). Dziś nawet skala Pewexu nie zawsze wystarcza. Nie wystarcza zwykły, krajowy Fiat i konieczny jest wóz zagraniczny, za którego samo cło (o ile oczywiście ci z wyzyny zobowiązani są je płacić) stanowi sumę astronomiczną w przeciętnym budżecie tubylcy. Nie wystarcza wyjazd na wakacje do któregoś z państw bloku demoludowego, trzeba koniecznie jechać na zgniły Zachód. Nie wystarczy zwykła „dacha”; w to miejsce pojawia się zaczyna niby-majątki, neo-dwory i pseudo-pałace. Zresztą i prawdziwe adaptuje się na potrzeby rodziny (czytaj „ferajny”), niegdyś wystarczał Natolin, teraz już i Stary Otwock za ciasny.

Na tle tej elitarnej pazerności wyrastają uboczne zjawiska i termin „czerwona arystokracja” coraz wyraźniej przyodziewa się w kształt realny także od strony obyczajowej: to noszenie sygnetów, przebąkiwanie o cioci-hrabinie, ten swoisty styl bycia, te maniery...

Obok neoarystokracji neokapitalizm. Dość powszechnie mówi się o udziałach najwyższych dygnitarzy w przedsiębiorstwach, które już tylko nominalnie posiadają status przedsiębiorstw państwowych, a *de facto* są spółkami z całkowicie ograniczoną odpowiedzialnością. Na przykład z „Hortexem” wiąże się nazwisko Jaroszewicza, a o „krwawym Maciusiu” (Szczepańskim — tym od radia i telewizji), że posiada własną stajnię wyścigową (nie mówiąc o jachcie). Podobno jego gabinetu strzegą szamowani na lokaj goryle, a w ogóle panuje tam styl zaiste kacykowskiej pompy i *blagonadzieńności*. W epoce Gomułki tylko Cyrankiewicz zapowiadał przyszły kierunek ewolucji. Dziś już nie w „białym domku” nie przypomina ideowej i umysłowej acz „towarzysza Wiesława”. Z neo-arystokratami i neo-kapitalistami miesza się co najwyżej nadal nieokrzesani kanibale, żądni władzy i forsy w stanie czystym. I pomimo że cała ta ferajna jest

od środka przeżarta spiskowaniem, ryciem i podrzucaniem sobie świń, niech nikt nie sądzi, że w wypadku jakiegokolwiek zagrożenia zewnętrznego nie będzie występować solidarnie. A to wszystko musi niezbędnie prowadzić do rządów oligarchicznych. U wielkiego brata oligarchiczność stała się już faktem, u nas jej znamiona dostrzegalne są wyraźnie. Inaczej przecież być nie może: „prawo ferajny” funkcjonuje oddolnie jako naturalny dobór kadry, odgórnie musi, w ogniu wzajemnego gryzienia się i mocowania, krzepnąć w układ stabilny.

W średnich regionach już nie władców ale wielko- i małorzadców, czyli w sferze „nomenklatury” apetyty są może nieco bardziej utemperowane. Szczególnie jeśli chodzi o władzę. Lwiej większości „nomenklaturów” wystarcza pozór władzy nad stadkiem podwładnych, poza tym jest tylko figurantem i tylko popychadłem z wynagrodzeniem wielokrotnie przewyższającym średnią przeciętną statystycznego Polaka. Oprócz pazerności cechą podstawową jest, podobnie jak na czubku, brak podstawowych kompetencji. W PRL na czasie jest dziś mówić o menadżerach i pragmatystach. Jedni ponoć zarządzają zjednoczeniami i przedsiębiorstwami, drudzy nimi i całą resztą. Ale pierwsi to polityczno-ekonomiczni arywiści, najczęściej po prymitywnych partyjnych szkółkach: pseudo-magistrowi i fikcyj-doktorzy, drudzy zaś pragmatystami są o tyle, o ile pragmatyką nazwać można skuteczność w wywalczeniu sobie miejsca u źródła. Próg kompetencji obniża się gwałtownie im wyżej na owej partyjnej drabinie. Władcy wszyscy chyba bez wyjątku przekroczyli go dawno, pośród nomenklaturów szamoczą się niedobitki fachowców, walczących z ogólną niemożnością i z ogólnym tumiwizmem swej kasty. Obowiązuje tu karuzela stanowisk i trzeba być wyjątkowo inoletnym, by się dać z niej zrzucić. I to jest właśnie ta nagroda, ta korupcja zachęty. Przedtem mówiło się w odniesieniu do Polaka statystycznego, że „czy się stoi, czy się leży, dwa patole się należy”, obecnie można coś podobnego powiedzieć o nomenklaturach: czy jest brzydko, czy też ładnie — z karuzeli się nie spadnie.

Oczywiście nie trzeba podkreślać, że radykalnych zmian w tym zakresie być nie może bez historycznego zaiste kataklizmu. Ci wszyscy biedni naiwniacy, którzy marzyli o „socjalizmie o ludzkiej twarzy”, pomijając to, że twarzy tej dopatrywali się tam, gdzie jej być nie mogło, ponadto nie rozumieli prostej rzeczy, że o tym jaki jest „socjalizm” decydują ludzie: właśnie ta górna i średnia kadra „ferajny”, że kadra ta nie może dopuścić do żadnych istotnych zmian, bo te są dla niej podstawowym zagrożeniem. Pomimo zadufania w większości zdają sobie z tego sprawę, że to miejsce na gorze, które piastują, uzyskali bardzo

jednostronnymi „kwalifikacjami” i są zdecydowani walczyć o nie uparcie. Z twarzą czy bez twarzą.

Najgorsze jednak w całym tym niedowładzie „ferajny” jest to, że średnia kadra ma tendencję do stałego rozrastania się i sama partia, której to wcale nie jest na rękę, nie jest w stanie skutecznie temu przeciwdziałać. Zastuszonych, wypróbowanych, steranych wierną służbą jest z roku na rok więcej i nie proszą oni, ale wręcz domagają się nagrody. Proszę pamiętać, że służba w milicji i służbie bezpieczeństwa ma znacznie obniżoną górną granicę w wieku, że często i chętnie już po czterdziestce przechodzi się do cywila i że żadna emerytura nie koliduje tu z możliwością zajmowania etatu.

Opowiadał mi znajomy, który z racji pracy w sądownictwie wiele miał do czynienia z milicją, że w niedawno zbudowanym, luksusowym hotelu pracują niemal wyłącznie jego znajomi: szeregowi funkcjonariusze (tzw. dzielnicowi czy machacze z drogówki) piastują stanowiska szatniaży, barmanów i suterenów, kadra oficerska obsadziła recepcję, kasy wymiany walut i oczywiście dyrekcję.

Mało kto zdaje sobie w pełni sprawę z tego, jak bardzo groźna jest sytuacja pęcznienia sfery „nomenklatury”. Już dziś mamy w PRL więcej dyrektorów niż górników. PZPR szarpie się bezradnie, starając zredukować nadmiar etatów, tępi żałośnie niskie dochody z pół-etatów i prac zleconych, nie dlatego, aby była przeciwko zarobkom swych poddanych, ale dlatego, że nie ma forsy na ich płacenie. Wszystko co zarabia tu państwo: największy kapitalista i zdierca jakiego sobie można wyobrazić, idzie na wyżywienie owej masy z górnych szczebli ferajny, wieczne głodnej, wieczne spragnionej, po chamsku i bezwzględnie traktującej się wzajem i pchającej do żłobu. Mówi się o socjalistycznej biurokracji. To fakt. Ale szczególnie dojmującym elementem tego zjawiska jest to biurokratyczne wodogłowie, to mnożenie się dyrektorów i kierowników, ta żenująca przepychanka i obrzydliwe mlaskanie.

Na najniższych szczeblach drabiny korupcja zachęty ma nie słychanie mało do ofiarowania, ale okazuje się, że i to niewiele wystarcza. Oczywiście raz jeszcze rolę odgrywają pewne finansowe czy zawodowe ułatwienia, ale oprócz tego niebagatelny jest dla owych szarych, strasznie prymitywnych mas posmak udziału we władzy. To nic, że tylko smakiem się obchodzą, widocznie jednak sam tu bukiet wystarcza i sam fakt, że jednak można komuś trochę zaszkodzić donosikiem, że pobruździć można bezpartijnemu zwierzchnikowi, tu popchnąć, a tam szturchnąć.

Nie generalizujemy: wśród owych dołów sporo jest i takich, którzy do PZPR wstąpili dla jakiejś tam osobistej potrzeby i

którzy tkwią tam siłą inercji. Własnej i PZPR'owskiej. Ci nie chcą niczego i żywocą wyzbyci nadziei i złudzeń. I to jest ten najbliższy, bezpośredni styk z masami „prołów”.

Korupcja zachęty w stosunku do tej *silent minority* jest bardzo uboga i bardzo bezbarwna. Nie z zasady, ale z braku możliwości. Do rozdziału pozostaje przecież tak niewiele po nakarmieniu władców i nomenklatury, po obdzieleniu całego gmachu „ferajny”. Jeśli więc samemu nie można dawać, to przynajmniej trzeba przymykać oko na pokątne zarobki. Za Bieruta każdego, kto posiadał, każdego kto więcej zarabiał uważano za złoczyńcę. Zarabianie było przywilejem nielicznej grupki eksponowanych osobistości. A poza tym był bałagan i główne uderzenie skierowano na wieś — do rozkułaczania. Za Gomułki zarabianie było czynnością upadlającą i niegodną prawdziwego ideowca, ale za późno było na dokręcenie śruby do końca. Energia wyładowała się na niedobitkach prywatnej inicjatywy. Gierek po swych obu sławetnych poprzednikach odziedziczył spauperyzowane społeczeństwo, w którym zarobki stały na śmiesznie niskim poziomie. Już od dawna nie wystarczały nawet na głodowe racje i tylko pomysłowości i energii Polaków przypisać można było, że jednak jakoś żyli. Tyle że sytuacja stawała się już całkowicie nie do przyjęcia i doszło do krwawego protestu na Wibrzeżu.

W tej sytuacji ober-menadżerowi nie pozostawało nic innego, jak posmarować rany podwyżkami. Znikome, przyczyniły się przecież do pogłębienia kryzysu, w którym PRL grzązł coraz bardziej. Gierek przekroczył bowiem nie tylko próg własnych kompetencji, przekroczył również próg wytrzymałości gospodarczej. „Ferajnie” ująć nie mógł, wręcz przeciwnie — i jej musiał dołożyć, a dokładając także całej ogromnej reszcie społeczeństwa utorować drogę do sytuacji, w której znajdujemy się obecnie: sytuacji plaży, dewaluacji i braku masy towarowej. Stosunkowo niedawno do urzędowego słownika weszło na dobre pojęcie „waluty wymiennej”. To już nie słowo, to kompromitacjonizm. Bowiem stosowane jako przeciwstawienie waluty krajowej, musi — milcząco ale niezawodnie — przyjmować dla niej określenie: „waluta niewymienialna”. Więc coż pozostało PZPR do kaptowania poza ową pseudo-walutą? Pozostało przymykanie oczu na wszelkie uboczne środki dochodowe, od agencji, ogrodnictwa, prywatnej wytwórczości poczynając, a na zwyczajnej kradzieży kończąc.

To nie są żarty. Gdzie mi tam zresztą do żartów?! Okradanie instytucji państwowych stało się bowiem czynnością realizowaną zarówno przez najlichsze płotki jak i przez dygnitarzy. PRL — niewypłacalny i niesprzedajny — ulega rozgrabianiu.

W biały dzień. Z cynizmem, który musi przyprawiać o niesmak i przerażenie. Dawniej kradł szeregowy pracownik: robotnik w rzeźni czy z dostawy wynosił pięto kielbasy, inny zwędział wódkę, a czasem nawet spirytus etylowy, mechanik w warsztacie upłynniał drobniejsze części zamienne, na budowie — materiały budowlane. Widziałem na własne oczy w pewnej podwarszawskiej chałupie wiejskiej skrzynię jakichś dziwnych zwojów, przeznaczonych niewątpliwie dla skomplikowanych wyrobów elektrotechnicznych. Same przez się nie mogły się przydać do niczego: ot trochę masy plastycznej i cieniutkiego drutu. Zapytałem gospodarza, co to jest i co z tym chce zrobić? Wzruszył ramionami. Nie wiedział. Ukradł, bo coś ukraść należało. Tylko źle trafił.

Ale obecnie coraz częstsze są kradzieże półoficjalne. Po prostu kradnie się państwową robociznę i państwowy transport, a z tego rosną dyrektorskie wille. Anegdota jest oczywiście przesadna, ale — jak większość — zawiera część prawdy: Lonia przyjechał do Polski i podejmowany przez Gierka został przezeń zaproszony na *weekend* do jego prywatnej dachy w jakimś podwarszawskim Klarysewie. Gość zwiedza a dziwuje się solidności wykonania, cennym materiałom, elegancji wykończenia.

„Słuchaj no Edia, ty tak po koleżeńsku powiedz: a skąd ty wziął to wszystko?”

Gierek prowadzi gościa do okna i pokazuje rzekę:

„Ty widzisz Lonia rzekę i most na niej?”

„Kanieczno. Wiżu ja”.

„No to rozumiesz: most budowali, to tak przy okazji i dla mnie domek wystawili...”

Z kolei rewizyta, *weekend*, dacza jeszcze wspanialsza: marmury, brązy i chromy. Pytanie pada tym razem ze strony Gierka, a Lonia dobrodusnie bierze go pod rękę, do okna prowadzi, rzekę pokazuje:

„Nu, most ty widzisz...?”

„Nie!” — dziwi się Gierek.

„A no właśnie!”.

Nie mając środków na przekupywanie społeczeństwa, państwo stosuje cały szereg dodatkowych bodźców. Należą do nich niewątpliwie roboty eksportowe. W wyniku ogromnego zadłużenia „socjalistyczna” Polska stara się sprzedać za granicę, to znaczy zamienić za „walutę wymieniającą”, wszystko na co znajduje się amator. Sprzedaje się po cenach dumpingowych, sprzedaje się to, czego najbardziej brak szaremu obywatelowi: codziennie opuszczają nasze granice kolosalne transporty mięsa, gdy w kolejkach do masarni stoją po nocach żony i matki Polki, po to by nabyć byle ochłap, albo wędliny wyrabiane niemal w polowie z mięsopodobnych produktów, dobrze jeśli nietrujących,

jak olej sojowy czy mączka rybna, gorzej jeśli ulepszany, uzdatniany na mięsny wygląd i konsystencję szkodliwymi dla zdrowia preparatami chemicznymi.

Podobno w Polsce przedwrześniowej działał gang zajmujący się wywozem żywego towaru dla domów publicznych w Ameryce Południowej. Obecny, legalny handel żywym towarem odbywa się na zasadzie dobrowolności niewolników i przerażającego wyzysku handlarzy. Państwo bierze dla siebie (to znaczy na spłaty długów i dla potrzeb „ferajny”) lwią część zarobków, ale nawet to, co zostaje, stanowi dostateczny bodziec, by ludzie, którzy w kraju snują się w swych zakładach pracy, jak chorzy na śpiączkę, za granicą przeistaczali się w pracowników wydajnych, kwalifikowanych i inteligentnych. I wcale nie ma się czemu dziwić.

I tu dylemat: zła, niewydajna praca, bumelanctwo, złodziejstwo, całe to gnojenie PRL musi budzić opory, musi oburzać i przerażać bezstronnego świadka. A jednocześnie nie może go nadmiernie dziwić. Bowiem jest to po prostu konsekwencja „taktyki” i „strategii” „przodującej siły narodu” — partii. A właśnie to: nie sam fakt przekupstwa, ale fakt demoralizacji nazywam korupcją.



O ile korupcja zachęty miała (bowiem mieć musiała) tendencję, po części przynajmniej, zwiększającą, a więc kształtowała się raczej pionowo, a przynajmniej pochyło, to dwie następne jej formy posiadają zdecydowanie tendencję poziomą: niwelującą. Korupcję perswazji można wymiennie określać korupcją zmniejszania, a korupcję pauperyzacji — korupcją spłaszczania. Stąd wniosek, że obie nakładają się na siebie, że są sobie nawzajem niezbędne, że dopiero we wzajemnym kontekście nabierają prawdziwej skuteczności.

Korupcja perswazji, czyli zmniejszania przybiera najogólniej formy paternalistyczne: partia jest dobrym, przewidującym, wszechwiedzącym ojczulkiem. Ale samo słowo „ojczulek” ma dla nas — Polaków — brzmienie co najmniej złowrobnne: ojczulkami byli carowie, a super-ojczulkiem Josip Wissarionowicz. I tak zresztą powinno być: dobry ojczulek perswaduje, nagradza, ale także karać potrafi. Surowo ale sprawiedliwie. Można by rzec: tym surowiej im sprawiedliwiej. A czy ktoś ma jakieś wątpliwości co do sprawiedliwej wszechwiedzy „przodującej siły narodu”?

Perswazja na swym najniższym stopniu roztacza mit wielkiej małej stabilizacji. Mit ten ożeniony jest z wizją niezmienności, wiecznotrwałości układu społecznego. Wprawdzie mówi się wiele o przemianach społecznych, o postępie, o rewolucyjnych „sko-

kach", ale milcząco zakłada się, że dotyczy to świata zewnętrznego: tego niedoskonałego, tego który musi być naprawiony. Od wewnątrz zmiany nie są potrzebne, pewne drobne retusze udoskonalają tylko istniejącą strukturę.

Ta stabilność widzenia własnego świata jest nie tylko potrzebna po to, by wpoić ludziom przekonanie o trwałości układu, do którego winni się dostosować (w przeciwnym bowiem razie dotknę ich „sprawiedliwość społeczna”), ale po prostu nieunikniona. Całe ideowe myślenie komunistyczne jest w swej istocie aewolucyjne, bowiem bazuje na rozpoznaniu sprzed przeszło wieku, bazuje na diagnozie stanu zdrowia denata, który już dawno został pochowany. Komuniści sami siebie nie potrafią wyzwolić z wieku XIX-go, dlatego by mieli więc dopuszczać u swych podwładnych jakiegokolwiek myślenie ewolucyjne?

Raj wielkiej małej stabilizacji może nie jest tym rajem, o którym marzą bezgrzeszni, ale jest niewątpliwie propozycją egzystencji w określonych i znośnych warunkach. Po szarpaniu okupacyjnej, po mroku „bezkrwawej rewolucji”, po świtanii na tak obiecujących rozwaliskach „kultu jednostki” zmęczeniu fizycznie i wyczerpani psychicznie ludzie marzą o tym minimum stabilności, którą im oferuje „epoka menadżerów i pragmatystów”. Perswazja więc odnosi skutek, zwłaszcza, że idzie w parze z ostrzeżeniami, a później z lagami.

Wprawdzie Chińczycy wystosowali w swoim czasie przeszło sto, a może i więcej „poważnych ostrzeżeń”, ale tu nie chodzi o statystykę, a tylko o pewne stopniowanie.

Jako pierwsze ostrzeżenie i pierwszy klaps zarazem to cofnięcie drobnych przywilei, które komuś z Zachodu mogą się wydać groteskowymi, ale dla niektórych naszych bliskich sąsiadów są równocześnie marzeniami ściętej głowy. A więc odmowa paszportu, nieprzyznawanie przydziału dewiz, potem częściowe odsunięcie od łask prezentacji i powolne zanurzanie w milczeniu. To ostatnie dotyczy w szczególności wszystkich tych, którzy mają do czynienia z tzw. kulturą: nie drukuje się ich, nie prezentuje, nie reprodukuje, a jednocześnie środki masowego przekazu biorą na ich temat wodę w usta. Niegrzeczne dzieciątko postawione zostaje do społecznego kąta, to znaczy do takiego, z którego nic nie widać i w którym też nie widać. Izolacja na wolności, metody penitencjarne wspianale humanistyczne, bo i po co zaraz więzienie czy łagier?

Ludzie potrzebują ludzi. Potrzebują świadomości, że idą na przód, albo że przynajmniej stoją w dobrze wybranym miejscu. A tu nagle zalew milczenia, jak zalew ciemności. Ktoś, kto tego na sobie nie wypróbował, nie wie jak naprawdę smakuje cisza

i mrok. One po prostu smakują gorzko, a strach ma smak bardzo do tego zbliżony.

Drugim poważnym ostrzeżeniem, to jeszcze nadal pozostawienie w obrębie społeczeństwa, na tzw. wolności, ale równocześnie poważne ograniczenie tej obecności. Traci się posadę, traci się źródła utrzymania, następuje śmierć cywilna. Nie, nie ginie się z głodu, tylko zostaje się wyłączonym w większym lub mniejszym stopniu z dobrodziejstw stabilizacji. Jest się jeszcze wewnątrz społeczeństwa, a jednocześnie jakoś się w nim już nie jest. Zdarza się, że i dobrzy znajomi przestają poznawać, że przechodzą na drugą stronę ulicy, wysoką specjalizację w tym zakresie wykazali Cześci w podobczekowskiej czystce.

Ale proszę zauważyć, jak wysoki stopień humanizacji zyskał socjalistyczny system penitencjarny. Nie zamyka się jeszcze niko- go, nie zsyła, nie katuje... I gdyby nie informacja podskórna oraz informacja zewnętrzna nikt nawet nie zauważyłby tego znikania ludzi, którzy przecież wciąż jeszcze są, żyją, mają żony i dzieci, chodzą nawet na spacer i do kawiarni...

Oczywiście dalszych stopni czy gradacji ostrzeżeń wyliczyć można więcej, ale skupmy się na tych, które odchodzą od tych eleganckich metod perswazji, które powracają do metod „konwencjonalnych”: a więc stałe i często wręcz demonstracyjne inwigilacje, śledzenie, podsłuchy. Potem przychodzą aresztowania, śledztwa, przesłuchania, niekiedy wyroki. A obok tych oficjalnych nieoficjalne, a przecież wyraźnie adresowane działania: szykany mieszkaniowe, samochodowe, wreszcie pobicia. Czy Pyjas był przypadkiem niefachowego pobicia, czy też ostentacyjnego pokazania, do czego w takiej grze może dojść? Skala — jak widać — owych metod jest ogromna, cel jednakowy: trzeba jednostki krnąbrne zmiekczać, a poprzez nie zmiekczać też społeczeństwo. Bo niektóre indywidualne inicjatywy spowijają mrok tajemniczości, ale inne noszą cechy ostentacyjności. I stąd znak zapytania przy tragicznej śmierci krakowskiego studenta.

Przedstawiona tu w najbardziej schematycznym zarysie gradacja metod perswazji: od papki do pałki, jest całkowicie teoretyczna. W praktyce partia stosuje taktykę elastyczną, taktykę niespodziewanych wolt i zaskoczeń. Nauczyła się zresztą tego od społeczeństwa, które ją też raz po raz zaskakuje. Najbardziej typowym manewrem (tfu, sam zaczynam popadać w ów żołnierski żargon) to mieszanie perswazji ostrej z odrobiną liberalizacji. A więc dokręca się śrubę, a potem nieco popuszcza. Przypomina to technikę hamowania na śliskiej szosie: ciągle nadeptanie hamulca prowadzi nieuchronnie do poślizgu: hamowanie i popuszczanie chroni przed nim. Już dwie ekipy w PRL-u dokonywały klasycznego poślizgu, a trzecia jest na samej jego granicy. Zmiany

ekip niewiele przynoszą korzyści, ale przynajmniej w pierwszym momencie po zmianie, „nowi” boją się zbyt obcesowego nadeptywania na hamulec. W ruch idą inne narzędzia korupcji. A więc obserwować można mniejsze — zamierzone — interwały pomiędzy korupcją zachęcającą, perswadującą i pauperyzującą, oraz większe — te niezamierzone. Przy tych ostatnich społeczeństwu udało się jednak to i owo wytargować. A więc przełamać tendencję niwelującą. Partii ogromnie zależy aby te straty (wzwyż) wyrównać i nasila się ściąganie społeczeństwa w dół. I na to jest tylko jedyna rada: ono samo — to znaczy społeczeństwo — musi się przeciwstawiać działaniom niwelującym, bowiem nikt, żaden KOR, żadna niecenzurowana publikacja, żadna zagraniczna interwencja zdziałać tego nie może.

Zmiękczenie społeczeństwa ma służyć jego niwelacji. Perswazja przeobraża się w represję, „socjalistyczny humanizm” w zwyczajny zamordyzm i nic nie stoi na przeszkodzie, by na tak przygotowanym gruncie uprawiać korupcję niwelującą: korupcję pauperyzacji.

W bardzo wysokim stopniu korupcja ta wyrasta z pauperyzacji ekonomicznej. Ta w zasadzie nie jest zamierzona, hasła o „wydłużaniu kroku”, hasła o dobrej robocie i inne tego rodzaju nie należą do kategorii hasła-widm, ale do kategorii pobożnych życzeń. Po prostu pauperyzacja ekonomiczna wynika z niedowładów ustrojowych: z kalektwa organizacyjnego i ze wsteczności ideowego. Ekonomia nie może być uzdrowiona, dopóki nie uzdrowieni są jej lekarze. Świat — z uwagi na właściwości ekonomiczno-ustrojowe można by dziś podzielić na trzy kategorie: państwa rozwinięte, państwa rozwijające i państwa niedorozwinięte, a oczywiście tę trzecią grupę stanowią kraje komunistyczne.

Niemniej owe kraje niedorozwinięte (nie taki on znowu wariat, powiada pewien mój znajomy o większości swych bliźnich, których nie darzy sympatią) swą katastrofalną sytuację ekonomiczną potrafią wygrywać na korzyść swych założeń antyspołecznych: niwelacyjnych. Kalektwa gospodarcze zwala się na różne czynniki postronne i wewnętrzne, buduje się na nich rozgałęzioną mapę fobii i kompleksów. My Polacy jesteśmy niezwykle skłonni do tych ostatnich i ze swą młodziankową (jakby rzekł Gombrowicz) i zarazem zaściankową (jakby rzekł Jasienica) mentalnością bardzo chętnie pielęgnujemy te podsuwane nam ogródki. Winni są wszyscy, tylko nie my. Podły Zachód: świat bezwzględnych kapitalistów, winni są krajowi reakcjoniści i oportuniści, szpiegdy z „Kobry” i sprzedawczycy z „Prawa i życia”, winni są oczywiście Żydzi, a milcząco przyzwala się nawet na oskarżanie radzieckich towarzyszy.

Bardzo istotne w owym powszechnym szczuciu jest utrzy-

mywanie fikcji społeczeństwa klasowego, które teoretycznie ma zaniknąć w raju komunistycznym, ale w rzeczywistości codziennej utrzymuje się nadal. Proszę zauważyć ile się w propagandowych enuncjacjach mówi o chłopie i robotniku, dodając półgębkiem „inteligenta pracującego”, jak perfidnie wygrywa się „pochodzenie społeczne” itd. To sam w sobie problem olbrzymi i nie mogę go tu rozwinąć, więc tylko moja własna na ten temat opinia: społeczeństwo polskie, w ramach socjalistycznej niwelacji, zatraściło pierwotne antagonistyczne struktury: dziś nie ma barier ekonomicznych, ani żadnych innych, które dzieliłyby pomiędzy sobą robotnika, chłopą i to wszystko, co — drogą milczącej zмовы pauperyzantów — zastąpiło obszarnika, kapitalistę, burżuja, w ogóle wyzyskiwacza — a więc po prostu „inteligenta”. Nie twierdę, że podziałów w społeczeństwie nie ma, bowiem wyżej wykazałem któredyś one przebiegają: nie wedle zaprzeczonych formuł marksistowskich, ale wedle struktury władzy. Niemniej sztuczne utrzymywanie fikcji „widma” klasowego jest w sytuacji komunizmu bezwzględnie potrzebne, bez niego bowiem dezintegracja społeczeństwa byłaby o wiele trudniejsza. Utrzymywanie nastrojów zimnowojennych „do środka”, a więc stwarzanie fikcji społeczeństwa konfliktowego służy odwróceniu uwagi od tych konfliktów, które je rzeczywiście drążą.

Można by rzec, że jest to wygrywanie niezamierzonej pauperyzacji ekonomicznej w planie polityczno-społecznym. Ale wygrywanie naszych klęsk odbywa się także w planie moralnym, bowiem na nim krzewią się te wszystkie choroby społeczne z którymi państwo „socjalistyczne” niby-walczy, a także te, które okryte są szczerze milczeniem. Państwo „socjalistyczne” walczy więc z alkoholizmem, brakoróbstwem, niszczytelstwem (zwłaszcza „mienia społecznego”), z łapownictwem, kumoterstwem, ze złodziejstwem i pornografią. Jeśli towarzysz Łukaszewicz śmie zaliczać do sukcesów ustroju to, że nie dopuścił on do rozkrzewiania się pornografii, świadczy to nie najlepiej o mentalności wodza „bandy Łukaszy”, bowiem pornografia wydaje się małym piwem wobec np. prostytucji, która w tymże kraju krzewi się bujnie i co więcej, krzewi pod opiekuńczymi skrzydłami władzuchny.

PRL nie walczy bowiem w rzeczywistości ani z prostytucją, ani z czarnym rynkiem, a już całkowicie szczelna kurtyna cenzury pokrywa takie zjawiska, jak sutenerstwo, donosicielstwo, rozbrajactwo wewnątrz-partyjne, swoisty protekcjonizm milicyjny nad rozmaitymi półlegalnymi aktywnościami itd. Na polu ludowe porzekadło ustala taką oto różnicę pomiędzy prostytutką a kurwą: pierwsze to zawód, drugie to charakter. W tym państwie, w którym wyraz „kurwa” stał się porzekadłem powszednim, coś

w rodzaju socjalistycznego „Mocium panie”, i jednych i drugich nie brakuje. Od prostytutek roją się zwłaszcza hotele dla zagranicznych gości i owe dziewczęta lekkich obyczajów znajdują się pod dobrą opieką eks-milicyjnych etatowych sutenerów. I to wszystko w kraju, który szczyli się niedopuszczeniem... pornografii. A kurwy? O, tych jest jeszcze więcej. Tyle, że są przeważnie płci męskiej i o określonej przynależności.

Dotychczas mowa była tylko o tej pauperyzacji pośredniej, która wynika z pewnych konkretnych sytuacji. Ale podstawowym czynnikiem korupcji niwelującej to zamierzona, zaplanowana i w szerokim planie realizowana działalność. A właściwie to realizowana w kilku co najmniej planach. Dla porządku posegregujmy te właśnie plany: intelektualny, kulturowy, moralny i obyczajowy, no a przede wszystkim polityczny.

Na temat spłaszczania politycznego nie warto się rozwodzić. Od samego początku działa (bowiem działać musi w każdym totalitarnym ustroju) propaganda bezwzględna, nachalna i ciemnogrodzka. Jeszcze w czasie okupacji hitlerowskiej zastanawiałem się nad skutecznością owej propagandy, działającej na zasadzie płyty gramofonowej, którą puszcza się nieustannie od tego samego początku do tego samego finału i doszedłem do przekonania, że to uparte powtarzanie bredni odnosi jednak pewien skutek: spora część społeczeństwa przyzwyczaja się do tej „melodii”: jeśli jej nawet nie dowierza, to w każdym razie przyjmuje jej „naturalną” obecność.

Trzeba jednak powiedzieć wyraźnie: w dziejach PRL propaganda rozmaite przybierała formy, wyraźna była pewna fluktuacja. To co się w tej dziedzinie dzieje obecnie jest czymś przerażającym. Powróciliśmy do punktu zero: do straszliwej, stalinowskiej bredni, bredni tym bardziej trywialnej, że nie popartej żadnym zapałem, żadną fascynacją, żadnym zaangażowaniem: skorumpowani doszczętnie wyrobnicy korumpują społeczeństwo za forsy, za apanaże, za zagraniczne wyjazdy i pulchne stanowiska. Orężem w tej niesławnej ofensywie to przede wszystkim telewizja i prasa codzienna, a po części i tygodniowa. Ukoronowaniem zaś jest osławiona „Jedynka” — radiowa i telewizyjna audycja „szczekackowa”, bowiem niczym w swej istocie nie różni się od goebbelsowsko-streicherowskiej fabryki nienawiści i ciemniactwa. Pod styl „jedyńki” zaczynają się szybko podciągać inne „publikatory” i tak np. ostatnio oglądałem coś, co nazwane było „Kroniką Filmową”, ale co nic nie miało wspólnego z tą produkcją, która kilkanaście i jeszcze kilka lat temu była czymś pierwszorzędnym, czymś co utrzymywało wysoką rangę publicystyczną. To co obejrzałem obecnie nie było „kroniką”, bowiem był to jeden duży reportaż zatytułowany „Pod dachami Paryża”

i będący niczym innym, jak tylko paszkwilem na państwo, z którym Gierek stara się mieć tak dobre stosunki. Więc, że nędza, że bezrobocie, że wydziwiania (dzielnica Défense, Centre Pompidou). Pokazano miasto brzydkie, zaniedbane, walące się. Zupelny Kraków nad Sekwaną.

Bowiem cechą szczególną tych tandetnych propagandzistów to brak jakiegokolwiek kultury, odrobiny choć taktu. Oni brną za tą swoją „krwawicę” w tak nieprawdopodobne kurewstwo, że człowiek przeciera oczy (lub uszy — jeśli słucha radia). Pokazywanie trudności aprowizacyjnych w sytych krajach ludziom, którzy staczają codzienne boje o ochłap mięsa czy pseudo-wędliny, wmawianie im kłopotów mieszkaniowych wśród Amerykanów, gdy tu czeka się latami na *slums*’owe mieszkanie w mrowiskowcu, wzruszanie ich losem jakiegoś wywalonego z posady państwowej komunisty, człowieka działającego przeciwko ustrojowi, który go żywi, gdy w PRL za byle odruch w obronie praw człowieka otrzymuje się wyrok śmierci cywilnej... nie, przykładów tych mnożyć nie trzeba. Wstręt i oburzenie są jedynymi uczuciami, które pokwitować mogą działalności redaktorów „Jedynki”. Jeśli bowiem mówimy o korupcji społeczeństwa, to warstwą najbardziej ową korupcją przeżartą są dziennikarze. Wykazali to zresztą dowodnie w czasie akcji przeciwko KOR’owi w roku ubiegłym, kiedy to tak liczna ich rzesza utraciła nie tylko nazwiska (poza Horodyńskim niewiele miało je naprawdę), ale jakąkolwiek godność.

W dziedzinie politycznej PZPR stosuje niezawodną metodę Alpuhary: na społeczeństwo napuszcza się dotkniętych zarazą osobników, w nadziei, że zarażą oni tego wroga nr 1 partii i rządu.

Korupcja pauperyzująca w dziedzinie intelektualnej manifestuje się przede wszystkim wielkim milczeniem. Odkąd udostępnione zostały na Zachodzie materiały GUKPiP, ponury dokument cenzorskiego samodzierżawia, nie warto się na ten temat rozpisywać. Chodzi jedynie na wykazanie narastania tej pajęczyny. Przed kilku laty byłem w NRD i uderzyło mnie wówczas to, że tamtejsza prasa, przecież pojemnością swą znacznie od naszej, przeraźliwie chudej, okazalsza, jest zarazem nieprawdopodobnie pusta w swej treściowej zawartości. Rozwlekano tam ponad miarę jedne tematy, z lubością cytując *in extenso* z zasady straszliwie nudne przemówienia własnych kacyków, a równocześnie nie podawano żadnych wiadomości spoza żelaznej kurtyny, choć przecież nie tylko radio ale i telewizory tego pseudo-państewka wycelowane są nieuchronnie w stronę RFN i dostarczają, niestety bez przeszkód, tej zatrutej strawy prawdy, którą u nas tłumi się, gdzie to tylko możliwe.

Prasa stołeczna jest oczywiście prasą uprzywilejowaną, chociaż i w niej coraz wyraźniej kurczy się zagraniczny serwis informacyjny, na rzecz mętniackich i zakłamanych komentarzy redakcyjnych. Ale niedawno byłem w Kaliszu, solidnym i od niedawna znowu wojewódzkim mieście i nabyłem lokalną gazetę, a że było to przed niedzielą, więc miała ona nieco więcej niż sakramentalne dwie kartki, obejmowała bowiem jakieś dodatki, z nieodzownymi żartami rysunkowymi. Otóż w gazecie tej nie znalazłem *ani jednej* wiadomości ze świata. Nawet *petitem*. Nawet jednozdaniowej notatki o zbrodniach, rasistach z RPA lub siepaczach generała Pinocheta. Krajobraz tej gazety, to tylko PRL, wykrzywiony w zwierciadle zakłamania, przemilczenia, fikcji. To świat peryferyjnych interwencji, maleńkich laurek i jeszcze mniejszych prztyczków. Straszne, straszne! Stoczyliśmy się oto na poziom pseudo-państwa pt. NRD, stoczyliśmy się na dno. I nie przez siepaczy, stalinowców, nie przez kult jednostki i nie przez błędy i wypaczenia, ale przez konsekwentną działalność „menadżerów” i „pragmatystów”.

Podobne uwagi cisną się na marginesie działalności innych środków masowego przekazu. Na przykładzie działalności prasy tzw. społeczno-kulturalnej obserwować można zamierające spazmy oporu: jeszcze tu i ówdzie ktoś się poderwie, ktoś się odważy, cenzura jakoś przeoczy czy zbagatelizuje. Ale to wszystko topnieje w bezmiarze nudy i pustki. Z przyzwyczajenia przynoszę co soboty plik tygodników i chociaż one wcale nie zmniejszyły pojemności, to przecież lektura ich coraz mniej mi czasu zabiera. Przeglądam tytuły, zaglądam tu i ówdzie do tej wielkiej, czcionkowej wody: nic, zupełnie nic. Najwyższa jest wciąż jeszcze *Polityka*, ale i tę już zaczyna się nie móc czytać. Wyładowywanie wielkiej energii na próżne, na ugłaskane reportaże z „budowania socjalizmu”, na pozór krytyki, że coś tam gdzieś zaniedbano, a znów ówdzie stała się krzywda CZŁOWIEKOWI. No nie, wybaczenie, ale mnie interesują ludzie, prawdziwi ludzie, a nie wydumane przez dziennikarzy i sankcjonowane przez GUKPiP sytuacje.

Przeróżające rozmiary przybiera ostatnio pauperyzacja w zakresie wydawniczym. Zwała się rzecz oczywiście na „obiektywne trudności” (ciekawe jakie to są właściwie — w mniemaniu PZPR — trudności subiektywne?), ale to nie jest prawda, to nie może być prawda w kraju, w którym umyślnie zniszczono podstawową bazę poligraficzną — małe drukarnie i skąd eksportuje się drewno, między innymi do... Finlandii. Po prostu chodzi o to, by zatamować słowo drukowane, to zawsze niebezpieczne słowo. Papier znajduje się na „ideologiczne” buble i na oglupiające biblioteczki w rodzaju „Złotego tygrysa” czy „Pociągu repor-

terów” („Polityka” dla ubogich duchem). Śmiesznie niskie nakłady wartościowych książek mówią same za siebie. Pozorne wydawanie, a więc z góry skazywanie książki na sprzedaż „spod lady” (przypomnijmy „Kalendarz i klepsydrę” Konwickiego, „Przed nieznanym trybunałem” J. J. Szczepańskiego, a także tłumaczenia wielu znanych na Zachodzie autorów) — to praktyka coraz powszechniejsza. Krajobraz witryn Domu Książki w ostatnich dwu latach zszarzał i uwiadł: płasko tu i ubogo jak na Mazowszu czy Podlasiu.

Wreszcie szkolnictwo. Nawet w prasie oficjalnej podniosło się kilka sporadycznych głosów przerażenia w obliczu regresu poziomu szkół podstawowych. Nie lepiej jest na wyższych uczelniach, które po wojnie rozmnożyły się znacznie, ale ilość nie przeszła w jakość. Reforma po reformie spłaszczają to nieszczerne szkolnictwo coraz bardziej, a nie bez znaczenia jest i to, że wyjątkowo niskie pobory w tej dziedzinie odstraszały potencjalnych kandydatów i pedagogami zostają najmniej inteligentni, najmniej dynamiczni, wyjątkowo tylko przychodzący tu z powołania.

Ten czarny krajobraz, czy może lepiej szary i smętny krajobraz byłby nie do zniesienia, gdyby nie działanie ludzi zaangażowanych (oczywiście nie w działalność partyjną, tylko w zawodową). Jeżeli szkolnictwo i wydawnictwa, jeżeli teatr i film, jeżeli literatura i nauka bronią się, autentycznie: bronią przeciwko temu spłaszczeniu, to jest to zasługą tych wszystkich, którzy jeszcze nie dali się skorumpować, którym zależy na własnym zawodzie czy własnej twórczości, a nie tylko na własnej kieszeni i własnych ambicjach życiowych. I jest to radosny, słoneczny blask światła, który kruszy mroki.

Nie byłoby korupcji pełnej, gdyby nie korupcja w planie moralnym. Kościół jest dla komunistów wrogiem nie tylko dlatego, że stanowi pewną siłę polityczną, że jest instytucją niepodległą, a więc w sposób naturalny przeciwstawną instytucji władzy totalitarnej, ale również, czy też przede wszystkim dlatego, że naucza i upowszechnia taką moralność, która dla władzy dyktatorskiej jest trucizną. Kościół to stary wyga, to sędziwy praktyk i z niejednym kolaborował już ustrojem. Sumienie jego (o ile instytucja może mieć takowe) usiane jest ciemnymi plamami rozmaitej wielkości i nasycenia, ale podstawowe założenia są demokratyczne, a przede wszystkim pluralistyczne. I demokracja i pluralizm to coś, co musi w gardle stawać każdemu totalitaryzmowi.

O wielu szczegółowych elementach korupcji moralnej, takich jak nieuczciwość, zawiść, kłamstwo i zgoda na nie, była już

mowa i nie warto szerzej się nad tym rozwodzić. Pozostawiamy przy sprawach ogólnych: zachwianie i unicestwienie podstawowych zasad porządku etycznego, który normuje międzyludzkie stosunki, to zadanie każdej władzy, która ani od Boga nie pochodzi, ani ten od ludzi tworzących porządek społeczny. Władza narzucona ma zawsze kruche podstawy i, aby zapewnić sobie trwałość, musi niszczyć to wszystko, co jest w sposób niejako naturalny władzy tej przeciwne. A do tych właśnie zjawisk należy moralność, należy etyka społeczna.

Komuniści od kościoła nauczyli się wiele i na swój sposób imitują jego taktykę. Przyjęli więc dogmaty objawione, których i dowodzić nie trzeba. Przyjęli skarykatyzowaną celebrę (pochody — procesje, akademie, wiece), a przede wszystkim sposób głoszenia ambonowego. Tylko że śmiech pusty bierze, gdy z owych świeckich kazalnicy padają wzniośle frazesy o „moralności socjalistycznej”. Jest coś groteskowego i ponurego zarazem w tym, w jaki sposób można degradować słowa, które niegdyś brzmiały wzniośle i wyznaczały lub zdawały się wyznaczać kierunek całej ludzkości. Obecnie bowiem gdy jakiegokolwiek pojęcie ogólne opatruje się określeniem „socjalistyczny”, oznacza to, że się je deprawuje, zniekształca i likwiduje. „Demokracja socjalistyczna” oznaczała zerwanie z jakimkolwiek demokratyzmem ustrojowym, „sprawiedliwość socjalistyczna” jest równoznaczna z likwidacją niezawisłości sądownictwa i sankcjonowaniem bezprawia, „realizm socjalistyczny” to była kpina z estetyki i także „moralność socjalistyczna” nie oznacza niczego więcej jak sankcjonowanie amoralizmu w życiu jednostek i ogółu. A na koniec: cóż najlepszego uczyniono z samym pojęciem „socjalizm”? Zostało ono w strefie demoludów tak strasznie wykoszlawione, że osobiście zaczynam wątpić czy w ogóle „socjalizm” jako ideologia jest do przyjęcia, zaczynam podejrzliwie przyglądać się zacyzmu, uczciwym, niezakłamanym socjaldemokracjom Zachodu. Uraz? Nie wątpi. Ale niech nikt nie twierdzi, że spadł z nieba.

Z korupcją w planie moralnym sąsiaduje bezpośrednio korupcja w planie obyczajowym. I o niej powiedziałem już sporo, więc obecnie chciałbym zająć się wybranymi, szczególnie rażącymi aspektami: cwaniactwem i chamstwem. Cwaniactwo jest przez ustroje totalitarne o tyle tolerowane, a czasem nawet popierane, że nie grozi ono zazwyczaj tendencjami wywrotowymi. Cwaniak to taki, który nie chadza pod prąd, który raczej płynie z prądem, a więc w zasadzie stanowi potencjalnie materiał na członka „ferajny”. Ostatnio wielką, wyidealizowaną i nawet upatrytycznioną apotezę cwaniaka był obrzydliwy w gruncie rzeczy serial „Polskie drogi”, który obrzydliwość swą zawdzięczał przede wszystkim temu, że grał na prymitywnych, ale cennych ludzkich

uczuciach, ewokując najgroźniejsze i najpiękniejsze momenty okupacji, a tym sposobem lansował prawdy o tamtym czasie kłamliwe, fałszujące najbardziej podstawowe fakty. Czy realizatorom zamierzenie się udało? W pewnym sensie tak: nieprzygotowany, a zwłaszcza niepamiętający tamtej epoki widz spragniony jest wiadomości o tej niedawnej historii i będzie szedł na lep każdej wrednej propagandy, jeśli takową przystroi się w idealistyczne szatki. Ale w tym serialu zakłamania jego autorzy zdradzili się niespodziewanie dla samych siebie w swym pauparystycznym działaniu: jedyną ludzką, jedyną jakoś prawdziwą postacią stał się Kuraś, wszędobylski cwaniaczek, kanciarz, handlarz, kombinator, ale „złote serce”, co i kolesia wykupi z łap Gestapo, i Żydówce przyjmie jako własne dziecko.

Kuraś był rzeczywiście sympatyczną postacią i rzeczywiście w jakiś sposób prawdziwą. Polacy to często tacy kombinatory o ludzkiej, uczuciowej podszewce moralnej. Chodzi o to, że tylko on jeden wyszedł w serialu prawdziwie, że on jeden mógł jakoś widza o jakich takich wymaganiach przekonać, a przecież innych postaci przesunęło się przed tym widzem mrowie.

Nie sądzę, by autorzy świadomie dokonali tego aktu gloryfikacji, gdyż w każdym razie partia nigdy by świadomie i oficjalnie takiego beatyfikowania nie zalegalizowała. Stało się tak po prostu dlatego, że sztab twórców i realizatorów serialu siebie samych dostrzegł w Kurasiu. Bowiem telewizja i film, doły literatury i w ogóle kultury pełne są takich cwaniaczków: czasem odrażająco cynicznych (szczególnie w dziennikarstwie), czasem cynicznych na pół świadomie. Ten lupek Kurasiów tylko Kurasia mógł sportretować o tyle prawdziwie, że nadawszy mu własne rysy, dokonał tylko drobnego retuszu: uszlachetnił, zbeatyfikował tego autobohatera.

Osobnym zagadnieniem jest chamstwo. Tu PZPR nie zajmuje wyraźnego stanowiska, bowiem zająć takiego nie może. Ale jeśli wyznawać determinizm, to takowy musi wyprowadzać z tego wszystkiego co tu opisałem, z owej totalnej korupcji konsekwencje takie, jak właśnie owo chamstwo. Chamstwo w mym kraju jest przerażające, śmiem twierdzić, że jak przedostatnie miejsce w Europie w dziedzinie wydawniczej zajmujemy przed Albanią, tak w dziedzinie dobrego wychowania i cywilizacji obyczajowej to samo przedostatnie miejsce piastujemy przed Związkiem Radzieckim. Tam tylko spotkałem się bowiem z tak ponurym popychaniem, pokrzykiwaniem, z tą codziennością wzajemnej niezyczliwości.

Sądzę więc, że chamstwo, stające się swego rodzaju formą obcowania w kręgach partyjnych (zetknęłem się z nim osobiście na nizinach i na wcale wysokich piętrach tej piramidy), staje

się równocześnie pewną normą bytu społecznego. Że się go ani popiera, ani tępi, że się je obserwuje z pewnego rodzaju życzliwością. Bowiem chamstwo to tylko forma, ale jakże często forma rodzi, a w każdym razie narzuca treść. Owa codzienna niezyczliwość Polaka statystycznego ułatwia dojrzewanie w nim tych wszystkich fobii, które władza tak skutecznie roznieca, powoduje nateżenie przyrodzonej mu cechy zawiści, którą Wańkowicz niegdyś określił mianem „kundlizmu”. W tym sensie chamstwo staje się sojusznikiem ustroju totalitarnego w dezintegracji społeczeństwa, w jego zastraszaniu i neutralizowaniu.

Przedstawioną tu przez mnie ogólną charakterystykę „Akcji K” można by oczywiście rozpatrywać bardziej szczegółowo, a ponadto wieloplanowo. Ani społeczeństwo nie jest jednolitym ciastem, które można formować dowolnie, ani władcy nie są tak głupi, by nie wyczuwać niezbędnych niuansów. Chciałbym tylko wskazać na jeden aspekt: na — jak to się ślicznie w żargonie partyjnym określa — „odcinek młodzieżowy”. Młodzież w każdym społeczeństwie jest elementem najłatwiejszym i najtrudniejszym zarazem. Najłatwiejszym, bowiem z natury swe podatnym na zamierzone formowanie, najtrudniejszym, bowiem impulsywnym, łatwo zapalnym i reagującym bez owej znieczulicy tak właściwej ludziom starszym.

Na wychowanie młodzieży w odpowiednim duchu PZPR kładzie ogromny nacisk, a zdając sobie sprawę z owej dwojakości charakterologicznej, stosuje, w prymitywny sposób, dwie podstawowe metody: flirtu i schlebienia oraz zastraszania i represji. Metody są prymitywne i obrzydliwe, ale w jakiejś mierze skuteczne. Mówię to z pełną świadomością, że może mnie ktoś posądzić o pokoleniową stronniczość, ale na swą obronę nie mam niczego, poza szczerem, ale siłą rzeczy gołosłownym oświadczeniem: uważam współczesną młodzież polską za wartościową, nieskorumpowaną w swej większości, w swej masie uczciwą, a w każdym razie o wiele uczciwszą od nas: dorosłych, dojrzałych i wręcz starzejących się przyków. A jednak jest w tej młodzieży coś, co świadczy, że „Akcja K” i tu przyniosła pewne rezultaty: jest w niej bierność, jakaś taka niechęć do wszystkiego, co byłoby obowiązkiem, nieufność do wszystkiego co wymyka się ze świata konkretów w sfery pojęć ogólnych.

Nie może być zresztą inaczej: tę młodzież ogłupia się straszliwie prymitywnymi rozrywkami, łoży się krocie na ogłuszającą „muzykę młodzieżową”, dba o kluby „młodzieżowe”, pielęgnuje pseudo-styl „młodzieżowy”. To jest strona pochlebna: ogłupiająca. Z drugiej strony tę młodzież się zastrasza, bije, inwigiluje, przekupuje i szantażuje. Że w tych warunkach działają jeszcze SKS'y, że ci ogłupiani i zastraszani formujący się ludzie wykazują

od czasu do czasu wspaniałe zdecydowanie i wspaniałą dyscyplinę, to zasługa tu jedynie rodzinnego domu i kościoła.

Wskazałem już poprzednio na te środki zachęty, które państwo totalitarne, jakim jest niestety mój kraj, przeznacza dla społeczeństwa. Gospodarczy niż stoi na przeszkodzie, by łapówki przedstawiały większą wartość. Wobec braku środków materialnych propagowanie pewnego standardu cywilizacyjnego: stabilizacji, „malucha”, telewizora (o ile możliwości kolorowego), lodówki i odkurzacza, opierać się musi na owej tolerancji wobec gospodarczych improwizacji jednostek. Za to daje się, wcale nie małym kosztem, odpowiednią porcję rozrywki. Tą rozrywką jest sport, odrażająco zabarwiony szowinizmem, jest muzyczka, piosenka, niewybredne widowisko, a wreszcie woda.

To co się współcześnie dzieje w Polsce w jakimś sensie przypomina saskie zapusty. W pewnym sensie, ponieważ ani takich bogactw już tu nie ma, jakie jednak były wówczas, mimo całego rozkładu społeczno-gospodarczego I Rzeczypospolitej. Niemniej i dziś celem bardzo wielu moich rodaków, celem zasadniczym to jedzenie, picie i popuszczanie pasa. Z artykułami spożywczymi jest kiepsko, ale nie beznadziejnie, gusta się ogromnie — jak i charaktery — spauperyzowały i chodzi przede wszystkim o to, aby było dużo, dużo, bo to konieczne pod kielicha.

Równocześnie nastrój saskich zapustów PRL sąsiaduje i stapia się z drugą jeszcze historyczną reminiscencją: z Targowicą. Społeczeństwo skorodowane jest wszelkiego rodzaju łapskami, jurgielnikami, prowokatorami, przeżarte jest chorobą korupcji na wszelkich piętrach i we wszystkich grupach. To ważne, aby biorąc historię za świadka, nie zapominać, że byliśmy nie tylko szwależerami czy powstańcami, ale także sprzedawczykami i szmalcownikami, że dwojakość naszej narodowej natury w tym także się przejawia. To jakaś wielka, jakaś przerażająca sprawa ogólnonarodowa, ale rozwijać jej nie chcę i nie śmiem, bom ani Cassandra, ani Skarga z zamiłowań i z powołania.

Kończąc tedy ograniczę się do jedynego możliwego wniosku: w stanie śmiertelnego zagrożenia społeczeństwo musi podjąć walkę, musi podjąć zdecydowaną samoobronę. Konsekwencją każdej dyktatury, każdego totalitaryzmu jest to, że następuje wyraźny rozdział władzy od społeczeństwa i że te dwa czynniki muszą znaleźć się w sytuacji konfrontacyjnej, w ostrym wzajemnym konflikcie. Władzy społeczeństwo jest potrzebne: władza nie jest bowiem tworem samoistnym, ale narodziła się, co egzystuje pośrednio. Od charakteru władzy: demokratycznej czy uzurpatorskiej zależy czy narodzi się będzie naturalnym elementem konsolidującym społeczeństwo, czy też jemiółą. W tym drugim wy-

padku celem władzy jest wysysanie tego na czym wyrasta, ale równocześnie dbałość o byt tego społeczeństwa, bez którego istnieć nie może.

W szczególnej sytuacji naszego kraju, gdzie obecnie nie ma realnych podstaw do zrzucenia władzy uzurpatorskiej, do samoczyszczenia, pozostaje jedno: przy realistycznej zgodzie na istnienie owej narośli, równie realistyczna i twarda kontrola jej funkcjonowania. Społeczeństwo nasze było za Bieruta objęte krwawym, brutalnym, na wzorach rosyjskich opartym terrorem. Zwartość, nieprawdopodobna odporność pozwoliła mu przetrwać tamte lata w stanie właściwie nieskażonym. Korupcja społeczeństwa, działalność wyrwykowo i jeszcze dość nieudolnie podjęta za Gomułki, a znacznie udoskonalona przez „menadżerów” i „pragmatystów” jest formą nacisku o wiele łagodniejszą, ale też śmiertelnie niebezpieczną.

Z tego płyną podstawowe obowiązki społeczeństwa wobec samego siebie: jeśli nie chce dać się zdeintegrować, jeśli, jak to się popularnie mówi: nie chce dać się zwariować, musi odierać wszelkie godzące w nie elementy „Akcji K”.

To łatwo powiedzieć: bronić się, ale jak? czyimi rękami? czy może raczej czyimi głowami? Społeczeństwo to jest masa niedookreślona i niedoaktywna, której działanie musi dokonywać się przez jednostki i ich grupy. Wydaje mi się, że walka ze społeczną korupcją jest zadaniem podstawowym wszelkich odłamów opozycji, czyli tych form czy działań szczytkowych, które w tym ustroju są możliwe. Małe, ale jakże ważne dla życia społecznego grupy ludzi zdeterminowanych, którzy oficjalnie podjęli działania owej samoobrony, wysuwają się na czoło i tym bardziej przeraża, jeśli w szeregach ich następują rozłamy, jeżeli umysłowości ich wykazują porażenie „partyjniackim myśleniem”. Ogromnie doniosła rola przypada kościołowi i ruch odnowy moralnej, zainicjowany przez prymasa jest działaniem wspaniałym i jakże na czasie. Tylko, a pytanie to aż strach postawić: jak długo jeszcze Wyszyńskiego? A pytanie to ma głębszy sens niż troska o tego, wspaniałego skąd inąd człowieka, bowiem dotyczy autorytetu. Społeczeństwo, jeśli ma reagować na słabe głosy tych, którzy stają na straży jego sumienia, muszą takim swym przedstawicielom ufać bezgranicznie. I tu wielka rola uczonych i intelektualistów, któż bowiem jak nie oni na takie zaufanie zasługuje?

Uwaga, uwaga: Jesteśmy zagrożeni w najczulszym punkcie każdej jednostki i każdej zbiorowości: w równowadze społecznej. Nie pragniemy walki, ale musimy się bronić! Przeciwno „Akcji K” — ruch samoobrony moralnej!

Tymoteusz KLEMPSKI

Niezależna prasa krajowa

KRYTYKA — NOWE NIEZALEŻNE PISMO
W POLSCE

Ukazał się pierwszy numer periodyku *Krytyka*. Za Komitet Redakcyjny podpisał Stefan Starezewski. Pismo uchodzi za zbliżone do Jacka Kuronia i Adama Michnika. Poniżej zamieszczamy słowo Od Redakcji i spis treści.

OD REDAKCJI

Wychowywanie ludzi do współuczestnictwa w publicznym kłamstwie, wyuczanie ślepoty na publicznie demonstrowaną nikczemność, niszczenie w ludziach poczucia odpowiedzialności za publiczne sprawy — oto metody nigdy nie demonstrowane w oficjalnych „programach rozwoju”, oto metody zawsze stosowane w systemie totalitarnej władzy.

Jednym z wielu objawów funkcjonowania systemu jest niszczenie wszelkich przejawów publicznie wyrażanej, niezależnej, krytycznej myśli o sprawach publicznych.

Myślenie, którego podstawą jest uwolnienie od ograniczeń doktrynalnych i nacisków instytucjonalnych poszukiwanie prawdy o faktach, procesach i zjawiskach społecznie doniosłych, myślenie odsłaniające sferę suwerennych praw jednostki ludzkiej w społeczeństwie oraz sferę uprawnień społeczeństwa do decydowania o własnych losach, myślenie przeciwstawiające się apatii i społecznej bierności, ksenofobii oraz postawom rezygnacji z suwerenności narodowej — tak pojmowane polityczne myślenie jest dla nas wartością, której bronić chcemy poprzez rozwój, to znaczy poprzez spór, polemikę, kontrowersję — poprzez ujawnianie różnych punktów widzenia.

Takie są przesłanki i motywy powołania pisma *KRYTYKA*.

Wszakże nie one jedynie. Przede wszystkim pismo powstało jako wyraz przekonania, że opozycji antytalitarnej jest potrzebna świadomość polityczna nowego typu. Świadomość, która nie będzie tylko artykulacją emocjonalnej niezgody na obecną rzeczywistość społeczną, która nie będzie tedy bezpośrednią odpowiedzią na sytuację zastaną, lecz podejmie próbę poszukiwania nowej wizji świata.

KRYTYKA więc nie ma stanowić prostej negacji propagowanego oficjalnie systemu wartości, lecz ma być jego przewyciężeniem — to zaś znaczy, że powinna być przewyciężeniem takiego myślenia, które — określwszy się w bezpośredniej do tego systemu opozycji — nieuleczalnie się odeń uzależniło.

SPIS TREŚCI

Od redakcji, W 10 LAT PO WYDARZENIACH MARCOWYCH: Bronisław Baczko, Stanisław Barańczak, Zygmunt Bauman, Włodzimierz Brus, Ludwik Dorn, Urszula Doroszevska, Gustaw Herling-Grudziński, Maria Hirsztowicz, Zygmunt Karliński, Leszek Kołakowski, Anka Kowalska, Jan Józef Lipski, Jacek Kuroń, Lesław Maleszka, ks. Stanisław Małkowski, Adam Michnik, Krzysztof Pomian, Aleksander Smolar, Andrzej Szczypiorski, Marek Turbacz, Jan Walc, Roman Wojciechowski, Wiktor Woroszyński, Andrzej Szczypiorski: *Dysydenci i rzeczywistość*; Aleksander Solżenitsyn: *Inteligencja*

two; DOKUMENTY: *List Wacława Havela do G. Husaka*; NAD KSIĄŻKAMI: Włodzimierz Mart: *O esejach Juliusza Mieroszewskiego*; Jan Walc: *Medaliony*.

W ciągu lipca bież. roku ukazał się nr 7 *Zapisu*, który zawiera następujące pozycje:

Czesław Miłosz: *Nowe wiersze*; Andrzej Braun: *O stanie Związku Literatów i stanie kultury polskiej*; Kornel Filipowicz: *Co zrobiono w Krakowie dla kultury*; Leszek Elekrowicz: *Instrumentalne ujmowanie kultury*; Wiesław Paweł Szymański: *Wyjaśnienie w sprawie niewydanej książki*; Jerzy Ficowski: *Przeciw dyskryminacji prawdy*; Witold Dąbrowski: *Śc granice których przekroczyć nie wolno*; Tomasz Burek: *Refleksje po XX-tym Zjeździe (Literatów)*; Antoni Pawlak: *Wiersze*; Witold Wirpsza: *Sama niewinność (fragmenty powieści)*; Jan Polkowski: *Wiersze*; *Jak było na Zachodzie* (wywiad z Haliną Mikołajską); Gustaw Herling-Grudziński: *Sto i... niepodległość*; Maria Grodecka: *Homo institutionalis*; Lech Dymarski: *Listy i wiersze*; Jan Patočka: *O kongresach filozoficznych w ogóle i o kongresie w Warnie w szczególności*; Władysław Bienkowski: *Filozofia dziejów a teoria społeczna (3)*; Andrzej Drawicz i Jerzy Markuszewski: *Co nam zostało z STS'u*; Stanisław Barańczak: *Drzewo wygnania*; Leszek Szaruga: *„Prawdę masz utrwalić”*; Jan Józef Lipiński: *Pajęczyna drzewnej mowy — i świat prawdziwy*; Grzegorz Herian: *Literatura*. Powieść; Stanisław Barańczak: *Bratni raz jeszcze*; Adam Boniecki: *Dwa felietony*: 1. Patriotyczny kryminał komputerowy, 2. Z notesu; St. B.: *Pigułka uspokajająca do użytku wewnętrzapartyjnego*; LISTY i obszerna KRONIKA.

W lipcu ukazał się w Lublinie nr 4 *Spotkań*, pisma młodych katolików, które redagują: Zdzisław Bradel, Janusz Krupski, Wojciech Oracz, Józef Ruszar (Kraków ul. Tarnowskiego 8/1) i Stefan Szaciłowski. Adres Redakcji: Janusz Krupski, 20-213 Lublin, ul. Gospodarcza 30/52.

JUBILEUSZ 40-LECIA PRACY NAUKOWEJ PROF. DR IRENY SŁAWIŃSKIEJ

Jubileusz 40-lecia pracy naukowej obchodziła prof. dr Irena Sławińska, wybitny badacz Norwida i teatru.

W młodości była związana z Wilnem, gdzie ukończyła na Uniwersytecie Stefana Batorego studia filologiczne. W okresie okupacji uczestniczyła w tajnych pracach oświatowych. W latach 1945-1949 pracowała na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, od 1950 roku związana jest z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim. Jej dorobek naukowy liczy ok. 250 pozycji.

15 kwietnia 1978 roku odbył się na KUL'u uroczysty wieczór jej poświęcony. Jubilatce wręczono specjalny tom *Roczników Humanistycznych* z pracami jej przyjaciół i uczniów.

Prof. dr Irena Sławińska jest członkiem wielu towarzystw naukowych i członkiem zespołu redakcyjnego *Tygodnika Powszechnego*. Podpisała swój akces do Towarzystwa Kursów Naukowych.

Sprawy i troski

Widmo Katynia

Zbrodnia katyńska odżyła ostatnio w najbardziej nieoczekiwany sposób, bo dzięki trudnemu do wytłumaczenia zachowaniu się Polaka z szeregu „niezłomnych”, który wystąpił w roli obrońcy niewinności Stalina i NKWD.

Sprawę wyciągnął na światło dzienne publicysta Jack Anderson w *Washington Post*. Anderson specjalizuje się w ogłaszaniu sensacyjnych niedyskrekcji wyciąganych z wnętrza biur instytucji rządowych. Jego artykuł w wersji nieco obszerniejszej ogłoszony został w 60 pismach prowincjonalnych.

Artykuł ukazał się pod nagłówkiem „Masakra katyńska ocenzonej”, ale tym razem chodziło o cenzurę nie w Warszawie lecz w *Głosie Ameryki* w Waszyngtonie.

Incydent został spowodowany przez warszawskiego korespondenta ICA (Agencji informacyjnej rządu amerykańskiego). Rone Pemstein informował w swej depeszy o odważnym wystąpieniu przeciwko cenzurze Andrzeja Brauna na Zjeździe Literatów w Katowicach. Na długiej liście tematów zabronionych Braun umieścił „szok katyński”. Amerykański korespondent — na użytek słuchaczy nie zorientowanych o co chodzi — przekazał to zdanie w wyjaśniającym kontekście: „Andrzej Braun... przytoczył jako przykład cenzury masowy mord oficerów polskich przez Związek Sowiecki wiosną 1940 roku”. Przemówienie to — informował Pemstein — „spotkało się z burzą oklasków ze strony pisarzy na sali i atakiem urzędników partyjnych”.

Jak pisze Anderson, korespondent przekazał swoją depeszę 5 maja o 10-tej rano. Tego samego dnia o godz. 22.32 cenzura *Głosu Ameryki* „usunęła z powyższego zdania wszystko, co wskazywało na ZSSR jako sprawcę”. Najprzód wykreślone zostały słowa „przez Związek Sowiecki”. Później skreślono dodatkowo datę 1940. W ostatecznej wersji nadane zostało zdanie: „Braun wymienił morderstwo polskich oficerów w czasie drugiej wojny światowej”.

Anderson przytoczył dosłownie instrukcję cenzury PRL, zakazującą jakiegokolwiek wzmianek obciążających Związek Sowiecki odpowiedzialnością za śmierć oficerów polskich w Katyniu, jak również podawania wcześniejszej daty zbrodni niż sierpień 1941. W ten sposób — konkluduje publicysta amerykański — redakcja *Głosu Ameryki*, która ma reprezentować na zew-

natrzą panującą w Stanach zasadę wolności słowa — zastosowała się ściśle do reguł cenzury komunistycznej.

Anderson informuje, że incydent spotkał się równocześnie z dwoma protestami ze strony polskiej. Jedenastu Polaków z Polskiej Sekcji *Głosu Ameryki* wystosowało list zbiorowy do kierownika amerykańskiego działu VOA Hansa Holtzapfela. Drugi protest dotarł od opozycji w kraju. Z pisma otrzymanego z Polski za cytowane zostało przez *Washington Post* tylko jedno zdanie. Musiało ono odbyć długą wędrówkę skoro rewelacje amerykańskiego dziennika ukazały się dopiero 21 czerwca a więc w sześć tygodni po nadaniu ocenzonej wiadomości. W kołach waszyngtońskich wywołały one prawdziwą burzę. W ciągu kilku godzin po ukazaniu się pisma dyrektor ICA John E. Reinhardt i szef *Głosu Ameryki* Peter Strauss otrzymali kilkadziesiąt telefonów od senatorów, kongresmanów, dziennikarzy i zwykłych czytelników. Na plenarnej sesji Senatu długie przemówienie wygłosił Senator Robert Dole. W związku z incydem katyńskim Dole zwrócił uwagę, że audycje *Głosu Ameryki* są dostosowywane do oficjalnej linii obowiązującej w Moskwie i w Europie Wschodniej zamiast służyć potrzebom informacyjnym słuchaczy. Na przykład — twierdził Dole — w programach nadawanych w językach narodowości ZSSR unika się starannie wszelkich aluzji do rusyfikacji. Konserwatywnego senatora Dole poparł natychmiast przedstawiciel skrzydła liberalnego sen. MacGovern. Wniosek domagający się, by VOA służyło jako absolutnie wiarygodne, pełne i obiektywne źródło informacji przeszedł jednomyślnie a artykuł Andersona wciągnięty został *in extenso* do „Congressional Record”.

Dyrekcja ICA stanąwszy wobec groźby wdrożenia dochodzeń przez Komisję Kongresu zastosowała zręczną taktykę. Jeszcze przed ukazaniem się artykułu — szef centralnej redakcji dziennika radiowego, Bernard Kamenski, oświadczył w rozmowie z Andersonem, że ocenianie depesz z Warszawy stanowiło *outrage* i było pogwałceniem wszystkich możliwych reguł i zasad. W liście do sen. Dole szef ICA Reinhardt zajął podobne stanowisko. Okaleczenie wiadomości — twierdził — nie wypływało z polityki VOA, lecz było pożałowania godnym błędem w ocenie (*error of judgment*) niewymienionego z nazwiska pracownika radiostacji. Na dowód tego Reinhardt powołał się na fakt, że korespondencja z Warszawy nadana została bez żadnych zmian w serwisie angielskim, gruzińskim i ukraińskim (dlaczego nie rosyjskim? — przyp. Red.).

W obronie VOA, w artykule inspirowanym zapewne tym razem przez kierownictwo radiostacji wystąpił Reed Irvine (*The Globe*, 6. 7. 1978). Przytoczone przez Andersona fakty — twierdził Irvine — były ścisłe lecz niepełne, a konkluzje fałszywe. Sprawcą ocenzonego zdania o Katyniu nie była dyrekcja *Głosu Ameryki*, lecz pewien Polak z polskiej sekcji, który przekonywał swoich amerykańskich przełożonych, że odpowiedzialność za zbrodnię katyńską nigdy nie została Sowietom prawnie udowodniona (*Soviet responsibility for Katyn had never been legally proven*). Nieobeznany z faktami amerykański redaktor centralnego dziennika radiowego uległ w końcu argumentom polskiego eksperta.

W końcu nowojorski *Nowy Dziennik* doszedł do wniosku, że wyjaśnienie tej sprawy leży w interesie publicznym. W artykule redakcyjnym czytelnicy zostali poinformowani, że anonimowym sprawcą skandalu był Feliks Broniecki, zastępca szefa polskiego desku *Głosu Ameryki*, M. Woźnickiego. *Nowy Dziennik* zestawiał dwóch Polaków Andrzeja Brauna i Feliksa Bronieckiego. Porównanie rzeczywiście smutne w swej wymowie. Wystąpienie Brauna było aktem heroicznej odwagi. Pisarz musiał zdawać sobie sprawę, że może go czekać los Stanisława Pyjasa. Feliks Broniecki, który żyje na wygodnej i bezpiecznej posadzie w Waszyngtonie nie ryzykował absolutnie niczego.

Sprawa znalazła swój epilog na samym szczycie, bo podniesiona została w dniu 10 lipca na konferencji prasowej Vance'a.

Na zapytanie dziennikarza, który nawiązał do skandalu w *Głosie Ameryki* — Sekretarz Stanu odpowiedział, a raczej potwierdził, że wprawdzie rząd Stanów Zjednoczonych nigdy nie zajął oficjalnego stanowiska w sprawie odpowiedzialności za wymordowanie polskich oficerów, ale dochodzenia przeprowadziła Komisja Kongresu Stanów Zjednoczonych, która doszła do stanowczego wniosku, że zbrodni dopuścili się Rosjanie.

Polscy sygnatariusze protestu do dyrekcji VOA (przynajmniej niektórzy z nich) nie podzielają stanowiska swoich przełożonych, zwalających całą odpowiedzialność na F. Bronieckiego. Nazwisko ich kolegi nie zostało wymienione w proteście, który nie był przeznaczony do publikacji i miał pozostać wewnętrzną sprawą organizacji. Twierdzą oni, że postępek Bronieckiego był przejawem skrajnego braku rozeznania, łatwego w tym wypadku do przewidzenia. W polskim zespole *Głosu Ameryki* nie brak dziennikarzy politycznie wyrobionych i doświadczonych. Z ich pominięciem dyrekcja VOA powierzyła odpowiedzialne stanowiska kierownika sekcji i jego zastępcy dwóm ludziom, których jedyną kwalifikacją jest służbowa nadgorliwość wobec amerykańskich przełożonych. Broniecki za czasów Sławoja Składkowskiego był zastępcą starosty w jednej z dzielnic Warszawy. Po wojnie służył kolejno w polskiej sekcji BBC i w RWE jako spiker. Jako działacz i członek zarządu SPK dał się poznać jako Savonarola emigracji, surowy i bezkompromisowy w ekskomunikowaniu odstępców. Z tytułu swego niezłomnego stanowiska niepodległościowego miał być czy też został udekorowany niedawno specjalnym odznaczeniem SPK. Władze organizacji zachowują w sprawie ostatniego incydentu wstydlive milczenie.

Mianowany niedawno, ku ogólnemu zdumieniu, zastępcą szefa desku Broniecki chciał na samym wstępie wykazać na tym stanowisku troskę o interesy instytucji. Thumaczył podobno, że nadanie wiadomości o wystąpieniu Brauna może narazić *Głos Ameryki* na protest dyplomatyczny.

KONKURS NA PROJEKT POMNIKA KATYNIA

KONGRES POLONII KANADYJSKIEJ
288 RONCESVALLES AVE., TORONTO, ONTARIO, CANADA, M6R-2M4

ZAPROSZENIE DO KONKURSU NA PROJEKT POMNIKA KATYNIA

1. Komitet Budowy Pomnika Katyńskiego w Kanadzie zaprasza do przedłożenia projektu Pomnika Katyńskiego, który ma być wzniesiony na gruncie ofiarowanym przez miasto Toronto, Ontario, Kanada.

2. Każdy uczestnik konkursu rejestruje swe imię, nazwisko i adres pisemnie u Przewodniczącego Komitetu Konkursowego pod adresem: 288 Roncesvalles Avenue, Toronto, Ontario, Kanada, M6R 2M4, przed 30 września 1978 roku. Rejestr będzie tajny do czasu ogłoszenia przyznania nagród, kiedy nazwiska biorących udział w konkursie będą oficjalnie podane do wiadomości.

3. Ostatnim dniem do przedłożenia projektów jest 30-ty grudzień 1978 r.

4. Nagrody konkursowe są następujące:

1-sza nagroda	\$ 5.000,00
2-ga nagroda	\$ 3.000,00
3-cia nagroda	\$ 2.000,00.

5. Każdy członek konkursu, po swej rejestracji, otrzyma broszurę obejmującą warunki, program, postanowienia rejestracyjne i formy.

Za Komitet Budowy Pomnika Katyńskiego
w Kanadzie
I. CONRAD
Przewodniczący

KOMUNIKAT

Delegatura Polish American Immigration & Relief Committee, Inc.
na Europę została przeniesiona z Monachium do Wiednia. Obecny adres:

Dyrektor A. BALKO
1010 WIEN
Postgasse 14/2
PAIRC
Austria.

Dla poszerzenia działalności ustanowiona została nowa Delegatura na Skandynawię. Delegatem został Marek TROKENHEIM, Ekholmavägen 202, V. 127 45 SKÄRHOLMEN, Szwecja — Ośrodek Polskich Organizacji Niepodległościowych — „OPON”.

ZBIGNIEW ZANIEWICKI

Opinie Prof. Władysława Tatarkiewicza o książkach:

MOJE DWUDZIESTOLECIE (1903-1923)

„Książka jest doskonale napisana... Treść jest pasjonująca. W zupełnie nowym świetle zobaczyłem Powstanie Śląskie...”.

MOJE PEŁNOLECIE (1924)

„Autor jest świetnym pisarzem — i coraz lepszym... Od trzeciego rozdziału nie mogłem się po prostu od książki oderwać...”.

Każda książka — £ 1.50; \$ 2,80.

Przesyłka — 40p.

Polska Fundacja Kulturalna,
9, Charleville Road, London W14 9JL.

Sąsiedzi**W sowieckiej prasie**

Prasa światowa podała co najmniej dziesięć interpretacji przyczyn, dla których władze sowieckie wybrały lipiec 1978 roku dla zorganizowania procesów, równocześnie w różnych miejscowościach tego ogromnego kraju. Wyjaśnienia są najbardziej różne: wyzwanie rzucone Stanom Zjednoczonym, związane ze spotkaniem Gromyki i Vance'a w Genewie; chęć oczyszczenia atmosfery w przededniu Igrzysk Olimpijskich w Moskwie 1980 r. itd., itp. Wśród mnóstwa domysłów nie ma jednego — bardzo ważnego: równo 60 lat temu — prawie co do dnia — najpierw Trocki, a zaraz potem Lenin oficjalnie ogłosili o istnieniu w nowym rewolucyjnym państwie — Republice Sowieckiej — nowego wymiaru kary, to jest obozu koncentracyjnego. Można więc uważać lipcowe procesy w ZSSR za jubileuszowe z okazji 60-lecia istnienia łagrów.

7 lipca br. Agencja TASS zawiadomiła korespondentów zagranicznych, że 10 lipca br. w Moskwie rozpoczyna się proces „obywatela A. B. Szczarańskiego”, o przebiegu którego będą informowani dwa razy dziennie w przydzielonym im punkcie położonym na drugim krańcu Moskwy. Tego samego dnia — 10 lipca br. — w Kałudze, oddalonej od sowieckiej stolicy o 160 km. — rozpoczął się proces Aleksandra Ginzburga. W tym samym czasie rozpoczął się w Wilnie proces Wiktora Piatkusa, członka litewskiej Grupy Kontroli Wykonania Uchwał w Helsinkach. Kilka dni później, na Ukrainie, w małym miasteczku Horodnia, stanął przed sądem członek ukraińskiej Grupy, Lew Łukjanenko. Jednocześnie Wojskowe Kolegium Sądu Najwyższego RSFSR przystąpiło do rozpatrzenia sprawy Anatolija Fiłatowa, oskarżonego o szpiegostwo na rzecz niewymienionego obcego mocarstwa.

Anatolij Szczarański był oskarżony o szpiegostwo i przekazywanie wywiadom zagranicznym tajemnic państwowych, Aleksander Ginzburg — o „agitację i propagandę antysowiecką”, polegającą na tym, że zarządzał funduszem pomocy dla więźniów poli-

tycznych i ich rodzin, stworzonym przez Aleksandra Sołżenicyna, i że rozpowszechniał „Archipelag GUŁag”; o antysowiecką działalność zostali również oskarżeni Wiktor Piatkus i Lew Łukjanenko.

W okresie Rewolucji Francuskiej po raz pierwszy wypróbowano system zwany *amalgamatem*: razem z Dantonem sądzono złodziei, fałszerzy pieniędzy, morderców. Organizatorzy sowieckich „procesów lipcowych” wznawili system *amalgamatu* — rzeczywisty szpieg — Anatolij Fiałow (choć i w tym wypadku trudno cokolwiek twierdzić kategorycznie) był sądzony jednocześnie z dysydentami.

Osobliwością „procesów lipcowych” jest odmowa oskarżonych dysydentów przyznania się do winy. Zarówno Jurij Orłow w maju bież. roku jak i w lipcu Szczarański, Ginzburg, Piatkus i Łukjanenko odmówili uznania się za winnych przestępstw, o które zostali oskarżeni przed sądem sowieckim. Poza tym lipcowe procesy nie różniły się niczym od zwykłych — można by powiedzieć normalnych — procesów sowieckich. Odbływały się przy drzwiach zamkniętych dla rodziny i przyjaciół oskarżonych oraz dla prasy zagranicznej, a sala rozpraw była wypełniona współpracownikami *Organów*. Sąd nie dał oskarżonym możliwości składania wyjaśnień, a sala robiła wszystko by pomóc sędziemu i prokuratorowi: przerywała zeznania oskarżonych, znieważała ich, groziła im. I to właśnie było jak najbardziej normalne. Jeden z nielicznych przyjaciół Lenina, Władimir Boncz-Brujewicz, opowiada w swoim pamiętniku jak w styczniu 1918 roku, w pierwszy i ostatni dzień działania Konstytuanty, wprowadzeni na salę obrad marynarze krzyczeli, naigrawali się z przewodniczącego esera Wiktora Czernowa, straszili go, mierząc doń z karabinów. I gdy Boncz-Brujewicz, który nakazał wprowadzenie 200 marynarzy do sali, poprosił najbardziej aktywnych, aby się trochę uspokoił, odpowiedzieli mu: „No cóż? Jeśli ojczulek mówi, że nie wolno — to nie wolno”. „Ojczulem” nazywali Lenina. W lipcu 1978 r. „ojczulek” pozwolił i sale sądowe kipiały napiętnością.

Po ogłoszeniu wyroków: dla Szczarańskiego 13 lat więzienia, dla Ginzburga 8, dla Piatkusa i Łukjanenki po 10 — sala, ściślejsze sale — w Moskwie, Kałudze, Wilnie, Horodnie — wybuchły i krzyczały wszędzie jednakowo: Mało! Rozstrzelać!

„Procesy lipcowe” zajmują w historii sowieckich procesów, a tym samym w historii sowieckiej, specjalne miejsce w związku z całym szeregiem ich osobliwych cech. Przede wszystkim oskarżeni odmówili przyznania się do winy. To nie jest wypadek wyjątkowy. Już w 1965 roku A. Siniański i Ju. Daniel odmówili współpracy z sądem. Ale to jeszcze nie jest reguła. Organom sowieckim udaje się jeszcze łamać wielu aresztowanych dysydentów. Odmowę oskarżonych przyznania się do „winy” tłumaczy m.in. hermetyczna tajność procesów. Drugą osobliwością jest wyjątkowa surowość wyroków. Po zakończeniu procesów dużo w prasie zachodniej pisało się o tym, że mimo wszystko „to nie są czasy stalinowskie”, kiedy aresztowanych rozstrzelano z mie-

sca. Prasa zachodnia oraz obecni na sali sądowej byli jakby trochę niezadowoleni z „miękości” sędziów sowieckich.

Nie należy zapominać, że nawet przy Stalinie nie wszystkich rozstrzelano i przypomnieć sobie, że przy przekłętym carskim reżymie Czernyszewski, wódz rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, został skazany na 14 lat katorgi, a potem termin ten został o połowę skrócony, w 1902 roku Stalin — aktywny działacz podziemnej organizacji rewolucyjnej — został skazany na 3 lata zesłania, a w 1913 roku tenże Stalin, po wielokrotnych ucieczkach, został skazany na 4 lata zesłania. 4 lata zesłania otrzymała w czerwcu 1978 roku w Moskwie Ida Pudiel, protestująca przeciwko odmowie udzielenia jej zezwolenia na wyjazd do Izraela i za takie samo przestępstwo, tegoż samego dnia, Władimir Slepak dostał 5 lat zesłania. Nie ma potrzeby dodawać, że carska zsyłka była kurortem w porównaniu do breżniewowskiej.

I wreszcie jeszcze jedna osobliwość „lipcowych procesów” — prasa sowiecka prawie nic o nich nie pisze. W *Prawdzie* z 19 lipca br. został opublikowany niewielki artykuł pod skromnym tytułem „Z powodu jednego hałasu”. Niejaki W. Bolszakow (jak zwykło się mówić: „prawdziwe nazwisko znane redakcji”) pisze, że właśnie jemu „udało się asystować przy procesach Szczarańskiego i Fiałowa, które odbywały się w Moskwie jednocześnie między 10 a 14 lipca”. Dla Bolszakowa, który był na obu procesach, choć odbywały się równocześnie (o innych procesach nie wspomina ani słowa) wszystko jest jasne i proste: sądzono dwóch szpiegów. Przy czym o Fiałowie Zachód milczał, a w związku z Szczarańskim „rozwinął antysowiecką kampanię bez precedensu”, twierdząc że sądzi się Szczarańskiego jakoby za „przekonania” i za „narodowość”. Za jaką narodowość — autor artykułu w *Prawdzie* nie wyjaśnia. Czytelnik sam powinien zrozumieć — jest tylko jedna narodowość za którą można i trzeba sądzić.

Artykuł w *Prawdzie* zasługuje na uwagę nie tylko dlatego, że jest jedynym odzewem na „procesy lipcowe”, ale i dlatego, że jest adresowany przede wszystkim do Zachodu, a nie do czytelników sowieckich. Są w nim aluzje zrozumiałe wyłącznie dla tych, którzy mogli się zapoznać z przygotowaniem tych procesów w prasie zachodniej. Np. wspomina się o „ludziach na bardzo wysokich stanowiskach”, oświadczających: „że oskarżenie Szczarańskiego o szpiegostwo jest kłamstwem”. Czytelników sowieckich nie poinformowano, że oświadczył to prezydent Carter. Wspomina się, że „do kampanii antysowieckiej, rozpoczętej w krajach zachodnich przez koła reakcyjne, dali się, niestety, wciągnąć i przedstawiciele niektórych organizacji demokratycznych”. Czytelnicy sowieccy nie zostali również poinformowani, że te „organizacje demokratyczne”, to zachodnie kompartie — w tej liczbie włoska, a nawet francuska — ostro krytykujące „procesy lipcowe”.

Naród sowiecki naturalnie coś niecoś o procesach wiedział: na licznych zebraniach, odczytach, wykładach informacyjnych mówiono mu, że dysydenci, tj. Żydzi, są agentami obcych wy-

wiadów. Dzisiaj, w przeciwieństwie do czasów stalinowskich, niewątpliwie wiele osób słucha niesowieckich radiostacji i w ten sposób może uzyskać uzupełniające informacje. Trzeba jednak przyznać, że określenie propagandy sowieckiej: Żydzi = dysydenci = szpiedzy jest znacznie prostsze i dostępniejsze od logicznych argumentów zachodniej prasy i radia. Oczywiście dla rozpowszechniania tej formuły nie były konieczne procesy, które tyle narobiły szumu na Zachodzie. Do czego więc były potrzebne? Czytając liczne i sprzeczne odpowiedzi na to pytanie przypomniałem sobie znaną anegdotę sowiecką. Do pokoju w moskiewskim *obszczeży*iu wchodzi dziewczyna i widząc, że jej przyjaciółka stoi zamyślona, pyta: — Co z tobą, Waria? — Wiesz — odpowiada Waria — tylko co przybiegł Piet'ka, przewrócił mnie na łóżko, zgwałcił i uciekł. Co on chciał przez to powiedzieć? Zachodni działacze społeczni i polityczni oraz cała prasa zachodnia „stoją zamyśleni” jak ta Waria i zadają sobie to samo pytanie: Co chciał przez to powiedzieć Breżniew?

W ub. roku wyświetlano z ogromnym powodzeniem fantastyczny film Stevena Spielberga „Spotkanie trzeciego stopnia”. Astronomowie rozróżniają trzy stopnie „spotkań” między mieszkańcami ziemi a mieszkańcami innych planet: pierwszego stopnia — to fale radiowe i sygnały świetlne, drugiego — latające spodki, trzeciego — jawne ukazanie się przybyszów z kosmosu. Reżyser amerykański opowiada o spotkaniu trzeciego stopnia — na niebie pojawia się statek kosmiczny, przybyły z dalekiego słonecznego systemu. No, ale jak się z nim porozumieć? Nie ma wspólnego języka między ziemską i pozaziemską cywilizacją. Pod koniec filmu okazuje się, że podstawą porozumienia się mogą być muzyczne dźwięki — muzyka.

Do Związku Sowieckiego można odnosić się różnie, ale dla każdego nieuprzedzonego obserwatora jest jasne, że przez 60 lat została tam stworzona specyficzna cywilizacja, niepodobna do zachodniej. Szczególna to cywilizacja, z własnym językiem i z ludźmi o specyficznej mentalności. Dzisiaj na ziemi istnieje cywilizacja pozaziemska, z którą Zachód nie może — nie chce — znaleźć sposobu porozumiewania się.

Wyda mi się, że „procesy lipcowe” — i to jest ich zasadnicze znaczenie — przemawiają do Zachodu językiem sowieckiej cywilizacji: helsinkowski okres historii — tj. okres powojennej historii świata — jest zamknięty. Rezultaty drugiej wojny światowej zostały podsumowane w Helsinkach i czas już przestać o tym mówić. Trzeba zacząć mówić o etapie następnym, trzeba rozpocząć pertraktacje o nowy podział świata, leżącego poza granicami sfery sowieckiej, ustalonej w Helsinkach. Związek Sowiecki przekazuje Zachodowi — oczywiście przede wszystkim Stanom Zjednoczonym — prosty i nie dwuznaczny *message*: strategia ZSSR to permanentna ekspansja. Kosygin latem br. powiedział wyraźnie żonie prezydenta Filipin, Imeldzie Markos: „Gwiazda USA gaśnie... Związek Sowiecki i jego sprzymierzeńcy będą w latach 80-tych kontrolować większą część świata...”. Ma

się rozumieć nie można tak otwarcie — bo to nie po sowiecku — oświadczyć Amerykanom: przyszedł na was koniec, ręce do góry! Dlatego przemawia się do nich za pomocą procesów dysydentów. 18 lipca br. w Moskwie, po raz pierwszy w historii stosunków sowiecko-amerykańskich sądzono dziennikarzy amerykańskich: korespondenta *Baltimore Sun*, Heralda Peipera oraz korespondenta *New York Times*, Craiga Wittny. Sądzono ich za artykuły opublikowane w USA, oskarżając o „ordynarne oszczerstwa pod adresem sowieckiego radia i telewizji”. Na rozprawę sądową, jak pisze *Prawda* (19. 7. br.), zostali zaproszeni nie tylko „przedstawiciele społeczeństwa” i sowieccy dziennikarze, ale i dziennikarze zagraniczni. W charakterze świadka został dostawiony z Tyflisu skazany w maju gruziński dysydent Z. Hamsahurdija, który zgodził się przyznać się do winy. Jak wiadomo, w Związku Sowieckim korespondencje wysyłane z Moskwy przez dziennikarzy zagranicznych nie podlegają cenzurze, ale... wszystko co piszą jest czytane i rejestrowane. Jednak jeżeli dawniej władze sowieckie były niezadowolone, to pod różnymi pretekstami wysiedlano ich z kraju — a obecnie, po raz pierwszy, pociągnięto ich do odpowiedzialności sądowej i skazano na ogłoszenie sprostowania w ciągu 5 dni, oraz na zapłacenie w ciągu 10 dni kosztów sądowych — w dolarach! — w wysokości Dol. 1.647 od osoby. Widocznie, straciwszy definitywnie nadzieję na to, że Amerykanie zrozumieją, co chciano im powiedzieć, zaczęto ich bić. Przy tym nie w przenośni, a dosłownie. Zaczęto bić dyplomatów, dziennikarzy, przyjeżdżających z wizytą uczonych. Gdy w USA złapano dwóch sowieckich szpiegów — w Moskwie KGB napadło na amerykańskiego biznesmana, przedstawiciela gigantycznej firmy, handlującej maszynami rolniczymi, wyciągnięto nieszczonego Amerykanina z samochodu i oskarżono o szpiegostwo. Teraz trzeba go będzie wymieniać na sowieckich agentów. Ale tym niemniej amerykańscy działacze społeczni, polityczni i państwowi nie rozumieją, czego się od nich chce i co im się mówi. Co prawda, obecna administracja amerykańska prowadzi politykę na tyle niekonsekwentną, i dziwną, a niektórzy jej przedstawiciele występują z takimi oświadczeniami (głośne wystąpienie Andrew Younga, że w USA znajdują się setki, a może i tysiące więźniów politycznych przez cały tydzień oddała gazety sowieckie), że po raz pierwszy można z całym przekonaniem powiedzieć, iż Lenin przynajmniej raz jeden miał rację: każda kucharka może rządzić państwem. Trzeba jednak dodać, że Lenin nie mówił o tym *jak*.

Prasa sowiecka już dawno wprowadziła na swe szpalty „czerwoną tablicę” dla dobrych amerykańskich działaczy politycznych i państwowych oraz dla biznesmenów, a „czarną” dla złych. O decyzji prezydenta Cartera, zakazującej sprzedania gigantycznego komputera sowieckiej agencji prasowej *Nowosti* i wprowadzeniu licencji na sprzedaż urządzeń naftowych, *Prawda* dała wzmiankę, w której znajdujemy krytyczne oceny przedstawicieli amerykańskich kół handlowych, ostro krytykujących decyzje Car-

tera, ponieważ „ostry kurs — jakoby według *Christian Sciences Monitor* — przynosi szkodę tylko USA*”. Honorowe miejsce na „czarnej tablicy” zajmuje Zbigniew Brzeziński. Wielki artykuł, poświęcony mu w *Prawdzie* z 24. 7. br., promuje pomocnika prezydenta USA na autora koncepcji „konfrontacji”, głosiciela teorii „naturalności konfliktów międzynarodowych”, człowieka który „z zimną krwią rozważa publicznie” o tym, że w wyniku wojny atomowej „zginęłoby 10 % ludzkości”. Autor tego artykułu, demaskując nieludzką prof. Brzezińskiego, cytując odpowiedź pomocnikowi amerykańskiego prezydenta daną osobiście przez tow. Breżniewa, który „nikomu, ani jednemu człowiekowi nie życzy, by znalazł się w tych 10 %”. Wniosek z tego artykułu: nieludzki podżegacz wojenny Zbigniew Brzeziński swoimi „teoriami i rekomendacjami niewątpliwie przynosi wielką szkodę odprężeniu”.

Ekspansjonistyczna, zarozumiała polityka zagraniczna ZSSR wydaje się — z punktu widzenia zachodniej cywilizacji — szaleńczą, alogiczną jeśli porównać ją z sytuacją wewnętrzną kraju i nierozwiązanymi, a może i nierozwiązalnymi jej problemami.

W okresie tych samych lipcowych dni, gdy sędziowie sądzili dysydentów, Centralny Komitet partii zebrał się na plenum, aby przedyskutować sytuację gospodarki rolnej. Jak wiadomo, rozmowy te trwają już 40 lat z tym samym rezultatem: sowieckie super-państwo nie może siebie wyżywić, mimo że zajmuje w świecie pierwsze miejsce, jeśli idzie o obszar ziemi uprawnej, a około 40 % ludności pracuje w rolnictwie. Właśnie niedawno zacofane, nędzarskie Indie zdołały osiągnąć urodzaj, pozwalający im zaspokoić własne potrzeby w ziarnie. Przewodzący zmechanizowane sowchoźniczo-kołchoźnicze państwo sowieckie jest zmuszone do kupowania zboża. Na lipcowym plenum Breżniew powtarzał to co mówił już od lat 13-tu. Domagał się większego wysiłku, by „usunąć słabe miejsca”. Jak zwykle — pochwalił się sukcesami: średni urodzaj 1971/1977 r. wynosił 190 milionów ton zboża — w porównaniu z latami 1959/1965 kiedy to wynosił 128 milionów ton. Na 1981/1985 Breżniew ustalił średnią urodzaju na 238-243 miliony ton.

Ma się rozumieć Breżniew nie mówił, że i przy 190 milionach ton i nawet przy rekordowym urodzaju Związek Sowiecki musi kupować zboże. Breżniew nie mówił też o problemie, który dziś stał się w sowieckiej gospodarce rolnej najważniejszym. Korespondent amerykańskiej agencji UPI, Emil Svelis, dwa lata pracował i mieszkał z rodziną w Leningradzie, gdzie był jedynym dziennikarzem zachodnim. Mógł więc zobaczyć to, czego normalnie zachodni korespondenci nie widzą. M.in. pisze on o rozmowie z sowieckim inżynierem, który przyjechał z małego, prowincjonalnego miasteczka. Tam — opowiada inżynier — latami nie widziano w sklepach mięsa. Jeśli by nie działki przyzagrodowe, to na prowincji byłby głód nie mniej straszny jak w 1922 roku.

(W 1922 roku zmarło — według najbardziej ostrożnych obliczeń — około 5 milionów ludzi). Ratuje od głodu tylko działki przyzagrodowe, zarówno w kołchozach, jak i w miastach prowincjonalnych. Wynoszą 3 % ogólnej powierzchni uprawnej kraju i dają 1/3 całości produkcji rolnej. W ub. roku w *Literaturnoj Gazecie* (24. 8. 1977) W. Tichonow w artykule pt. „Mała działka u progu” wskazywał na znaczenie „małej działki” i na problemy z nią związane. Człowiek sowiecki może żyć bez mięsa. W XVII i XIX wieku Irlandczycy żyli bez mięsa, tylko kartoflami. Ale człowiek sowiecki nie może żyć bez kartofli. Irlandczycy również marli z głodu, gdy w końcu lat 40-tych ub. wieku padła zaraza na kartofle. 40 % sowieckiego kartofla dają działki przyzagrodowe. Przy Stalinie, a nawet jeszcze przy Chruszczowie, był okres, że prowadzono z działkami wojnę, likwidowano je, zmniejszano obszar. Dzisiaj — jak wskazuje W. Tichonow — rząd sowiecki jest zaniepokojony zmniejszeniem się ich obszaru i produkcji. W 1965 roku dawały one 32 % całej produkcji rolnej, a w 1975 roku — 28,3 %. Problem polega na tym, że starszycy uprawiający te małe działki wymierają, a młodzi nie chcą na nich pracować.

Co robić? Przecież nawet kolejne zwycięstwa — tym razem nad „kontrewolucyjnymi grupkami działającymi w Erytrei”, jak pisze *Prawda* — nie zwiększą produkcji kartofla w ZSSR. Co robić?

Pozostaje jedno — oczekiwanie cudu. Pisałem już o tym, że cała historia Związku Sowieckiego jest historią czekania na cud, poczynając od 25. 10. 1917 roku, kiedy Lenin czekał cudu — rewolucji w Niemczech. Historia sowiecka przekonywująco dowodzi, że cuda istnieją.

No i teraz, 1 sierpnia 1978 r. Christina Onassis przekształciła się w moskiewskim Pałacu Ślubów w Christinę Aristotelewną Kauzową, przynosząc swemu mężowi w posagu drugą w świecie co do wielkości prywatną flotę handlową, ocenianą na 500 milionów dolarów. Ciekawe, że podobny cud miał miejsce dokładnie 70 lat temu. N. Krupska pisze w swoich pamiętnikach: „W tym czasie (koniec 1908 r.) bolszewicy uzyskali solidną bazę materialną”. Tą „bazą” było około 200 tysięcy rubli w złocie, wniesionych w posagu przez bogatą moskiewską spadkobierczynię, z którą na polecenie partii ożenił się towarzysz Wiktor Taratuta. Tow. Wiktor nie był człowiekiem zasługującym pod żadnym bądź względem na szacunek, ale gdy stary bolszewik N. Roszkow zwrócił uwagę Lenina na ten fakt, wódz partii oburzył się — „A wy ożenilibyście się z bogatą kupczyką?” — „Nie. — „Ja bym się też nie ożenił”. A ten Wiktor — ożenił się. Przy czym oddał pieniądze do kasy partii.

Jak postąpi tow. Kauzow, młody małżonek Christiny Aristotelewny — jeszcze nie wiadomo. Nie zależy to jednak od niego — a od niej. Miłosna story spadkobierczyni Onassisa — jak nazwał to francuski dziennikarz — wydaje mi się symboliczną. Młoda, niebrzydka, bogata Europejka wybiera sobie na męża

* I rzeczywiście prez. Carter zaczyna się pomału wycofywać z tej decyzji.

człowieka o 10 lat od siebie starszego, ze szklanym okiem i wstawionymi (ale co prawda złotymi) zębami. W swoim czasie podobny wypadek miał już miejsce — byk porwał Europę. Być może losy Christiny Onassis, która stała się Christiną Kauzową, zapowiadają los całego świata?

Wśród nowych aforyzmów przewodniczącego Mao, opublikowanych już po jego śmierci, specjalnie jeden uderza głębokością i mądrością: Nie bać się schwycić tygrysa za zadek! Być może, że tow. Kauzow czytuje Mao Tse-tunga. Należałoby poradzić, by go poczytał sobie na przykład prezydent Carter.

Adam KRUCZEK

Ukraiński kościół prawosławny w Kanadzie

Powszechny spis ludności z 1971 roku zarejestrował 580.655 osób pochodzenia ukraińskiego. Podział wyznaniowy tej grupy przedstawiał się następująco:

ukraińscy grekokatolicy	32,1 %	zielono-świątkowcy	1,0 %
prawosławni	20,1 %	prezbiterianie	1,3 %
rzymskokatolicy	15,3 %	mennonici	0,2 %
United Church (kanad.)		Armia Zbawienia	0,2 %
Kościół anglikański)	13,9 %	inne wyznania prócz	
anglikanie	4,6 %	wyżej wymienionych	3,0 %
baptyści	1,4 %	bez wyznania	5,1 %
luteranie	1,8 %		

Z ogólnej liczby osób pochodzenia ukraińskiego 309.890 — tj. 53,4 % — podało język ukraiński jako ojczysty, a tylko 144.755 — więc 24,9 % — zadeklarowało znajomość i posługiwanie się w domu językiem ojczystym. W spisie ludności z 1976 roku język ukraiński jako ojczysty podało 282.0160 osób. Ten spadek jest znacznie mniejszy niż w grupie polskiej: z 136.540 w 1971 roku na 99.855 w 1976 roku.

Podział wyznaniowy grupy ukraińskiej jest duży, ale dwa Kościoły o wybitnie narodowym charakterze skupiają większość, a mianowicie 52,2 % ludności. Nie należy jednak uważać za pozbawione narodowego charakteru parafie ukraińskie innych Kościołów.

Obserwując np. różnego rodzaju uroczystości i manifestacje grupy ukraińskiej można stwierdzić udział w nich duchownych wszystkich wielkich wyznań. Ma to miejsce również jeśli idzie

o uroczystości o charakterze religijnym, jak np. wizyty ks. kardynała J. Slipyja.

Przedstawiciele różnych organizacji społecznych z dumą i naciskiem podkreślają, że wszystkie wielkie wyznania, a więc grekokatolickie, prawosławne i protestanckie stoja na gruncie narodowym i popierają wszelkie poczynania narodowo-ukraińskie.

W istocie jednak nie jest to takie proste. Należy stwierdzić, że niektóre wyznania, niejako siłą faktu, mają charakter narodowy, posługują się językiem ukraińskim, a wierni są Ukraińcami względnie osobami pochodzenia ukraińskiego. Odnosi się to do Kościoła grekokatolickiego — ściślej ukraińsko-katolickiego (tylko mała grupa Słowaków należy do tego obrządku i posiada na obszarze Toronto własną parafię i biskupa) oraz do prawosławnego. Rzecznicy grupy ukraińskiej zapewniają, że ukraińskie parafie luteranckie i baptystów są nie mniej od innych aktywne narodowo. Nie odnosi się to na pewno do Kościoła rzymskokatolickiego, do United Church i innych. Nie popełnimy błędu przyjmując, że odejście od dwóch pierwszych Kościołów, prawdziwie narodowych, oznacza wycofanie się z grupy ukraińskiej. Dane statystyczne powszechnego spisu ludności stanowią chyba dostateczny dowód: 53,4 % ogółu grupy ukraińskiej podało język ukraińsko-katolickiego i prawosławnego.

Wypada nam jeszcze wyjaśnić przynależność do Kościoła rzymskokatolickiego. Zbytнім uproszczeniem byłoby twierdzenie, że chodzi tu o zukrainizowanych Polaków. Owszem, i tacy są w tej grupie, gdyż — jak już nieraz wskazywaliśmy — w okresie pionierskim pewna ilość polskich imigrantów zukrainizowała się, a nawet przeszła na obrządek grekokatolicki. W przeważającej większości są to jednak osoby pochodzenia ukraińskiego. Przejście zatem na obrządek rzymskokatolicki jest niejako widomym potwierdzeniem zerwania więzi narodowych, stanowi rodzaj do wodu pełnej integracji.

Dzieje ukraińskiego Kościoła prawosławnego w Kanadzie są, używając wysoce ostrożnego określenia, złożone. Obecna jego oficjalna nazwa brzmi: Ukraińska Greko-Prawosławna Cerkiew, z Andrejem, metropolitą Winnipegu i Kanady na czele. Wraz z nim hierarchię stanowią: Borys — arcybiskup Edmonton i Zachodniej Kanady oraz Mykołaj — biskup Saskatoon, diecezji Toronto i Wschodniej Kanady.

Już ten podział administracyjny wskazuje wyraźnie, że wierni Kościoła prawosławni w przytłaczającej większości znajdują się na obszarze Zachodniej Kanady. Prowincje wschodnie, włącznie z diecezją Toronto, podlegają biskupowi, którego siedziba znajduje się w Saskatoon, tj. w prowincji Saskatchewan. Kościół prawosławny (ukraiński) jest autokefaliczny i z analogicznym Kościołem w Stanach Zjednoczonych pozostaje tylko w „modlitewnej łączności”.

Ukraińska greko-prawosławna Cerkiew w Kanadzie obchodzi w tym roku 60-lecie swego istnienia. Uroczystości religijne we wszystkich parafiach odbyły się w dniach 15-16 lipca. Hierarchia

ukraińskiego Kościoła prawosławnego uformowała się w lipcu 1918 roku i nastąpiło oderwanie się — albo uniezależnienie — od hierarchii rosyjskiej. Ilość wiernych narodowości rosyjskiej była znikoma. Rozwój prawosławia w zachodnich prowincjach Kanady nie był bynajmniej wyrazem przyływu imigrantów tego wyznania, ale usilnej i owocnej pracy misyjnej duchownych prawosławnych. Ukraińcy wyznania prawosławnego przybyli z Bukowiny, Rusi Podkarpackiej i minimalnie z obszarów rosyjskich. Hierarchia prawosławna w Rosji prowadziła uporczywą i konsekwentną akcję misyjną w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, która była oczywiście w pewnym stopniu akcją rusyfikacyjną pod hasłem jedności słowiańskiej w kościele narodowym, a za taki uważano Kościół prawosławny.

Grekokatolicy ukraińscy nie mieli wówczas należytej opieki duchownej. Ilość księży ukraińskich była minimalna, a do tego narastał konflikt z miejscową hierarchią. Niektórzy historycy ukraińscy wręcz utrzymują, że Kongregacja Krzewienia Wiary z kardynałem Ledóchowskim na czele, oraz Papież: Leon XIII i Pius X przez swą błędną politykę umożliwili rozwój Kościoła prawosławnego w Kanadzie.

Ordynariusze kanadyjscy — podobnie zresztą jak niektórzy amerykańscy — patrzyli krzywym okiem na księży grekokatolickich nie żyjących przecież w celibacie. Uważali, że wywiera to gorszący wpływ na wiernych obrządku rzymskokatolickiego. Mieli też zastrzeżenia wobec ich pracy społecznej. Odrzucali wszystkie wnioski zmierzające do uzyskania pewnej autonomii, do ustanowienia wspólnej platformy między duchownymi tego obrządku. Nieprzychylnie stanowisko biskupów miało oczywiście decydujący wpływ na stanowisko Watykanu. Uznano, że wszelkie próby uchylecia się księży grekokatolickich spod jurysdykcji miejscowych ordynariuszy jest niedopuszczalne i dla jedności Kościoła szkodliwe. Nie uwzględniono więc w ogóle niebezpieczeństwa grożącego ze strony naporu misji prawosławnych, operujących m.in. tak silnym argumentem jak przynależność narodowa itp. Kiedy w 1907 roku Watykan mianował pierwszego biskupa grekokatolickiego, Sotera Ortynskija, było już za późno na przywrócenie stanu poprzedniego. Ukraiński historyk, Jarosław Kit, twierdzi, że Watykan za późno zrozumiał swój błąd.

Wymowną ilustracją zasadniczego nieporozumienia między wiernymi i duchowieństwem obrządku grekokatolickiego a hierarchią rzymskokatolicką jest np. sprawa dwóch księży ze zgromadzenia O.O. Oblatów, Filipa Roux z Alzacji i Williama Gelsdorfa z Westfalii. Władze zakonne wysłały ich na studia specjalne do Buczacza, ponieważ obaj byli przeznaczeni do pracy w parafiach grekokatolickich. Mieli nauczyć się języka ukraińskiego i liturgii obrządku grekokatolickiego. Nauka trwała dwa lata i w 1913 roku przybyli oni do Kanady. Biskup Budka, następca bpa Ortynskija, uzależnił ich przyjęcie od zmiany obrządku. Ks. Gelsdorf mimo wysiłków nie zdołał nawiązać kontaktów ani z ukraińskimi ani z polskimi parafianami i po nieudanych pró-

bach opuścił Kanadę i osiedlił się w Stanach Zjednoczonych. Ks. Roux był bardziej wytrwały i nie tylko przyjął warunki bpa Budki, ale pokornie przyjmował wyznaczone mu placówki misyjne i parafialne, które należały do najgorszych. Spełniał nie tylko obowiązki duszpasterskie, ale był projektantem szeregu kościołów i kaplic oraz Domu Polskiego w Winnipegu.

Zależność duchowieństwa grekokatolickiego od hierarchii rzymskokatolickiej była — jak wspomnieliśmy — tym czynnikiem, który głównie przyczynił się do rozrostu i umocnienia prawosławia wśród imigrantów ukraińskich. W dalszym rozwoju akcentowanie pierwiastka narodowego doprowadziło do oderwania się od Moskwy. Pierwszym metropolitą został ks. Teodorowycz, wyświęcony w Kijowie zaraz po uformowaniu się cerkwi autokefalicznej, a na krótko przed chaosem rewolucyjnym i wojną domową. Jego sakra nie była jednak w pełni kanoniczna, ponieważ nie został wyświęcony przez trzech biskupów. Formalności te zostały dopełnione później. Bp Teodorowycz rozwinął bardzo ożywioną działalność, a jednym z najznakomitszych metropolitów był zmarły w 1972 roku metropolita Iarion — prof. dr Iwan Ohienko — zresztą pierwszy biskup kanoniczny. Seminarium duchowne w Winnipegu działa przy tamtejszym uniwersytecie.

Trudno jest ustalić w jakim stopniu nastąpiła integracja wiernych tego Kościoła w życie Kanady, jakie więzi kulturowe czy inne łączą ich z narodem ukraińskim oraz jakie istnieją w tym zakresie różnice między nimi a wiernymi Kościoła ukraińsko-katolickiego. Pewne, wysoce ostrożne wnioski można formułować na podstawie analizy prasy, wypowiedzi przywódców organizacji społecznych, rzeczników tych grup wyznaniowych.

Fakt, iż przeważająca większość wiernych U.G.-P.C. (Ukraińska Greko-Prawosławna Cerkiew) mieszka w prowincjach zachodnich oznacza, że są to już niemal wyłącznie potomkowie pionierów względnie nieco późniejszej fali emigracyjnej. Wolno założyć dalej, że ilość urodzonych poza Kanadą jest nieznaczna. Wydaje się więc, że mamy do czynienia z grupą, która zachowała wiarę, a przez nią tradycje narodowe, ale że są one natury bardziej sentymentalnej niż narodowej — lub ściślej — nacjonalistycznej. Organizacje społeczne wiernych tego Kościoła są umiarkowane w zakresie problematyki ukraińskiej. Oczywiście nie jest to powszechne, gdyż ta grupa — podobnie jak inne — nie jest monolitem. Hierarchia publikuje dwutygodnik, *Wisnyk*, ukazujący się w Winnipegu, a dwa świeckie tygodniki, *Ukraiński Holo*s i *Kanadyjski Farmer*, również wychodzące w Winnipegu, są pismami tej społeczności. Według ostatniego spisu ludności z 1971 roku 116.700 osób pochodzenia ukraińskiego podało swoją przynależność do Kościoła prawosławnego. Liczy on około 200 parafii, prowadzi szkoły języka ukraińskiego, skupia szereg organizacji o charakterze charytatywnym, samopomocowym, kasy oszczędnościowo-pożyczkowe, wydawnictwa itp.

Tarcia na tle religijnym, przynależności do poszczególnych

Kościółów, należą już do przeszłości. Prawosławie nie usiłuje obecnie pozyskać katolików, a duchowni żyją w przykładowej zgodzie ekumenicznej.

Pierwiastek narodowy umocnił się w ukraińskim Kościele katolickim po zmianach soborowych tj. po wprowadzeniu do liturgii języka ukraińskiego.

Benedykt HEYDENKORN

Kronika litewska

Prawie jednocześnie z głośnymi wyrokami na Szczarańskiego i Ginsburga, również Litwin, Viktoras Petkus, został skazany na trzy lata ciężkiego więzienia, 7 lat gwałtu i jeszcze 5 lat zesłania. Był on reprezentantem katolików w litewskim Komitecie „Helsinki”. Miał już za sobą półtora roku obozu w Prowieniszkach. Areszt nastąpił dn. 23 sierpnia ub. roku, po jego spotkaniu z dysydentami litewskimi i estońskimi. W czasie dochodzeń sugerowano świadkom, by zeznali, że Petkus jest homoseksualistą. Poza Petkusem w skład Komitetu wchodzi przebywający w kraju, i wciąż molestowani, proboszcz z Ignalina ks. Garuckas, naukowiec, przedstawiciel mniejszości narodowych Finkelšteinas, starszka-poetka Poškiene (która w roku 1940, na czele demonstrantów uwolniła więźniów politycznych-komunistów, a gdy po kilku dniach osadzono tam jej szwagra — powiedziała: „Nie wiedziałam dla kogo zrobiłam miejsce”). Wreszcie piątym członkiem komitetu jest poeta, Tomaš Venclova, przebywający obecnie w Kalifornii.

Rosyjski samizdat podaje 8 tytułów litewskich wydawnictw podziemnych. Już numer 32 *Kroniki kościoła katolickiego na Litwie* dotarł na Zachód przynosząc przykłady licznych represji w stosunku do dzieci uczęszczających do kościoła, poszczególnych mieszkańców stawiających krzyże na swych podwórkach, lub upartych członków komitetów parafialnych, na których miejsce wprowadza się komunistów. Seminarium duchowne w Kownie jest pozbawione zagranicznej literatury teologicznej — otrzymało jedynie trzy wydawnictwa informacyjne PAX'u, podczas gdy urzędowa wersja twierdzi, że dostarczane są również inne wydawnictwa religijne z Polski. Problem lojalnych biskupów spośród kandydatów, uzgodnionych z rządem sowieckim, nadal jest aktualny. Lojalny biskup Łabukas jeździ swobodnie do Rzymu i odwiedza swych krewnych w Ameryce.

Na Litwie ruch oporu ma masowe poparcie. To raczej lojalni komuniści są dysydentami we własnym społeczeństwie, ale i wśród komunistów są opozycjoniści — zwolennicy Tito, socjalizmu z ludzką twarzą, lub komuniści-nacjonalisci. Audycje radia Liberty obecnie bardziej się podobają niż za czasów Kissingera. Związek młodzieży komunistycznej liczy na Litwie 400 tysięcy członków w ponad dwóch tysiącach zbiorowiskowych oddziałach, ale mniej tam jest „wierzących”, niż praktykujących. Nowa konstytucja sowiecka precyzuje, że politykę zagraniczną prowadzi rząd

centralny w Moskwie, więc Litwini zapytują czym się zajmuje tow. Zenkevičius, mieniący się ministrem spraw zagranicznych republiki litewskiej.

Pomimo że w Wilnie były dni polskiej muzyki i jeździła po Litwie polska ekipa (Gronowski) nakręcająca film dla polskiej telewizji, jednak indywidualne wyjazdy z Polski do Litwy, i odwrotnie, są bardzo utrudnione. Bodaj łatwiej jest uzyskać sowiecką wizę wjazdową z Ameryki niż z PRL. Polska ekipa budująca rurociąg na odcinku Połock-Możejki, już dawno ukończyła swe prace, ale rafineria do której została doprowadzona sowiecka ropa jeszcze wciąż jest nieczynna.

Kontakty kulturalne Litwy ze światem zewnętrznym bywają egzotyczne. Zawarto umowę o współpracy między uniwersytetem wileńskim a uniwersytetem w Brazzaville, w Kongo, posiadającym rząd pro-komunistyczny.

W Wilnie zaczyna wychodzić kwartalnik poświęcony literaturze litewskiej, ale w języku rosyjskim. Będą tam artykuły o literaturze litewskiej, tłumaczenia i ewentualne utwory oryginalne Rosjan zamieszkałych na Litwie.

W październiku ub. roku doszło w Wilnie do poważnych rozruchów z okazji dwóch litewsko-rosyjskich meczów piłki nożnej. Nastąpiły potem represje, nie tylko w stosunku do demonstrantów, ale i policji, która nie zdołała opanować sytuacji. Toteż gdy po miesiącu miał się odbyć następny mecz, przedsięwzięto środki ostrożności. Termin został przesunięty z 5-tego na 8-mego listopada, aby mecz mógł się odbyć nie wieczorem, jak zazwyczaj, lecz w biały dzień. Ponad tysiąc biletów przydzielono milicji i KGB, a pozostałe fabrykom i instytucjom, które miały sporządzić listy prawomyślnych kandydatów. Zostały one potem sprawdzone i skorygowane przez komitety partyjne. Otrzymujący bilety zostali ostrzeżeni, że będą ukarani jeżeli nie zajmą swych miejsc na stadionie. Tym razem nie było przepelnienia jak na poprzednich rozgrywkach. Uczniowie zostali dopuszczeni jedynie w grupach pod opieką nauczycieli. Publiczność musiała przy wejściu okazywać swe bilety dwukrotnie a czasem nawet trzykrotnie. W miejscach zastopionych usadowiono specjalne oddziały z psami policyjnymi. „Drużninki” (służba pomocnicza milicji) siedzieli na obu końcach każdego rzędu, a w przejściach milicjanci z radio-telefonami obserwowali zachowanie się publiczności. Prawdziwi amatorzy sportu, nie mogący się dostać, gromadzili się poza obrębem stadionu. Następny pas ochronny stanowiły oddziały wojska gotowego do akcji. Mecz skończył się zwycięstwem Litwinów ale publiczność rozchodziła się w nastroju przygnębienia i napięcia, ponieważ ulice pełne były pieszych patroli w białych hełmach, a liczne samochody policyjne stały w bocznych ulicach. Ostatnie opuścili rejon stadionu oddziały wojska.

Wilno wyglądało jak miasto w stanie oblężenia. Skoro takie środki ostrożności były potrzebne z racji zwykłego meczu futbolowego — to można wyrazić współczucie nie tylko mieszkańcom miasta, ale i naczelnikowi policji bezpieczeństwa.

Na konferencję w Belgradzie Litwini przygotowali kilkanaście dokumentów. W jednym z nich, omawiającym obecną sytuację, czytamy: Dane statystyczne wykazują, że ilość Rosjan i Polaków jest na Litwie mniej więcej taka sama, lecz obwieszczenia hasła, plakaty, broszury itd. w Wilnie są drukowane jedynie w dwóch językach — litewskim i rosyjskim. Jest w Wilnie rosyjski teatr dramatyczny, są grupy studiów języka rosyjskiego i wyższe zakłady naukowe, podczas gdy język polski jest dozwolony jedynie w wileńskim Instytucie Pedagogicznym. Mniejszym grupom narodowym

dzieje się jeszcze gorzej. Podczas wojny Żydzi ucierpieli więcej niż jakakolwiek inna grupa mieszkańców tego kraju. Przed drugą wojną światową były tam 122 żydowskie szkoły podstawowe, 3 gimnazja i 14 szkół średnich. Obecnie Żydzi nie mają ani jednej szkoły, ani czasopisma, chociaż według spisu ludności z roku 1970, było ich 16 tysięcy w Wilnie i 4 tysiące w Kownie. Białorusinów było w Wilnie 24 tysiące, ale i oni nie mają ani jednej szkoły, a szkoły istniejące na prowincji zostały zlikwidowane w latach powojennych. Gdy likwidowano prywatne szkolnictwo najbardziej ucierpieli Karaimi, gdyż ich „Kenesa” w Trokach była uzależniona od parafii. Poszkodowani są również Tatarzy, gdyż zamknięto im szkoły i meczety. W programie nauczania starszych klas litewskich szkół średnich językowi litewskiemu poświęcono 4 godziny tygodniowo, a rosyjskiemu 5 godzin. Maturzyści szkół litewskich muszą dobrze znać język rosyjski, a maturzyści szkół rosyjskich mogą nie znać zupełnie języka litewskiego. Dokument ten nie przynosi nic nowego prócz faktu, że Litwini wykazują uposzczenie Polaków w Wilnie, co się dotąd nie zdarzało.

Zmarł w Sydney płk. V. Šliogeris, b. adiutant i sekretarz prezydenta Smetony, a po wojnie autor i publicysta. Jego rzeczowe, i pozbawione antypolskiego nastawienia, artykuły, były kilkakrotnie cytowane w wydawnictwach Kultury.

W Toronto, w maju br. odbył się kolejny Dzień Studiów Bałtyckich z udziałem kilkudziesięciu referentów. Przewodniczącą sekcji socjologicznej była profesor Teresa Rakowska-Harmstone („polskiego pochodzenia”), która mówiła o nacjonalizmie i polityce. Najbardziej ożywione dyskusje wywołało zagadnienie żydowskie. Myślą przewodnią było stwierdzenie, że nadszedł czas by szukać dróg porozumienia — oświadczyła to w zakończeniu („polska Żydówka”) prof. Helen Fagin. Z tych odgłosów odnosi się wrażenie, że litewska emigracja, pod wpływem dysydentów przybywających z kraju, zaczyna się odwracać od wąskiego nacjonalizmu ku bardziej tolerancyjnemu nastawieniu w stosunku do innych narodowości, które mogą być pomocne w walce o wyzwolenie. Litewska prasa emigracyjna reagowała na film „Holocaust” w sposób dla Litwinów charakterystyczny. Według opinii jednego z czytelników jedynym sposobem zaradzenia byłoby wykupienie koncertów telewizyjnych. Ponieważ jest to absolutnie niewykonalne, więc należy się ugodzić. Wypowiedzi oficjalne natomiast zalecają zmobilizowanie zespołu naukowców dla rzetelnego opracowania tego okresu dziejów.

Emigracja jest nadal dosyć aktywna. Litewski fundusz narodowy w USA, z oddziałami w wielu krajach, posiada już półtora miliona dolarów. W czerwcu br. „Dni Litewskie” w Toronto zgromadziły tysiąc sportowców, półtora tysiąca chórzystów, kilkudziesięciu nauczycieli, dwóch biskupów emigracyjnych oraz delegatów litewskich organizacji społecznych z kilkunastu krajów na trzech kontynentach. Dokonano tam wyborów władz światowej wspólnoty litewskiej.

Na sympozjum słowiańskich grup etnicznych w Chicago jeden z prelegentów miał się podobno wyrazić, że Litwini w stosunku do swej liczebności mają nieproporcjonalnie większe znaczenie niż grupy słowiańskie; zwracając to dawaniu młodemu pokoleniu wyższego wykształcenia. Polski poeta Gordon naliczył w USA zaledwie dwunastu pisarzy, wskazując, że Litwini mają ich kilkudziesięciu.

Rzeczywiście ruch wydawniczy litewskiej emigracji nie zamiera. Wydano kilka obszernych tomów podziemnej „Kroniki kościoła katolickiego na Litwie” w angielskim tłumaczeniu. (Niemcy sami wydali kilka tomów tej

kroniki). Ukazują się nowe powieści, tomik poezji i liczne prace historyczne. Z poloników można wymienić wydaną w Australii książkę „Wilno pod polską okupacją” i wydaną w Kanadzie pracę historyczną konsula dr. Zmujdzinasa pt. „Commonwealth polono-lithuanien ou L'Union de Lublin 1569”, stron 269.

Niepomyślnym faktem dla poprawy stosunków polsko-litewskich, jest wymieranie starszego pokolenia, znającego jeszcze język polski, co spowodowało że specjalistami w tych zagadnieniach są na Zachodzie byli obywatele Rzeczypospolitej (i PRL), przeważnie nieprzyjaźnie nastawieni do Polski. Toteż w *Tėvėsės Žiburiai* p. S. Waranka pisząc o stosunkach polsko-litewskich, twierdzi: „Małe Litwie mającej potężnych nieprzyjaciół sąsiadów trudno było lawirować. Spośród nich Polacy byli najbardziej zdradliwi i najbardziej Litwinów skrzywdzili. Dziwne, jak ludzie zapominają krzywdy”. Sowiety deportowały ponad ćwierć miliona Litwinów, znane są miejsca masowych kaźni itd. Litwini odzegnując się od kolaboracji z Niemcami, cytując, że ponad tysiąc młodych Litwinów zgładzono w obozie Flössenburg, wspominają litewskich działaczy w Stutthofie, liczne deportacje z Litwy, wywłaszczanie Litwinów z gospodarstw itd. Ale to wszystko nie nie znaczy. Dla pewnych ludzi stosunki z Polakami będą zawsze frontem walki. Świadczy o tym tytuł omawianego artykułu: „Na polskim froncie nic nowego”.

W kwietniu br. został skazany na 10 lat obozu i 6 lat zaskłania Litwin, B. Gajauskas. Za udział w partyzantce w pierwszych latach powojennych odsiedział on już 25 lat w Gułagu; powrócił na Litwę w roku 1973 i zbierał materiały do dziejów powojennej partyzantki litewskiej, czym zasłużył sobie na ponowną katorgę.

W pamiętnikach kanonika J. Stankevičiusa (*Draugas*, 9. 5. 78, Chicago) znajdujemy ciekawy polonik. Przed laty, jako rzecznik litewskiego duchowieństwa, udał się on do Moskwy, gdzie został życzliwie przyjęty, ale do rzeczowych rozmów nie doszło, z braku jego znajomości języka rosyjskiego. Dano mu więc dobre warunki pobytu w Rosji, by się nauczył języka (a może aby go usunąć z Kowna) i po kilku miesiącach zgłosił się ponownie na pertraktacje. Podczas wycieczki stateczkiem po Woldze — z ekskluzywną publicznością — zagadał do niego jakiś sowiecki generał. Zaczął rozmowę od słów: „Towarzyszu jesteś chyba również partyjnym”. Nim kanonik zdążył odpowiedzieć, generał kontynuował swe wywody, jak to jego błyskawiczna kariera wojskowa zaczęła się na terenie Litwy, w bitwie pod Szawlami. Przy zdobywaniu Berlina dowodził już brygadą.

„Gdy skończyła się wojna, chciał przejść w stan spoczynku, ale kazano mu udać się do Polski i walczyć z partyzantami. Nikt nie może sobie wyobrazić, jak strasznie było wówczas w Polsce. Tam przekonaliśmy się, co to znaczy być w Polsce nieproszonym gościem. Udaliliśmy się do Polski w liczbie 90 tysięcy. Z Polski wróciło nas tylko 6 tysięcy. 84 tysiące bojów spoczywa w polskich lasach i wsiach”.

Cyfra wydaje się przesadzona. Ale trudno ją sprostować, gdyż dzieje tej powojennej wojny są mało znane i wstydliwie przemilczane jako „bratobójczej”. Opowiadanie generała wskazuje na inny jej aspekt — wojny polsko-sowieckiej, godnej zbadania, i wzorem Litwinów „zmobilizowania zespołu naukowców dla rzetelnego opracowania tego okresu dziejów”.

Kronika niemiecka

Jan Chyliński został mianowany ambasadorem PRL w RFN. Chyliński (syn Bolesława Bieruta) ukończył studia w Moskiewskim Instytucie Lotniczym. Od lutego 1971 pełnił stanowisko zastępcy przewodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów. Prasa zachodnioniemiecka, komentując mianowanie nowego ambasadora, podkreśla że Warszawie wyraźnie zależy, ażeby kontakty handlowe z Bonn miały nadal znaczenie pierwszoplanowe. ■ Najnowsze przekłady z literatury polskiej w NRD: *Wesele* Wyspiańskiego uzupełnione *Plotką o Weselu* Boya Żeleńskiego, *Jokohama* Józefa Hena, wybór utworów Sławomira Mrożka oraz *Opowiadania* Tadeusza Różewicza. ■ Podczas Dni Kilonii otwarto w *Galerii Sztuki* wielką wystawę malarstwa polskiego obejmującą ponad 120 płócien z okresu 1830-1914. Pokazano m.in. takie obrazy jak: *Babie lato* J. Chelmońskiego, *Patrol powstańczy* M. Giermskiego, *Zawieszenie dżwonu* Zygmunta, *Kazanie Skargi* i *Staniczek* J. Matejki, szereg płócien Michałowskiego, Grottgera, Siemiradzkiego, Malczewskiego, Rodakowskiego i Fałata. ■ Tygodnik *Das Parlament* poświęcił specjalny dodatek dyskusji w sprawie wprowadzenia w RFN zaleceń zachodnioniemiecko-polskiej komisji do spraw rewizji podręczników szkolnych. Autorem studium, które przedstawia sytuację w poszczególnych krajach federalnych, jest Alfred Schickel. Prof. Josef Joachim Menzel z Moguncji, prof. Wolfgang Strižny z Flensburga i Eberhard Voelker z Bad Harzburga opracowali na nowo kilka spośród ogłoszonych 26 zaleceń mieszanej komisji d/s podręczników szkolnych. Ich kontrpropozycje dotyczą tak zasadniczych problemów jak przesunięcia terytorialne i wysiedlenie ludności niemieckiej. Postulują oni dostosowanie niektórych sformułowań do obowiązującego w RFN języka prawnego. ■ W ciągu czerwca i lipca hr. do Republiki Federalnej przybyło łącznie 6.704 przesiedleńców z Polski. ■ Poseł CDU Alois Mertes, rzecznik frakcji chrześcijańskich demokratów w sprawach polityki zagranicznej przebywał w USA, gdzie spotkał się z prof. Zbigniewem Brzezińskim. Po powrocie do RFN Mertes oświadczył, że Stany Zjednoczone są zaniepokojone stanowiskiem europejskich państw zachodnich, które w pewnych okresach wykazują tendencje do „samo-finlandyzowania się”. Zdaniem Brzezińskiego — powiedział Mertes — „niektórzy” politycy zachodni nie doceniają niebezpieczeństwa sowieckiego i nie patrzą się trzeźwo na sprawy związane z bronią nuklearną. ■ Norbert Blum, przewodniczący komisji społecznych i członek prezydium CDU, w wywiadzie udzielonym *Tygodnikowi Powszechnemu*: „Pojednanie (z Polską — przyp. A.J.Ch.) jest pragnieniem wszystkich członków CDU. Partia chrześcijańska jest zobowiązana do okazywania szczególnej wrażliwości na sprawę winy i uwikłania historycznego. Stojmy na gruncie zawartych układów. (...) Musimy więcej ze sobą mówić, więcej o sobie słyszeć, by się wzajemnie lepiej poznać. Musimy uczyć się z błędów i pomyłek przeszłości. Gwałt nie może już nigdy być narzędziem polityki”. Wywiad przeprowadził Andrzej Micewski. ■ Oświadczenie PPN (Nr 18), zatytułowane *Polska a Niemcy* (patrz *Kultura* nr 7-8, 1978), zostało przetłumaczone i zamieszczone w piśmie zachodnioniemieckich *Młodych Demokratów*, związanych z współzrządzającą *Partią Wolnych Demokratów (FDP)*. Miesięcznik nosi tytuł *Liberales Forum* i wychodzi w Kolonii. Cały jego trzeci tego-roczny numer poświęcony został sprawom opozycji demokratycznej w Polsce.

Obszerne fragmenty oświadczenia PPN zostały przedrukowane przez wielki tygodnik hamburski *Die Zeit* i omówione w bońskim dzienniku *Die Welt* i *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. Radiostacja *Deutschlandfunk* nadała audycję o specjalnym numerze *Liberales Forum*, cytując jednocześnie oświadczenie PPN w sprawach polsko-niemieckich. ■ Nagrodę Srebrnego Niedźwiedzia otrzymał na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Zachodnim Berlinie Jerzy Kawalerowicz za całokształt twórczości oraz za film *Śmierć Prezydenta*. ■ Wśród 239 organizacji uznanych przez bońskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych za lewicowe i wymagające specjalnego nadzoru policyjnego znalazło się *Niemiecko-Polskie Stowarzyszenie w RFN* z siedzibą w Düsseldorfie. Na liście figuruje również *Związek Polaków w Niemczech „Zgoda”*. ■ W III programie zachodnioniemieckiej telewizji wyświetlono 45-min. film fińskiego dokumentalisty Jarmo Jääskeläina pt. *Śmierć studenta*, poświęcony sprawie zamordowanego w maju ub. roku Stanisława Pyjasa. Określony jako „studium dokumentalne”, film ten może być uznany za wzorowy reportaż telewizyjny. ■ Przedstawiciele niemiecko-polskiej spółki handlowej *Liminox* w Bremerhaven, dyrektorzy Heinz Linemeyer i A. Ter-Asaturov złożyli czek na kwotę 10 tys. marek, jako dar na budowę *Centrum Zdrowia Dziecka*. ■ Fundacja Reinholda Schneidera w porozumieniu z KUL-em w ramach dorocznej Nagrody Pokojowej im. Ojca Maksymiliana Kolbego i Reinholda Schneidera ogłosiła konkurs na temat „Ojciec Maksymilian Kolbe, Reinhold Schneider i Dietrich Bonhoeffer — jako krzewiciele pokoju w służbie chrześcijańskiego sumienia”. 11 czerwca hr. — w auli KUL-u — odbyła się uroczystość wręczenia nagród. Otrzymały je: Zdzisław Lewandowski, alumn *Wyszego Seminarium Duchownego* w Siedlcach, ks. Antoni Dunajski, student *Wydziału Teologicznego KUL*, Jacek Borzecki, student *Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej KUL*, Bogdan Ferdek, alumn *Wyszego Seminarium Duchownego* w Nysie. Okolicznościowy wykład „problem winy u Dietricha Bonhoeffera i Reinholda Schneidera” wygłosił prof. Eberhard Bethge z Republiki Federalnej. ■ W Rumunii powstanie zachodnioniemiecki *Instytut Kultury*, zaś rumuński w Monachium. W Rumunii, przeważnie w Braszowie i jego rejonie mieszka ok. 400 tys. Niemców. ■ W ostatnich pięciu latach w Republice Federalnej wydano 7 książek Janusza Korczaka. Największą poczytnością cieszą się: *König Hüsnü I (Król Maciuś Pierwszy)* i *Jack handelt für alle (Bankructwo małego Dżeka)*. ■ Zastępca dyrektora firmy *Triumph-Adler* z RFN — Heinz J. Schenk przekazał w darze dla *Centrum Zdrowia Dziecka* 15 elektrycznych maszyn do pisania (wartości ok. 35 tys. marek) oraz zadeklarował w imieniu firmy dostawę części zamiennych, stały serwis techniczny, jak również dalszą pomoc w dostawie maszyn liczących i komputerowych potrzebnych dla wyposażenia biura *Centrum*. ■ Premier rządu emigracyjnego, Kazimierz Sabbat, w monachijskim *Haus der Begegnung* wygłosił odczyt dla miejscowej Polonii na temat działalności „centralnego ośrodka polskiej emigracji politycznej”. Natomiast działalność i rola demokratycznej opozycji oraz ocena sytuacji wewnętrznej w Polsce były głównymi tematami konferencji prasowej, na którą przybyło liczne grono dziennikarzy niemieckich i zagranicznych. Prasa poświęciła nadspodziewanie wiele miejsca wypowiedziom Kazimierza Sabata. Pan Sabbat odwiedził również Hamburg, gdzie był podejmowany przez polskich kombatanów i zarząd miejscowego *Kola P.P.S.*

Andrzej J. CHILECKI

Kronika kulturalna

Odznaczenie Czesława Miłosza

18 czerwca br. w czasie uroczystości, związanej z zakończeniem roku akademickiego na Uniwersytecie w Berkeley, dziekan Hugh McLean wygłosił poniższe przemówienie:

Widząc jak świetnie wygląda — zwłaszcza w tych uniwersyteckich insygniach — nikt nie mógłby pomyśleć, że Czesław Miłosz osiągnął w tym roku wiek emerytalny. Zresztą, z radością stwierdzam, że uniwersytet odmówił całkowitemu poddaniu się tyranii liczb, a w tym wypadku liczbie lat Miłosza, który zgodził się aby powołano go ponownie do czynnej służby jako profesora Literatury w przyszłym roku akademickim. Tym niemniej jego oficjalne wycofanie się stanowi koniec pewnej epoki i właśnie to wydarzenie uroczystości dzisiaj obchodzimy.

Jeżeli wygląd Miłosza jest imponujący, to jego osiągnięcia tym bardziej. Nie jestem w stanie wszystkich ich wyliczyć, ale rytuał nakazuje mi wymienić je choćby sumarycznie.

Miłosz urodził się w Szetejniach, w Litwie, a więc w części rosyjskiego imperium, ale dorastał w Wilnie, które w okresie międzywojennym należało do Polski. Na Uniwersytecie Wileńskim ukończył Wydział Prawa, które — przykro mi to stwierdzić — okazało się szczególnie bezużyteczne w praktycznym zastosowaniu na Wydziale Sławistyki, choć bez wątpienia nabycie wiedzy tego typu było bardzo ważne dla doskonale zdyscyplinowanego umysłu Miłosza. Muszę jednak z radością zaznaczyć, że chociaż Miłosz wyrzekł się kariery prawniczej, to inna kariera, naukowa, przyniosła mu nowy dyplom — stopień Doktora Literatury *honoris causa* nadany mu w ubiegłym roku przez Uniwersytet Michigan.

Jeszcze przed ukończeniem uniwersytetu Miłosz zaczął drukować swoje poezje. Jego pierwszy tom wierszy, „Poemat o cza-

sie zastygłym”, 1933, zdobył nagrodę Związku Literatów Polskich. Następnie został wysłany do Francji jako stypendysta, a po powrocie stał się z zawodu człowiekiem pióra, zatrudnionym przez państwowe Radio. Oficjalna biografia Miłosza podaje, że między wrześniem 1939 a styczniem 1945 „nie posiadał zarejestrowanego zajęcia”. Ale jego czynności „niezarejestrowane” w służbie Polskiego Podziemia były różnorodne. Czynności te obejmowały poezję: zbiór poezji Miłosza został wydany potajemnie w Warszawie w 1940 roku, a w 1942 roku Miłosz, tuż pod nosem władz okupacyjnych, wydał pełną antologię wierszy antynazistowskich. Po wojnie Miłosz wstąpił do służby zagranicznej swego kraju, został wysłany na placówkę do Stanów Zjednoczonych i pomiędzy 1946 a 1950 rokiem przebywał w Nowym Jorku i w Waszyngtonie. W 1950 roku został przeniesiony do Paryża i tam, 1 lutego 1951 roku, powziął drastyczną decyzję zrezygnowania ze swego stanowiska i uzyskania azylu na Zachodzie.

Od 1951 do 1960 roku Miłosz przebywał we Francji jako pisarz niezależny. W roku 1953 zdobył międzynarodowy rozgłos swoją słynną książką „Zniewolony umysł” („The Captive Mind”) — inteligentną, zdumiewająco przenikliwą analizą wpływu doktryny komunistycznej na życie polskich intelektualistów w dobie Stalina. Ta książka jest ciągle klasykiem. W tym samym roku wydał po francusku powieść „La prise du pouvoir”, którą sam uważa za skłeloną na przódce, ale która tym niemniej zdobyła Europejską Nagrodę Literacką i została przetłumaczona na osiem języków, włączając w to gujarati i telugu.

Od tego czasu — jeśli moje obliczenie jest dokładne — Miłosz opublikował siedem tomów oryginalnej poezji po polsku i obecnie jest powszechnie uważany za czołowego polskiego żyjącego poetę — ten fakt jest szczególnie kłopotliwy dla obecnego reżimu warszawskiego, który jednak nie może temu zaprzeczyć. Nawet w tłumaczeniu wiersze Miłosza znajdują głęboki oddźwięk. Wydanie w roku 1974 jego „Selected Poems” było wydarzeniem literackim, czemu dały wyraz liczne pochwalne recenzje: jedna z nich stwierdza jednoznacznie, że Miłosz jest jednym z najwybitniejszych poetów tego wieku.

Twórcza praca Miłosza nie ogranicza się do poezji. Jego autobiograficzna powieść „Dolina Issy” („The Valley of the Issa”) nie tylko nie jest książką skleconą na przódce, ale jest już klasykiem polskiej prozy. Miłosz wniósł także poważny wkład jako eseista, pisząc na rozmaite tematy: filozoficzne i literackie. Próbką tej formy jego dzieła jest ostatnio wydany tom „Emperor of the Earth”. Ponadto jest on historykiem literatury: jego napisana po angielsku „History of Polish Literature” stała się pracą podstawową. Do tego jest także tłumaczem z innych języków na polski i z polskiego na angielski. Jego obecnym ambitnym projektem jest poetycki przekład na język polski Psalmów z oryginału hebrajskiego. Zawsze wydawało mi się wybitnie nieakademickim i nie-biurokratycznym darem przewidywania ze strony Słowińskiego Wydziału i administracji Uniwersytetu (nie

byłem wtedy ich członkiem), że w roku 1960 przyjęto Miłosza, człowieka bez żadnych standardowych uniwersyteckich kwalifikacji i zrobiono z niego profesora. To ryzyko opłaciło się sto-krotnie. Talent jest zawsze talentem i w każdym miejscu zdoła się wybić. Miłosz okazał się znakomitym wykładowcą, najpierw w swoim głównym programie wykładów z literatury polskiej. Następnie — co jednocześnie ujawnia zarówno jego łatwość przestawiania się jak i brak przesądów etnicznych — Miłosz podjął się z niezwykłym powodzeniem prowadzenia naszych podstawowych wykładów o Dostojewskim, znanym polonofobie, jak też zainicjował kurs o manicheizmie w literaturach słowiańskich.

Wybitność Miłosza została już szeroko uznana w kraju, który go zaadoptował: poprzez przyznanie mu stypendium Guggenheima, nadanie tytułu doktora *honoris causa*, o czym już wspominałem, a w bieżącym roku przez przyznanie mu Międzynarodowej Nagrody Literackiej Neustadta, którą administruje University of Oklahoma. Toteż jest rzeczą jak najbardziej stosowną, aby Uniwersytet Kalifornijski z wdzięcznością uznał teraz usługi, jakie oddał mu Miłosz i wyróżnienie jakim go obdarzył przez samą swoją tutaj obecność.

W imieniu Kanclerza Bowkera, mam zaszczyt nadać Czesławowi Miłoszowi najwyższe odznaczenie, jakie może ofiarować Campus Berkeley — THE BERKELEY CITATION.

Hugh McLEAN
(Dziekan Humanistyki)

(Przełożyła Z. H.)

HOMAGE TO CZESŁAW MIŁOSZ

World Literature Today. A Literary Quarterly of The University of Oklahoma. Volume 52. Number 3. Summer 1978. Str. 357-527. Homage to Czesław Miłosz Our 1978 Neustadt Laureate. Numer poświęcony Czesławowi Miłoszowi zawiera: Joseph Brodsky — *Presentation of Czesław Miłosz to the Jury*; Louis Iribarne — *The Human Thing: Encomium for Czesław Miłosz*; Czesław Miłosz — *Laureate's Words of Acceptance*; Chronology; *Selected Bibliography*; Czesław Miłosz in „*Books Abroad*”; *World Literature Today 1954-1978*; Texts: Czesław Miłosz — *Six Poems from 1969-74*; Czesław Miłosz — *The Valley of Issa* (Excerpt); Essays: Jan Błoński — *Poetry and Knowledge*; Tomas Venelova — *Czesław Miłosz: Despair and Grace*; Irena Stawińska — *The Image of Poet and His Estate*; Alexander Coleman — *The „Still Point” in Miłosz's „Native Realm”*; Lilian Vallee — *The Valley of Issa — An Interpretation*; Olga Scherer — *To Ulro Through San Francisco Bay*; George Gömöri — *„Truth” and „Beauty” in Miłosz's Poetry*; Krzysztof Dybczak — *„Holy is Our Being... and Holy the Day”*; Aleksander Fiut — *Facing the End of the World*. Fotografie i ilustracje na okładce i na stronach 357, 362, 364, 369, 370-71, 374-75, 377, 380, 425.

Pompidolium

W *Le Marais* — starej, historycznej dzielnicy Paryża — wzniesiono wielki gmach nowego narodowego centrum kultury i sztuki. Niczym jaskrawa blaszana zabawka wstawiona pomiędzy zakurzone bibeloty babcinej serwantki, uderza ono swoją barwnością, jak i przemysłowo-fabryczną estetyką.

Nieżyjący dziś Georges Pompidou, *spiritus movens* przedsięwzięcia „na 100.000 m² i za 280 milionów franków”, zapytany dlaczego opowiada się za tak kosztowną inwestycją, odpowiedział: „*Mes raisons? — J'aime l'art, j'aime Paris, j'aime la France*”. Zaledwie Prezydent powierzył historii swą pamiętną replikę rozpisano warunki międzynarodowego konkursu architektonicznego, w preambule do których zaznaczono: „Realizacja wyróżnionego projektu da Paryżowi obiekt, który wystawi świadectwo naszemu stuleciu”. Podkreślono egalitarno-populistyczny charakter przyszłego użytkownika: „Centrum będzie służyło mieszkańcom dzielnicy... młodzieży... żywiłom twórczym... robotnikom... przemysłowcom”. Określono cele realizacji: „Centrum zwrócone ku szerokiej publiczności, winno, poprzez swoją urozmaiconą prezentację, przedstawić całokształt osiągnięć współczesnej cywilizacji”.

Do konkursu stanęło 681 zespołów, a do jury, mającego trudne zadanie dogodzenia ostateczną decyzją Prezydentowi-mecenasowi, przyszyłym użytkownikom jak i opinii publicznej, zaproszono m.in. dwóch architektów o światowej renomie: Amerykanina Philipa Johnsona oraz Brazylijczyka Oscara Niemeyera. W lipcu 1971 pierwszą, niepodzielną nagrodę z prawem realizacji przyznano angielsko-włoskiemu zespołowi Richard Rogers i Renzo Piano. Rozgorzała burza.

Polaryzacja opinii, która wystąpiła wśród krytyków i komentatorów pokrywała się na ogół z tradycyjnymi liniami politycznego podziału. Prawica uznała projekt za ośmieszający inicjatywę Pałacu Elizejskiego. Dowodziła, iż „konstrukcja — kompozycja z rusztowań” w żaden sposób nie może stanowić odpowiedniego pomieszczenia dla wspaniałego księgozbioru i najcenniejszej narodowej kolekcji sztuki współczesnej — zarzucała projektowi brak tradycyjnie pojmowanego *decorum*. Lewica zaś, choć również nie szczędziła uszczypliwych uwag pod adresem niecodziennej estetyki projektu, dostrzegła w całym przedsięwzięciu przede wszystkim przebiegły manewr francuskiego *establishment'u*. Twierdziła, że umieszczenie pod jednym dachem czterech instytucji — Biblioteki, Muzeum, Instytutu Formy Przemysłowej,

Instytutu Badań Muzycznych — jest niebezpiecznym objawem polityki rządowej sterującej ku coraz większej kontroli nad kulturą i sztuką narodu. Lewicy, a zwłaszcza tej jej części wspominającej z nostalgią rozkwit „prawdziwie wolnej i nieskrępowanej sztuki” w cieniu barykad *evenements* 68, inicjatywa Pompidou wydała się wyjątkowo perfidna, bo przybrana awangardową propozycją architektoniczną. Prasa, i to najroźnieszego politycznego autoramentu, ochocho podchwyciła nomenklaturę anonimowego paryżanina pisząc o „Pompidolium”, o „rafinerii sztuki”, oraz o „supersamie sztuki” z ulicy Renard.

Czym że więc jest owe Pompidolium?

Centrum założono na rzucie prostokątnym. Wschodnią jego fasadę ustawiono w nieznacznym uskoku wobec istniejącej linii zabudowy po zachodniej stronie ulicy Renard. Przeciwną zachodnią fasadę postawiono nad nowo powstałym placem skąd najdogodniej ogląda się sylwetkę obiektu. Pod placem umieszczono Instytut Badań Muzycznych — IRCAM. Pozostałe pomieszczenia podziemne wykorzystano na parking i magazyny. Plac wyłożono tradycyjną kostką paryską, a krawce jego wyznaczono wyprowadzonymi z podziemia pionami wentylacyjnymi, ukształtowanymi na wzór okrętowych, i zgrupowanymi bądź to trójkami bądź to czwórkami.

Na naziemną część gmachu składają się trzy podstawowe elementy: główny korpus (pięć pięter) z wewnątrz szeroko zastosowaną zasadą *plan-libre*, oraz dwie zewnętrznie wydzielone strefy (każda o 9 m. głębokości) flankujące wschodnią oraz zachodnią fasadę. Kondygnacje dźwigają potężne kratownice unoszone przez równie masywne słupy ustawione po zewnętrznej stronie ściany fenestracyjnej głównego korpusu. Słupom, poprzez ich zewnętrzną lokalizację przypisano dodatkowe zadanie. Otóż na wysokości każdej kondygnacji, u styku kratownicy i słupa umieszczono wsporniki (wypuszczone w kierunku zewnętrznym), które stanowią podstawę niezależnych ustrojów konstrukcyjnych dla wyżej wspomnianych stref. Na flance wschodniej umieszczono zaplecze techniczne, na flance zachodniej strefę komunikacji. Na pierwsze składają się: windy towarowe, przewody kanalizacyjne i zespoły ogrzewczo-wentylacyjne. Na drugą; pasaż kryte i odkryte, znów windy, oraz najbardziej charakterystyczny element całego projektu — zawieszone w powietrzu schody ruchome ujęte w tuleję ze szkła plexi, które pięcioma zdecydowanymi ciągami przecinają po przekątnej całą zachodnią fasadę. Wszystkie wyżej wspomniane elementy wraz z bogatą plecionką drugorzędnych instalacji zostały beceremonialnie wyeksponowane, co samo w sobie jest poważnym odejściem od stosowanych praktyk. Bo, wiem w tak zwanych „bebechach” architektonicznego organizmu, aby użyć żargonu zawodowego, projektant nie zwykł doszukiwać się walorów estetycznych. Panowie Piano i Rogers nie tylko manifestacyjnie obnażają swój budynek, ale z ujawnionych wnętrzności czynią *cause célèbre* swojej paryskiej przygody architektonicznej. Agregat wentylacyjny z licznymi rozgałęzieniami, prze-

wód kanalizacyjny z charakterystycznymi pokrętłami zaworów, i wieża windowa z urządzeniami sternicznymi stają się elementami pierwszoplanowymi, elementami, którymi architekt artykułuje swoją fasadę. Każdemu zespołowi funkcyjnemu nadano jeszcze kolor aby ostatecznie otrzymać przebogatą wielobarwną rzeźbę, składającą się, w gruncie rzeczy, z najbardziej prozaicznych atrybutów krajobrazu przemysłowego.

We wrześniu 1976, a więc w niespełna 3 miesiące przed oddaniem centrum do użytku publicznego ukazała się broszura zamówiona przez Ministerstwo Kultury traktująca o przeróżnych aspektach nowopowstającego obiektu oraz o jego architektonicznym znaczeniu. Pamiętajmy, że zleceńodawca, bezpośrednio resort do spraw kultury, a pośrednio Pałac Elizejski, oczekiwał projektu, który „...wystawi świadectwo naszemu stuleciu”. Oczekiwano więc architektury nie tylko znaczącej ale wręcz epokowej. Czy słowo stało się ciałem? Claude Mollard autor broszury nie wątpi, że tak! — i aby dowieść swego, genealogię architektoniczną zrealizowanego obiektu usiłuje wyprowadzić bezpośrednio z „heroicznego” okresu modernizmu — tzn. z jego rewolucyjnych narodzin w latach dwudziestych. Dowiadujemy się więc, że centrum jest projektem funkcjonalistycznym, że nawiązuje do świetnych tradycji Bauhausu, że przecież sam mistrz Le Corbusier rzekł iż Dom to maszyna, co ma nam tłumaczyć mechanistyczną estetykę centrum.

Wiadomo, architektura interpretowana poprzez encyklopedyczne już dzisiaj nazwiska jak Gropius, Wright czy też Mies van der Rohe nabiera czegoś z pionierstwa, czegoś z przełomowości ich wielkiej krucjaty. Posługując się tą efektowną interpretacją próbuje Claude Mollard już dzisiaj na gorąco zapisać do historii omawianą przez siebie realizację.

Jakiegokolwiek sądy o wiekopomności centrum Pompidou winniśmy chyba pozostawić rokowi 2000. Dopiero wówczas zarysuje się należyta perspektywa dla takiej oceny. W chwili obecnej natomiast możemy bez większego ryzyka postarać się o wyznaczenie mu miejsca w dotychczasowym rozwoju architektonicznego modernizmu. Co więcej możemy zapolemizować z mollar-dowską opinią co do architektonicznej genealogii zrealizowanego centrum.

Architektoniczna awangarda lat dwudziestych zafascynowana postępem techniki, pełna była kultu dla maszyny. Pragnęła aby architekturą przestały rządzić przypadkowe subiektywne odczucia wyrażające się zbędną dekoracyjnością, aby m.in. o jej ostatecznym wyrazie zaprzestały decydować z antyczności wzięte proporcje. W zamian chciano architektury „racjonalnej”, której cechy wyprowadzałyby się bezpośrednio z celu który miała realizować. Jedynie taka architektura funkcjonalna mogłaby stać się wyrazicielką *esprit* rozpoczynającego się wieku dwudziestego, którego żywymi symbolami były wehikuły poruszające się bez zaprzęgu konnego oraz w chmurach unoszące się maszyny. Ze walkę o przeobrażenie naszego urbanistyczno-architektonicznego

otoczenia wygrano, udowodni jedno spojrzenie z okna naszego mieszkania, że zaś uczyniono to niecałkowicie w zgodzie z programem teoretycznym mającym sankcjonować tę architekturę, na ogół uchodzi uwadze.

Pierwszym, który wskazał na tę rozbieżność był Buckminster Fuller, głośny już dzisiaj super-mózg inżynierijny. Już w początkach lat trzydziestych oskarżał on modernistów o zamianę dekoracyjnej estetyki minionego okresu na nową dekoracyjność, opierającą jedynie innymi oszczędniejszymi środkami ekspresji, pozornie wyniesioną ponad „przypadkowe odczucia”, pozornie rządzoną autonomicznymi prawami. Willa Savoye le Corbusiera, perła wczesnego modernizmu, mimo nowatorstwa organizacyjno-przestrzennego, mimo nowej purystycznej estetyki pozostaje przede wszystkim *un objet d'art* — mówi Fullerska szkoła. Dzieje się tak, albowiem względy plastyczne nadal królują tu nad względami czysto technologicznymi. Sam Fuller w owym czasie proponował swoją kapsułkę mieszkalną trzono-linowy Dymaxion House — która pod względem technologicznym wyprzedzała projekty modernistów o dobre dwadzieścia lat. Fakt ten natomiast wcale nie przesądził o zmianie w rozwoju architektury współczesnej. Wręcz przeciwnie, modernizm nazywany już „stylem międzynarodowym” ustalił się jako najbardziej powszechny architektoniczny prąd wszechczasów.

Dopiero gdy biurokrata, cwany spekulant i architekt schematysta doszczętnie zuniformalizowali nasze architektoniczne otoczenie, fala architektów i teoretyków architektury zapragnęła nadać swojej dyscyplinie nową treść. „Modernizm przestał już być rewolucyjną propozycją utopijnej przyszłości, a stał się raczej zdehumanizowanym atrybutem nieutopijnej teraźniejszości” — pisał Colin Rowe, amerykański krytyk nowej fali. Choć nie brak z końcem lat 50-tych projektantów gotowych szukać panaceum na bolączki współczesności w powrocie do „organicznej architektury Wrighta”, lub też „formalizmu wczesnego Le Corbusiera”, powstają zespoły architektoniczne orientujące się na „inżynierijną” szkołę Fullera. Wśród nich wypada wymienić przede wszystkim Metabolistów japońskich oraz londyńską grupę Archigram, która z początkiem lat 60-tych wysunęła ideę architektury megastrukturalnej. Znajduje ona swe zastosowanie, choć niestety tylko częściowe, w realizacji Piano i Rogersa z ulicy Renard.

Idea ta zakłada, iż nie sposób już od dzisiejszego projektanta wymagać architektury finalnej, architektury dopowiedzianej. Potrzeby współczesnego człowieka są tak różnorakie, tak skomplikowane, że winien on jedynie proponować luźne, choć na dużą skalę pomyślane układy konstrukcyjne (magastruktury), w łonie których powstawałaby i żyła architektura uniwersalna przystosowująca się *ad hoc* do coraz to zmieniających się wymogów dzisiejszego użytkownika. W myśl tej projektodawczej filozofii elementy funkcyjne centrum Pompidou uszeregowano po zewnętrznej stronie głównego korpusu gmachu. Dało to niczym nie zakłócając przestrzeń wewnętrzną, w której całe partie podłóg

miały móc hydraulicznie wznosić się i opadać tworząc rozliczne możliwości konfiguracyjne dla wnętrza. Układ konstrukcyjny centrum jest tak pomyślany, że bez naruszenia istniejącej statyki można obiekt podwyższyć lub skrócić. Cała fasada zachodnia ma w przyszłości być przekształcona w gigantyczną ścianę informacyjną na której neony i ekrany nieśb będą paryżanom najnowsze wieści o życiu kulturalnym ich miasta.

Nie! architektura pojęta jako ruchoma, pulsująca, ciągle metamorfozująca się instalacja to już nie idea apoteozująca technikę wczesnodwudziestowieczną lecz super-technologię obecnego półwiecza. Nie wśród awionetek i transatlantyków tak częstych na kartkach „Vers une Architecture” Le Corbusiera należy szukać inspiracji projektu Piano i Rogersa. Szukać jej należy raczej u technologa Fullera, poprzez „Walking City” i „Plug-in-City” ze stronic pisma „Archigram”, na Cape Kennedy, na stacjach wiertniczych morza północnego lub w powieściach *science-fiction*. Rozpatrując więc centrum Pompidou w odniesieniu do rozwoju architektury współczesnej należy wysnuć jej rodowód raczej z krytyki modernizmu — aby nie rzec — z demaskacji ułomności jej głównego nurtu (Fuller). Z pewnością nie krzywdzi Claude Mollard Piano i Rogersa stawiając ich nazwiska obok tych z „wielkiej czwórki”. Utrudnia to jednakże zrozumienie nowopowstałej magastruktury paryskiej, a co więcej poważnie mistyfikuje samą istotę wczesnego modernizmu.

Tak jak trudno uznać centrum Pompidou za bezpośrednie dziedzictwo wczesnego modernizmu, tak trudno nadać realizacji tej miano architektury etapowej w aktualnym stadium rozwoju architektury współczesnej. Niewątpliwie etapową realizacją był angielski Crystal Palace Josepha Paxtona — zwiastował on nową erę w architekturze, erę szkła i żelaza. Także, dajmy na to, Hala Stulecia (dziś Ludowa) we Wrocławiu która wraz z paryskimi realizacjami Auguste Perret rozpoczęła, po dzień dzisiejszy trwającą, erę budownictwa z uzbrojonego betonu. W tym sensie nie wydaje się aby centrum Pompidou niosło ze sobą nowy kurs, nową erę, aby stało się architekturą etapową. Mniejsza dziś fascynacja wśród architektów wszelaką „gadżeteryą”, możliwościami *high-powered technology*. Wyścigowi za coraz to dalszym postępek technologicznym towarzyszą przecież zjawiska zgoła przerażające. Chociażby bezosobowe osiedla-giganty lub możliwość naruszenia bilansu ekologicznego poprzez zanieczyszczenie atmosfery, rzek i mórz. Lektura czasopism architektonicznych (przynajmniej zachodnich) dowodzi jak daleka jest wśród architektów świadomość tej problematyki, bynajmniej nie wyczerpanej dwoma powyższymi przykładami. Nic dziwnego, że coraz częściej unikają oni w swych propozycjach aluzji do nadal wszechobecnej lecz mocno skompromitowanej super-technologii. Na łamach tych samych czasopism coraz mniej projektów nacechowanych „erudycją konstrukcyjną”, wielkim rozmachem, więcej zaś, zdradzających umiar oraz predylekcję do skali małej.

W zaistniałym klimacie, *Centre National d'Art et de Culture*

Georges Pompidou możemy uznać jedynie za dzieło odnotowujące istnienie jednego ruchu architektonicznego. Ruch megastrukturalny, za pośrednictwem Pałacu Elizejskiego, podatnika francuskiego, oraz architektów Piano i Rogers doczekał się pomnika. Nie jest to wcale rzecz błaha. Po wielu innych nurtach architektonicznych, płynących obok względnie przeciw głównemu zostało doprawdy bardzo niewiele. (Wspomnijmy dla przykładu, iż z prac Futurystów włoskich zachowały się jedynie zapiski i perspektywy Santa Elii). Fakt ten, wraz z wysoce indywidualnym rzeźbiarsko-ikonograficznym obliczem samego obiektu, zaprowadzi go na pewno do podręczników i przewodników architektonicznych drugiej połowy dwudziestego wieku. Dodajmy także w konkluzji, iż lepiej będzie mu tam niż wśród stromych i uroczych kamieniczek paryskiego *Le Marais*.

Jan CHODAKOWSKI

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować *ZESZYTY HISTORYCZNE*.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi F.140 (dol. USA 30) a dla prenumeratorów *KULTURY* F.120 (dol. USA 25), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

Wołanie na puszczy

Rosjanie i inni

Różnica w myśleniu politycznym, ideowym, strategicznym pomiędzy, sumarycznie mówiąc, Wschodem a Zachodem jest tak paradoksalnie wielka, są to dziś światy tak od siebie różne, że przybysz (czasowy czy chwilowy) z tamtej strony Łaby, pomieszkawszy trochę tutaj, w Wolnym Świecie, zaczyna się dziwić coraz bardziej i bardziej, potem irytować i denerwować, wreszcie kapituluje i wraca do siebie z przekonaniem, że Zachód naszym krajom uwięzionym przez totalizm nie da nic, bo nie chce, nie zamierza, nie rozumie, nie chce rozumieć i kwita. Teza Marksa iż „byt określa świadomość” znajduje tu wspaniałą ilustrację — absolutnie odmienny byt w systemie rynkowym, parlamentarno-demokratycznym, obdarzonym swobodą jawnej konfliktowości, informacji oraz zmiany miejsca pobytu ukształtował po drugiej wojnie światowej zupełnie inaczej myślącego i oceniającego sprawę świata człowieka, niż osobnik formowany przez dziesięciolecia w krajach zamkniętych i zaryglowanych tak fizycznie jak duchowo. Oczywiście, stopień zaryglowania bywa różny: np. najbardziej zamkniętym z krajów Wschodu jest Kambodża, potem umieściłbym Wietnam, Chiny i Albanie, z kolei Związek Sowiecki, następnie kraje Europy Centralnej, w których kołaczę się jeszcze pamięć o dawnych swobodach i różnorodnościach, wreszcie chyba Jugosławię, bądź co bądź eksperymentującą i obojnacką. Ale w sumie granica psychiczna między dwoma światami przebiega przez środek Europy nader wyraźnie, dzieląc nawet w sposób drastyczny tak niegdyś typowo „zachodni” kraj jak Niemcy. Jeśli nie zasadniczego nie zajdzie, to znaczy jeśli nie nastąpią ani poważne wstrząsy wewnętrzne na Wschodzie ani międzynarodowy konflikt polityczny lub zbrojny w Europie (co mało prawdopodobne), to odrębność psychiczna dwóch gatunków człowieka — Wschodniego i Zachodniego — będzie się pogłębiać coraz bardziej i w końcu nie będą już nawet możliwe „rozmowy gęsi z prosięciem” choćby takie, jakie niżej podpisany toczył

niedawno z ludźmi Zachodu, na przykład z redaktorem *Monde'u* p. Fontaine. Gdy „był” całkiem już „określił świadomość” zaś „ilość przejdzie w jakość” dokładnie, wówczas zniknie możliwość wszelkiego prywatnego dialogu, nie będzie bowiem minimum wspólnego języka, tak jak nie ma go już dzisiaj np. między prasą zachodnią a rosyjską. Język umowny — „nowomowa”, przyjęta w Rosji, bywa po latach dla niektórych typów psychicznych równie wystarczająca i przekonywująca jak dla innych mowa nazywająca rzeczy po imieniu. A jak nie będzie wspólnego języka, to nieskuteczne będą i jakiejkolwiek argumenty.

Ciekawe (i smutnawe), że o ile zasady dialektyki działające w sposób determinujący i petryfikujący wszelkie odrębności czy izolacjonizmy wydają się działać bezbłędnie i skutecznie, o tyle inna zasada tejże dialektyki, mówiąca o powszechnej, wzajemnej współzależności wszelkich zjawisk, wszystkiego co się dzieje w historii i przestrzeni, zdaje się nie mieć dziś dobrej koniunktury, bywa ona wręcz (zwłaszcza na Zachodzie) zapomniana. Na Wschodzie, gdzie dialektykę — z braku innych umysłowych rozwiązań — ma się we krwi, ludzie skłonni są sądzić, że jeśli w jakimś miejscu kuli ziemskiej dzieje się coś bardzo złego czy głupiego, nie może to pozostać bez wpływu na inne miejsca kuli ziemskiej, że świat to system naczyń połączonych, co prędzej czy później musi dojść do głosu, że dobrobyt, humanizm, demokracja nie mogą, na dłuższą metę, utrzymać się tylko po jednej stronie świata i że ludzie Zachodu są tego świadomi. Tymczasem wcale nie, to nasze wielkie wschodnie złudzenie. Ludzie Zachodu uwierzyli, że ich strefę, ich styl swobodnego oraz rozsądnie dostatniego życia da się utrzymać przy podziale świata, w izolacji duchowej i politycznej a stosunki z miliardowym Wschodem, z Rosją, z Chinami etc. da się załatwić handlem oraz podpisywaniem formalnych traktatów, bez wnikania w różnice ustrojowe, ideowe, moralne, psychiczne, filozoficzne — jakież polityk zajmowałby się takimi detalami i głupstwami? Do ugruntuwania się na Zachodzie koncepcji izolacjonistycznej walcie przyczynia się pogląd, że sytuacja między mocarstwami jest na globie zamrożona, gdyż istnienie po obu stronach broni nuklearnej uniemożliwia wojnę. Ciekawe jednak, że szantaż atomowy służy nieodmiennie tylko jednej stronie. Na Zachodzie słyszy się często: nie trzeba drażnić Rosjan, trzeba im ustąpić, bo inaczej bomba atomowa zniszczy świat. Nigdy jednak nie słyszy się w Rosji, że trzeba ustąpić Amerykanom, bo inaczej bomba atomowa zniszczy tenże świat. Wynikałoby z tego, że tylko jedna ze stron ma obowiązek troszczyć się o ów świat, druga natomiast ma prawo powiedzieć: „niech się wali, niech się pali, aby nasze było na wierzchu”. Nikt się już temu nie dziwi, dlaczego?

Myślę, że to sprawa zaniku w krajach dobrobytu i demokracji historycznej i ideowej „duszy wojownika”, która wcielała się dziś jeszcze tylko w kraje zagrożone, a przywiązane ideowo do swej całościowej istności, jak Izrael czy Południowa Afryka.

O zaniku we współczesnej, białej cywilizacji duszy wojownika pisałem wielokrotnie, między innymi w broszurze „Czy istnieje walka o świat?”, wydanej po polsku i po niemiecku w 1976 roku. (Przepraszam, że powołuję się ciągle na tę broszurę, ale przecież szlag może trafić człowieka, jeśli powiedział i wyprorokował cały szereg rzeczy, które się potem zdarzyły, a nikt tego nie zauważył ani nie pokwitował, poza nielicznymi dociekliwymi czytelnikami na Wschodzie).

W broszurze mojej pisałem między innymi, że aby wygrywać bitwy czy potyczki w uniwersalnej walce o świat trzeba przede wszystkim uznać, że walka taka w ogóle się toczy. Tu właśnie leży jedna z zasadniczych różnic między myśleniem człowieka Wschodu a człowieka Zachodu. KAŻDY człowiek Wschodu, bez względu na to komu życzy zwycięstwa, przekonany jest, że toczy się zasadnicza walka o panowanie nad ziemskim globem, że walka ta będzie prędzej czy później treścią współczesnego życia ludzkości a wszelka stabilizacja spokoju i dostatku to złudne prowizorium. Człowiek Zachodu natomiast nie wierzy w wojnę (bo jej nie chce i nie potrzebuje), nie widzi konfliktu o świat i jego przyczyn, duchowo-polityczny podział globu nie mąci mu spokoju, pociesza się, iż wszystko da się załatwić pieniędzmi i cierpliwymi pertraktacjami, że pragmatyzm zwycięży a zmiany duchowo-ideowe przyjdą potem automatycznie. I w ogóle dobro zwycięży, bo jest dobre. Prezydent Carter z racji procesów dysydentów w Rosji wyraził niedawno zdziwienie, że „w XX-tym wieku można skazywać ludzi za to, że chcą korzystać z przysługujących im praw”. Prostoduszny ów Amerykanin nie próbował jednakże wyjaśnić nam dlaczego to w wieku XX-tym miałyby się na świecie dziać lepiej niż kiedy indziej, zaś niewielka zapewne znajomość historii nie pozwoliła mu stwierdzić, że wiek XX-ty to najstraszliwszy wiek w dotychczasowych dziejach ludzkości, wiek kiedy to niesłychany rozwój wynalazczości i techniki stał się narzędziem dwóch najkrwawszych wojen światowych, zaś ideologie narodowe czy „internacjonalistyczne” doprowadziły do tak niepojętych, masowych zbrodni jak planowe wymordowanie Ormian w czasie Pierwszej, a Żydów w czasie Drugiej Wojny Światowej, czy jak wyniszczenie milionów istnień przez Stalina. Tak to pocziwi ludzie usiłują przekonać nas na słowo honoru, że świat nie jest demoniczny i że rozsądek sam z siebie zwycięży, tyle że świat ani rusz nie chce się do tego zastosować.

Owszem, taki John Foster Dulles rozumiał niebezpieczeństwo, doceniał demoniczność świata, toteż nie spał spokojnie, ale też w okresie „zimnej wojny” Rosja nie robiła postępów strategiczno-politycznych, a dziś — moim zdaniem — osiąga wiele. Bo właśnie Dulles miał stale świadomość istnienia ogólnej, decydującej walki o świat i przez to szanowany jest i wspominany najbardziej w... Związku Radzieckim (poważnego partnera się docenia). Natomiast dziś, gdy prezydent Carter odmówił Rosjanom jakiegokolwiek tam komputera, mającego obliczać wyniki Olimpiady, rzecz-

nik Białego Domu pośpieszył z wyjaśnieniem, że w żadnym wypadku nie chodzi tu o uszczuplenie dostaw aparatury, odgrywającej rolę w uprzemysłowieniu Rosji czy w jej sektorze zbrojeniowym — w tej dziedzinie żadne embargo przewidziane nie jest. Czytając to szczyptałem się w rękę, pytając, czy to przypadkiem nie jest „sen wariat śniony nieprzytomnie”: więc Amerykanie uprzemysławiają oraz zbroją Rosję i zapewniają, że będą to robić nadal, choćby była ona niegrzeczna. Zatem chcąc kogoś uderzyć trzeba wybrać takie miejsce, aby go nie bolało, unikając starannie miejsca, gdzie cios mógłby być skuteczny?! Każdy człowiek Wschodu uzna to za absurd i obłąd, człowiek Zachodu absurdu nie dostrzeże a do obłąd polityków jest przyzwyczajony. Więc?!

Więc niejeden z nas, czasowych przybyszów, gości z Tamtej Strony, widząc to wszystko skłonny jest stwierdzić, że Zachód zdegenerował się i zwariował, pozostaje tylko napisać na murze złowrogie „Mane, Tekel, Fares”. Pokusie takiej pasji i sumaryczności ulega na przykład Aleksander Sołżenicyn, czemu dał wyraz ostatnio w głośnym swym przemówieniu harwardzkim. Wielki ten człowiek, Sołżenicyn, ale za późno odkrywa Amerykę, czyniąc to nader naiwnie. W ogóle uważam, że oburzanie się czy dziwienie to postawa jałowa: świat jest, jaki jest, czystego dobra w nim nie znajdziemy, ale też innego świata nie mamy — trzeba go oceniać jakim jest, a nie według swoich marzeń (choć marzyć dla siebie wolno). Sołżenicyn nie rozumiejąc istoty obecnej demokracji, próbuje przykładać do niej miarę totalistycznej Rosji: że Zachód powinien mieć jedną ideologię i walczyć o nią, ogłaszając przeciw marksistowskiemu Kremlowi krucjatę i przetapiając symboliczne masło na armaty. Nie pojmuje dawny ów więzień Gułagu (nie chce pojąć?), że dzisiejsza demokracja nie prowadzi do siły lecz do atomizacji, nie do wzmożenia ambicji i honoru lecz do kwiatyzmu i wygody życia, nie do patosu narodowego czy państwowego lecz do beztroskiego rozrostu partycularyzmów i autonomicznych regionalizmów, nie do silnych, ideowych przy tym, decyzji lecz do pełnego kontrowersji, rozdyskutowanego niezdecydowania. To luksus, przedwczesny luksus, ale ci z Tej Strony sądzą, że ich na ten luksus stać, że im się należy, że tak właśnie przeżyją życie. A skuteczną, nowoczesną wojnę rzadko toczyły demokracje, może ostatni raz w latach 1914-18, bowiem już Druga Światowa była w istocie starciem dwóch totalizmów — nie dało się pobić Hitlera bez pomocy Stalina, oto grzech pierworodny współczesnych „wielkich demokracji”. A obecnie dynamiczne ruchy młodych narodów Afryki czy Azji związane są organicznie z totalizmem. Widocznie aby się dzisiaj bić, aby mieć „duszę wojownika” trzeba zrezygnować z wdzięków i uroków demokracji, bo uwłaszczony, uzbrojony we władzę lud zawsze przełoży spokój bez honoru nad wojnę w imię honoru. Oto niemiłe prawdy, jakich nie chce przełknąć Sołżenicyn. A żykać prawdę trzeba — inaczej nie pójdzie się dalej.

Swoją nader niemiłą rację mają też Rosjanie. Rozumują zaw-

sze jednakowo, historycznie i imperialnie, widzą ciągłość swej strategii, bez względu na to czy u steru jest car czy Stalin. Niczego nie zapominają, a mimo zmieniających się etapów uważają, że toczy się wciąż ta sama gra — żyją w historii, tak jak i kraje azjatyckie. — Skoro — myśli rosyjski strateg — Zachód przełknął tyle, przełknął sojusze z Hitlerem, likwidację Polski, zajęcie krajów Bałtyckich, rewelacje o wszelkich zbrodniach, procesach, terrorze, skoro Zachód wydał Stalinowi miliony nieśczęsnych rosyjskich jeńców Hitlera, skoro przełknął Berlin, Budapeszt, Pragę, podział Korei, klęskę wietnamską, skoro w ogóle oddał nam Wschodnią Europę, uznał nasz ustrój z jego jednowładztwem i jednomyśleniem, skoro wyrzekł się obrony wszelkich rządów emigracyjnych i „komitetów wolnościowych”, skoro, skoro... to dlaczego nagle po latach miałyby się ruszyć w sprawie procesu jakiegoś Orłowa czy Szczarańskiego? Emigracja Żydów — owszem, rozumiemy, to sprawa wyborcza w Ameryce, płacą nam za to, niech będzie. Ale wolność słowa, dysydenci, Helsinki?! Cóż to za absurd! Jak można, uznając oficjalnie system, przyczepiać się do jego jednostkowych konsekwencji? To niepoważne, nie ma się czym przejmować, to tylko wojna nerwów i my ją wygramy — nie zaś tchórzliwy Zachód.

Tak myślą ruscy szachiści i mają swą smutną rację. Wyzyskują tu nonszalanckie niepoinformowanie Zachodu, jego hipokryzję, a także nieobliczalny, irracjonalny charakter jego moralno-wolnościowych oburzeń. Osobliwe są dzieje np. „moralnej” schizofrenii zachodnioeuropejskich intelektualistów-protestowców z kręgów tzw. liberalnej lewicy (jest w tej nazwie *contradictio in adiecto*). Najpierw krzyżowano o terrorze w Chile, potem nagle, nie widzieć dlaczego, przestano. Zaczęto za to o Argentynie, tudzież o Baskach lub Cyprze. Ale nigdy nie krzyżowano głośno i uparcie o Kambodży, gdzie grupa oszalałych, inteligentnych fanatyków morduje cały naród, o Wietnamie, wtrącanym bez przeszkód w absurd i nędzę, o Etiopii, o Albanii, o Mongolii, Kurdach czy Krymskich Tatarach. Oburzenie dziwnie jest selektywne — ma miejsca, których unika, bo tam oburzać jest niewygodnie i nielewicowo. Grecy pułkownicy — tak. Murzyńscy pułkownicy — nie. Jeszcze by się Young obraził.

Takie to osobliwe kino gra się na Zachodzie — coś dziwnego, że ruscy, ludzie konsekwentni, nie biorą tego poważnie. Żeby uzyskać ich uznanie i „seriozny” szacunek Zachód musiałby się zdecydować: czy istnieje walka o świat czy nie, czy ideologia i moralność warte są ryzyka i wyrzeczeń czy nie, czy życie w honorze ważniejsze jest niż ustabilizowana demokracja i dobrobyt, czy, czy... I w ogóle czy istnieje jakiś jeden „Zachód”?!

Czy Zachód się zdecyduje? Nic na to nie wskazuje, zakłęcia Sołżenicyna idą na razie w próżnię a totalizm sięga coraz to po nowe połacie globu. „Jakieś ich chyciło spanie...”. Mimo to nie desperuje, wierząc że wszystko jest jeszcze w ręku Boga — jak powiedział Stalin Churchillowi, gdy Hitler rzucił się na Kaukaz. Pesymizm to próba ostrego widzenia rzeczywistości: bez

marzeń ale i bez merytorycznego ulegania złu czy beznadziei — pesymizm może być większą zachętą do czynu niż bezpodstawny optymizm. W tej myśli wracam do Warszawy — bez złudzeń, a więc nie zagrożony zawodem czy załamaniem. Życie to egzamin, do egzaminu potrzebny jest spokój, zaś spokój pesymisty jest nienaruszalny, niezachwiany. Czego i Wam życzę.

KISIEL

Paryż, lipiec 1978

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 280 — CZESŁAW MIŁOSZ

ZIEMIA ULRO

Przedmowa ks. Józefa Sadzika

Str. 224.

Cena F.50,00

TOM 281 — WIKTOR WOROSZYLSKI
SERIA « BEZ CENZURY »**LITERATURA**

Str. 180.

Cena F.45,00.

TOM 283 — WITOLD GOMBROWICZ
„DZIEŁA ZEBRANE”

Tom XI

WSPOMNIENIA POLSKIE**WĘDRÓWKI PO ARGENTYNIE**

Teksty znalezione w pośmiertnych papierach Autora.

Str. 256.

Cena F.55,00.

Książki**Tragiczna antologia**

Ukazała się w kraju bardzo obszerna (ponad tysiąc stron) „Antologia Poezji Ukraińskiej” pod redakcją Floriana Nieuważnego i Jerzego Pleśniarowicza. Kiedy się ukazała? Bardzo niedawno, skoro pierwsze egzemplarze tej „Antologii” zjawily się na Zachodzie dopiero wczesną wiosną br. Ale podane są sprzeczne daty. Na drugiej stronie czytamy: „Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza”, Warszawa, 1976. A na stronie czwartej: „Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza”, Warszawa, 1977. Zaś na stronie 1064: „Druk ukończono w grudniu 1977 roku”. Ta ostatnia data jest bodaj najbardziej ścisła i obowiązująca, bo pochodzi od Zakładów Graficznych „DSP”, które książkę drukowały. Nakład skandalicznie niski: niewiele ponad pięć tysięcy egzemplarzy! Dobry papier, staranny druk, minimalna ilość błędów drukarskich.

Antologia składa się z pięciu działów, o dość niesprecyzowanych tytułach: „Wiersze ludowe”, „Wiersze dawne” (aż do Hryhorija Skoworody), „Wiersze nowe” (do początków wieku XX-go), „Wiersze współczesne” i wreszcie „Wiersze najnowsze”, obejmujące poetów, którzy debiutowali już po drugiej wojnie światowej. Ogółem jest aż stu jedenastu poetów, co jest i za dużo i za mało. W dalszym ciągu uzasadnię tę opinię. Wierszy doliczyłem się 757-miu; tłumaczy — 67-miu. A więc na pierwszy rzut oka dzieło wręcz monumentalne, poprzedzone dość obszernym wstępem (Stefan Kozak, Florian Nieuważny). Na zakończenie krótkie przypisy, określone, jako „Objaśnienia” (str. 997-1040). Trzeba się temu „monumentowi” przyjrzeć z bliska, tym bardziej, że wychodzące w kraju czasopismo ukraińskie uznało „Antologię” za wydarzenie epokowe („epochalne”).

„Prezentowana Antologia — pisał autorzy obszernego wstępu (str. 6-35) — stanowiła pierwszą w Polsce, na tak szeroka skalę, próbę zobrazowania problemów, tematów, motywów, wątków i rozwiązań formalnych poezji ukraińskiej, nie jest chrestomatią typu historyczno-literackiego. Głównym jej

celem jest zwrócenie uwagi na bogactwo i oryginalność tej poezji w jej ciągłości dziejowej, z zaakcentowaniem pokrewieństw z historią i kulturą naszego narodu. Wzięte zostały oczywiście również pod uwagę względy historyczno-literackie, oraz wymóg reprezentatywności, główny jednak akcent położony został na pisarzy, oraz utwory charakterystyczne i znaczące zarówno dla ideowej ewolucji poezji ukraińskiej, jak i dla jej aspektów artystycznych, decydujących z jednej strony o jej niepowtarzalności, oraz o jej słowiańskich i europejskich pokrewieństwach — z drugiej...”.

„Ogromna większość tekstów poetyckich, czasem całe dzieła poezji, jak na przykład wiersze dawne, zostały przełożone po raz pierwszy, przy czym jako zasadę przyjęto prezentację liryki przede wszystkim, co spowodowało ominięcie większych utworów, zwłaszcza poematów, choć w kilku uzasadnionych przypadkach odstąpiono od tej zasady. Świadomi jesteśmy tego, że antologia, mimo usiłowań jej autorów, by w pełni odzwierciedlić najistotniejsze zjawiska poezji ukraińskiej, od twórczości ludowej po wiersze poetów najmłodszej generacji, jest na pewno tylko jednym z możliwych wariantów jej prezentacji. Chciałoby się wierzyć, że jest to wariant, sprzyjający rzetelnemu poznaniu poezji naszych przyjaznych sąsiadów i należycie pokazujący jej piękno, zdolne poruszyć wyobraźnię czytelników polskich, do których poezja ta przemówi po raz pierwszy tak wieloma różnorodnymi głosami i nakłoni, być może, do częstych z nią kontaktów”.

Niestety, nie mogę podzielić tego optymizmu. „Antologia Poezji Ukraińskiej” jest imprezą ze wszechmiar nieudaną. Od razu istotne zastrzeżenie: tylko w nieznacznym stopniu z winy jej redaktorów. Przy wyborze autorów mieli ręce związane, w komentarzach — usta zakneblowane. Napisałem powyżej, że poetów jest i „za dużo i za mało”. Za dużo, gdyż dwa ostatnie działy roją się od „surrealistycznych” grafomanów; za mało, gdyż nie ma poetów, przebywających i tworzących na emigracji, a skazanych na banicję ze względów politycznych. W ten sposób obraz poezji ukraińskiej XX-go wieku wypadł najzupełniej fałszywie. Nie amnestionowano nawet zmarłych. A przecież już w latach trzydziestych, po krwawym pogromie twórczej inteligencji, punkt ciężkości literatury ukraińskiej przesunął się zdecydowanie ku Zachodowi. Ten stan rzeczy nie zmienił się po dziś dzień. Antologia, które została zmuszona do zrezygnowania z poetów emigracyjnych, z Małaniuka, Stefanowycza, Laturynskiej, Hordyńskiego, Krawcewa etc., jest antologią okaleczoną fałszującą historię literatury.

Nie zasłużyli na amnestię poeci zamordowani przez hitlerowców, Ołena Teliha i Ołeh Olżycz. Zupełnie niezrozumiała jest nieobecność Jurija Janowskiego. Prawda, znalazł się w pewnej chwili w niełasce, ale to samo dotyczy innych, dopuszczonych do antologii. Natomiast nie dziwi macosze potraktowanie Wasyla Symonenki, choć ten zmarł dość dawno. Z poetów, przebywających na Zachodzie, uratował się jedynie Bohdan Ihor Antonycz. Dlaczego? Być może, zaważyła data jego śmierci (1937, a więc przed Drugą Wojną Światową), oraz fakt, że nie był działaczem politycznym. Poza tym cenzura prawdopodobnie nie wie, że w roku 1936 napisał poemat, wychwalający obrońców tolekańskiego Alkazaru. Gdyby wiedziała, Antonycz prawdopodobnie miałby drogę do „Antologii” zamkniętą.

W przypisach panuje niczym nie zmacona sielanka. O tym, że znakomita większość wybitnych poetów ukraińskich, którzy przeszli do literatury mniej więcej w okresie Pierwszej Wojny Światowej, zginęła podczas wielkiego terroru lat trzydziestych, ani jednego słowa. Najwidoczniej wszyscy zmarli śmiercią naturalną. Tylko przy Wasylu Czumaku widnieje lakoniczna notatka, że został „rozstrzelany w Kijowie”. Tak, ale rozstrzelali go denikinowcy, więc o tym wyjątkowo wolno pisać.

Zwraca uwagę, że szczególne nasilenie zgonów przypadło na lata trzydzieste, Falkiński i Wityzko — 1934, Fytypowycz i Szkurupij — 1937, Płużnyk — 1938, Draj-Chmara — 1939 i wreszcie Mykoła Zerow — 1941. Ze słynnej piątki tzw. „neoklasyków kijowskich” udało się uciec za granicę i dzięki temu uratować tylko Jurijowi Kłenowi (Oswaldowi Bukhardtowi), więc konsekwentnie usunięto go z „Antologii”. Zbieżność dat jest dostatecznie wymowna. Czyżby akurat wtedy w środowisku literackim szalała jakaś groźna epidemia? Oczywiście, wszyscy wymienieni (i nie tylko oni) zostali rozstrzelani, lub zginęli w łagrach „białej śmierci”.

Nieco dziwi pominięcie Jurija Kosacza. Wprawdzie mieszkał stale w Nowym Jorku, ale od dawna przeszedł na stronę bolszewicką i odseparował się od narodowej emigracji politycznej; przez dłuższy czas redagował prosowieckie czasopismo, często jeździł na Ukrainę, jest „swoim człowiekiem”. Tego chyba należało za „wierną służbę” uwzględnić. Nie uwzględniono, co należy uznać za czarną niewdzięczność.

Tu na marginesie luźna uwaga. *Cui bono* redaktorzy podali wszystkie nazwiska ze spolonizowanymi końcówkami. Wełyczkowski, zamiast Wełyczkowskyj, Kotlarewski, zamiast Kotlarewskyj, Mełtynski, Rudawski, Starycki, Rylski itd. Bardzo dziwna decyzja, tym dziwniejsza, że imiona zachowano w brzmieniu ukraińskim. Np. Petro Karmanski... Konsekwentnie byłoby Piotr Karmanski, albo Petro Karmanśkyj. Ta dziwaczna dowolność na pewno urazi nie jednego czytelnika.

Sprawą znacznie ważniejszą jest wybór utworów. Jest z tym bardzo różnie. W poszczególnych wypadkach redaktorzy musieli znowu natrafiać na poważne trudności, podyktowane głównie względami politycznymi. Na korzyść redaktorów należy zapisać szczęśliwe uniknięcie nadmiaru pseudopoetyckiego „surrealizmu”. Zwłaszcza cieszy brak wiernopoddanych dytyrambów pod adresem Stalina, jakimi swego czasu zhańbili się poeci tej miary, co Maksym Rylśkyj i Mykoła Bażan.

Z literackiego punktu widzenia dość daleko idącym nieporozumieniem jest dział „Wiersze najnowsze” (z pewnymi wyjątkami). Trzydzieści sześć nazwisk, prawie trzysta utworów, które zajmują przeszło trzysta stron, a więc jedną trzecią całego tomu. Dysproporcja w zestawieniu z innymi działami oczywista. Najwybitniejszy z tych autorów, Wasyl Symonenko, został potraktowany, jak już podkreśliłem uprzednio, po macoszemu; wszystkie pięć krótkich wierszy i to drugorzędnych, nie dających

żadnego pojęcia o tym utalentowanym, przedwcześnie zgastym poecie. Wśród pięciu zamieszczonych wierszy ani jednego o patriotyczno-politycznym wydźwięku, tak typowym dla Symonenki. To samo dotyczy Iwana Dracza. Ale o to pretensji do redaktorów tomu, ze zrozumiałych powodów, mieć nie można.

Aż dziewiętnaście wierszy otrzymał Ostał Łapskyj, o którym redaktorzy informują (nigdy o nim przedtem nie słyszałem), że urodził się we wsi Hucki koło Kobrynia w roku 1926. Studiował rusycystykę na Uniwersytecie Wrocławskim, następnie ukrainistykę w Warszawie. Pracuje na Uniwersytecie Warszawskim, jako wykładowca literatury ukraińskiej, oraz w Polskim Radio. Tłumaczy poetów z kilku języków, między innymi Polaków na ukraiński i Ukraińców na polski.

Dziewiętnaście wierszy! Znacznie więcej, niż otrzymał Zerow, więcej, niż Bażan, prawie tyle, co Tycyna i Rylskyj. Skąd tak wielkie wyróżnienie? Chyba zaważyły osobiste kontakty, bliska znajomość, może nawet przyjaźń... Bo Łapskyj uprawia pseudo-poezję, na domiar złego pretensjonalną, pozującą na głębię intelektualną, której nie posiada. Oto tytułem ilustracji parę przykładów. „Ani dnia bez zamachu / więc walczę w imię wiatru. / Wynik z czoła lodowiec spełził / zapis acz skąpy ale widomy”. Albo: „Nie po głębszym / trzeźwy tworzę. / Potrzeba nie lada hartu / by u progu każdego nowego roku / wypowiadać stale starą troskę. / Nie ma nas. / Istnieje bez nas / tęskni pełna pusta nazwa. / Z pasją wyrażam dążenie”. Jeszcze jeden przykład, już ostatni, by czytelników zbytnio nie nudzić: „Gdyby dwa plus dwa / dawało choć trzy, / gdyby dwa plus dwa, / dało choć dwa, / gdyby dwa plus dwa, / dało choć jeden?! / Jakbyś nie kręcił się sobie / nie masz jednostki w osobie! / Powstaje zatem pytanie / dylemacik dęba staje, / w biały dzień odejść logicznie: / duchowo, a czy fizycznie?”.

A więc bełkot dotarł także do najnowszej poezji ukraińskiej? Pewnie, bełkot totalitarnej dyktaturze nie szkodzi, nie stanowi żadnego niebezpieczeństwa. Ale „Antologię” to mocno popsuło, dorzuciło jeszcze jeden niemiły zgrzyt. Naturalnie, chodzi o grzech, w zestawieniu z innymi, drugorzędny. Najważniejszy, śmiertelny; pominięcie emigrantów. Ale raz jeszcze: nie ma w tym winy redaktorów. Znaleźli się oni w znacznie gorszej sytuacji, niż redaktorzy podobnych antologii polskich, napotkali na rygory wielokrotnie obostrzone. W polskich antologiach emigranci są uwzględniani, choć nie wszyscy. Tu nie wolno było przemycić ani jednego.

Omówienie tomu byłoby niepełne, gdybym pominął milczeniem poziom przekładów. Z natury rzeczy musiał być bardzo nierówny, przy tak wielkim natłoku tłumaczy. Przekładów przedwojennych stosunkowo mało: głównie Tadeusza Hollendera, Czesława Jastrzębca-Kozłowskiego, Józefa Czechowicza, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Rzecz prosta, brakuje przekładów niżej podpisanego. Co prawda, przekładałem najczęściej poetów emigracyjnych, więc i tak nic z tego, choćby nazwisko tłumacza

nie było trefne. Ale właśnie dlatego zabrakło w tomie świetnej „Hamalii” Tarasa Szewczenki. No, Bóg z nimi!

Jest tu sporo przekładów najzupełniej przypadkowych: Władysława Orkana, Stefana Żeromskiego, Kazimierza Wierzyńskiego... We wstępie czytamy, że „ogromna większość tekstów poetyckich... została przełożona po raz pierwszy”. Istotnie. Najczęściej spotykają się nazwiska Jerzego Litwiniuka, Jerzego Jędrzejewicza, Tadeusza Chrościelewskiego, Eustachego Łapskiego, Józefa Waczkowa, Piotra Kuncewicz, Tadeusza Śliwiaka, Andrzeja Szymańskiego, Bohdana Drozdowskiego, oraz obydwu redaktorów, Floriana Nieuważnego i Jerzego Pleśniarowicza. Zdarzają się przekłady dobre, nawet bardzo dobre, ale przeważa partacka amatorszczyzna. Wygląda na to, że redakcja nie miała większego wyboru, musiała akceptować także tłumaczy z nieprawdźliwego zdarzenia.

Nie chcę być gołosłownym. Zatrzymam się na dwóch słynnych sonetach Mykoły Zerowa: „Salomea” i „Nauzykaa”. Przełożył je Bohdan Drozdowski, dobrze znany Polakom londyńskim z lat, gdy w stolicy Anglii uprawiał „zbliżenie kulturalne”, a obecnie redaktor naczelný miesięcznika *Poezja*. Te dwa sonety mają swoją wymowę także pozaartystyczną: Zerow w osobach dwóch mitycznych kobiet przeciwstawiał dwie odmienne cywilizacje i dwie postawy kulturalno-moralne. Po iluś tam latach podejmie to samo przeciwstawienie Jewhen Małaniuk, przenosząc je w inne czasy i kręgi cywilizacyjne: Beatrycze i Karmen. Przyjrzyjmy się przekładowi Drozdowskiego.

Oto pierwszy czterowieś „Salomei”: „Tam lewantyński miesiąc czyni czary / i krew gorącą w sercu rozkoleba; / tam dzika miłość kwitnie, gdzie jej gleba, / więc krew obryza i hełmy i tiary”. Nie potrzeba zestawiać z oryginałem. I bez tego jest jasne, że tłumacz nie panuje w dostatecznym stopniu nad językiem polskim. Rozkoleba, obryza — a cóż to za styl godny półanalfabety! Dalej: „gdy w jego słowie zgorzel i pożary”... Niedobrze z kolejnością! Chyba najpierw były pożary, a dopiero potem „zgorzel”? „Smukła córka króla Feaków” zamieniła się pod wprawną ręką Drozdowskiego w „kwiatek uroczy”. Skoro już musimy wachać ten „kwiatek”, trzeba również połączyć strzelisty zwrot „Duszo ty moja!”, a tym samym przystać na infantylne upodobania niewydarzonego stylisty.

Drozdowski popełnia dwa główne grzechy kiepskiego tłumacza: watajuje dla rytmu i naciąga tekst do rymu. Pewne koncesje formalne w praktyce przekładowej są nieuniknione, ale tu partacka robota występuje w całej okazałości. „I stanął Odys i z podziwu jęknął...” To na widok urody Nauzykai. Nie pamiętam, jak jest w oryginale, ale na pewno nie „jęknął” — na to Zerow był zbyt wielkim artystą. Czemuż to właśnie jęknął się z potężnych piersi Homerowego bohatera? Ano, bo Drozdowskiemu był potrzebny asonans do końcowego — „Wcielone Piękno!”.

Językotwórca z niego niebywały! „Na długim stole moim

papier się fałdą wzdyma..."; „pęcznieje dal ciężkich nawisem par...” (zapewne chodzi o opary); „z czarnych dni wojny jeszcze nie dotłonej...”; „car Odys przygnał swoje czółna gonne...”. I tak na każdym kroku. Składnia coraz to wpada w sidła zupełnie niedopuszczalnych zawiłości: „Ku żądzy ciemnej smutnych szaleństw próg”. I to w wierszu Pawła Fytypowycza, gdzie wszystko jest jasne i proste, właśnie „neoklasyczne”. Przekłady Drozdowskiego to jeden z największych niewypałów tej „Antologii”.

No, ale to znany grafoman, więc czegoż można było po nim się spodziewać! Zobaczmy, co z jednym z lirycznych utworów Tyczyny zrobił nie byle kto, bo sam Julian Przyboś, „papież awangardy”. Pamiętajmy, że autor „Słonecznych klarnetów” odznaczał się wyjątkową muzykalnością: zagubienie melodyjności jego wiersza to egzekucja poety. Oto dwa ostatnie wersy interesującego nas lirycznego drobniaku: „Ach, na światła się rozbij w akordach, rozsłochaj się — i ruń w płacz jak grom”.

Język polski nie znosi organicznie nagromadzenia słów jednosylabowych: tu mamy ich aż pięć i — ruń-w-płacz-jak-grom”. Autentyczna kakofonia! Ale nie tylko to. Tyczyna zastosował kombinację trochejów z amfibrachami, ukoronowaną jambami w co drugim wersie. W zacytowanym dwuwierszu mamy najpierw dwa trocheje — Ach na — światła... następnie dwa amfibrachy — się rozbij — w akordach... Ucho oczekuje, że drugi wers zacznie się tak samo, ale Przyboś złamał niepotrzebnie rytm, wprowadzając na początku drugiego wersu amfibrach „rozsłochaj się”. Wtedy otrzymamy dwa trocheje, ale za cenę sztucznego przerzucenia akcentów, które normalnie powinny paść na szło i się. Kakofonia powiększa się, tyczynowska melodia zatraciła się bez śladu.

Myślę, że ta porażka nie była przypadkowa. Przyboś we własnej twórczości i w teoretycznych uzasadnieniach odrzucał rytmiczną melodyjność, więc nad wersyfikacyjnym rzemiosłem nie mógł i nie chciał panować. Ale po co w takim razie zabrał się do takiego poety, jak Tyczyna, u którego wszystko oparte jest na rytmie. „Społeczne zamówienie?” Raczej nie, skoro nazwisko Przybosia pojawia się w „Antologii” tylko ten jeden jedyny raz. Z tego byłby wniosek, że zgłosił się ochotniczo, by zepsuć jeden z piękniejszych wierszy Tyczyny. „Papież awangardy” nie potrafił przy tej okazji znaleźć się na poziomie choćby poprawnego organisty.

Za przykład absolutnej nieporadności technicznej uznać wolno tłumaczenie znanego utworu Iwana Franko o niedoli kobiecej: „Gdzie to nie łąły się łyzy wasze...?”. Tłumacz, w osobie Włodzimierza Słobodnika, nie tylko arbitralnie zmienił rozległy rytm, skracając wiersze nie wiadomo po co, ale ponadto nagiął tekst do rymu w sposób wręcz skandaliczny. Już w pierwszym wersie pojawia się zdanie, o którym autorowi w ogóle się nie śniło: „W naszych dziejach gdzieś potok nie bryźnie...”. Potrzebny mu był rym do Kijowszczyzny (także w oryginale jej nie ma)

i do pańszczyzny, bo mu żaden lepszy pomysł nie przyszedł do głowy. Natychmiast też popełnił błąd gramatyczny, pisząc: „na chańszczyźnie i na pańszczyźnie”. Oczywiście, powinno być „pod chańszczyzną”, ale co to partacza obchodzi! Swój popis zakończył zwrotem antypoetyckim, naturalnie również nie istniejącym w oryginale: „Styszę żałość nie byle jaką!”. Żałość — owszem, ale przekład jest gorzej, niż byle jaki!

Gdy Słobodnik debiutował gdzieś w drugiej połowie lat dwudziestych, uznano go za obiecującego poetę; potem z roku na rok szło coraz gorzej. Jako tłumacz, wsławił się humorystycznym przekładem lermontowskiego poematu „Pieśń o Carze Iwanie Wasiljewiczu...”, który w literackich kołach warszawskich stał się pośmiewiskiem („I podłoga dębowa, świeżo umyta, została na trzy ćwierci posochem przebita...”).

Mógłbym mnożyć podobne przykłady jeszcze na kilku stronach; niech wystarczą podane. Nie znaczy to, by nie było w „Antologii” przekładów niezłych, a nawet udanych i całkiem dobrych. Ale są w mizernej mniejszości i ogólny bilans wypada, niestety, negatywnie. Podejrzewam, że w dość licznych wypadkach jedyną legitymacją do wzięcia udziału w wypełnieniu tego potężnego rozmiaru tomu, była znajomość języka ukraińskiego. Naturalnie nie mogła wystarczyć. Zamiast mobilizować całe pospolite ruszenie, chyba lepiej byłoby skompletować niewielką grupę tłumaczy i pracować zespołowo, kontrolując siebie i doradzając nawzajem.

Ten spóźniony pomysł nie pochodzi od przekonanego o całkowitej jego skuteczności. Jak we wszystkim, także i pod tym względem jestem zwolennikiem „inicjatywy prywatnej”, czyli wysiłku indywidualnego. A i cóż na to poradzić, że dobrzy, odpowiedzialni tłumacze nie rodzą się na kamieniu. Wielka szkoda!

W zamieszczonej w „Antologii” „Fraszce” Ioana Welyczkowskiego (wiek XVII-XVIII) czytam: „O mozołach pisania wierszy wiedzieć nie może ten, kto nie pisał ich wcale. Mniemasz, iż łatwo...”. Tak, tak, już ów stary presbiter, pisujący wiersze w manierze barokowej, wprowadzonej na ówczesną Ukrainę przez Akademię Mohylańską, wiedział sporo o owych „mozołach”, o trudnościach i zawiłościach wersyfikacyjnego rzemiosła. Nie wszyscy tłumacze zdają sobie z tego sprawę. Dobrymi tłumaczami są zazwyczaj poeci, choć i to nie jest regułą obowiązującą. Np. Edward Porębowicz nie pozostawił po sobie, o ile wiem, ani jednego oryginalnego wiersza, a jego przekłady pozostaną w literaturze (najlepsze: trubadurów prowansalskich, następnie „Vita Nueva”, dopiero na dalszym miejscu „Boska Komedia”).

Wśród tłumaczy, których prace wypełniły omawianą „Antologię”, znalazło się kilku poetów z prawdziwego zdarzenia i to właśnie ich przekłady są najlepsze (nie zawsze — kompromitującą wpadką Przybosia już przedstawiłem). Ale jedna, ani nawet parę czarnych owiec nie powinny rzucać cienia na całą owczarnię. Jakże pragnąłbym napisać o tej „Antologii” pochwalnie! Doceńiam inicjatywę redaktorów i włożoną przez nich pracę. W wa-

runkach, w jakich się znajdują, nie mogli się zdobyć na nic lepszego.

Nie zmienia to faktu, że autentyczna Antologia Poezji Ukraińskiej będzie mogła ukazać się dopiero w Polsce Wolnej. Chyba, że, zanim to nastąpi, wyprzedzi ją emigracja.

Józef ŁOBODOWSKI

P.S. Pozostaje do wyjaśnienia, dlaczego w tytule nazwałem tę „Antologię” „tragiczną”. Właśnie dlatego, że tragiczna jest sytuacja ludzi najlepszej woli, którzy ze względu na drastyczne, drakońskie zarządzenia uzurpatorskiej władzy nie mogli dać pełnego obrazu interesującej ich poezji. Tragiczna jest kultura narodu, poddana tylu naciskom, nakazom i zakazom. Sądę więc, że tytuł tej krótkiej recenzji jest w pełni uzasadniony.

J. Ł.

Druga książka Zinowiewa

Dokładnie rok temu, w czerwcu 1977 roku, gdy „Przepastne wyżyny” ukazały się w tłumaczeniu francuskim, komentator sowieckiej agencji prasowej „Nowosti” stwierdzić musiał z goryczą: „O Zinowiewie, którego nawet w ZSSR mało kto zna, zaczęto raptem mówić w Wielkiej Brytanii, w Szwajcarii, w Belgii, w Szwecji...”.

Agencja „Nowosti” mogłaby dziś bez trudu poszerzyć spis krajów, w których mówi się o Aleksandrze Zinowiewie i wymienić również Francję, Stany Zjednoczone, Kanadę, Włochy...

W kwietniu 1978 roku ukazała się — po rosyjsku i francusku równocześnie — nowa książka Aleksandra Zinowiewa — „Świetlana przyszłość”.

Już z samych tytułów obu dzieł da się odczytać różnica między nimi: *przepastne wyżyny* — to kalambur, bezlitosna drwina; *świetlana przyszłość* — to ironia spokojna, ale wcale nie mniej bezlitosna. „Przepastne wyżyny” — książka pisana tak, jakby autor lękał się czy sprostą własnej determinacji, by powiedzieć wszystko, jakby obawiał się, że nie zdąży, pisana w gorączkowym pośpiechu, czasem „po dwadzieścia godzin bez przerwy” — otóż książka ta, jak to Zinowiew sam wyznał, była czymś w rodzaju erupcji wulkanicznej — 560 bezpardonowych, piekących, aż brutalnych stron. „Świetlana przyszłość” ma zaledwie 230 stron. W tej prozie nie czuje się już pośpiechu. Autor uwolnił się już

od tego, co go dręczyło. Może teraz rozejrzeć się i ruszyć spokojnie przed siebie.

Akcja „Przepastnych wyżyn” toczy się w Ibańsku, kraju nieznanym geografom, w którym jednak czytelnik bez szczególnego wysiłku rozpoznać może umiłowane rysy pierwszego w świecie państwa socjalistycznego. Terenem akcji „Świetlanej przyszłości” jest Moskwa, rzecz dzieje się w pierwszej połowie lat 70-tych. Jesteśmy w swojskiej atmosferze.

Początek — też swojski znany aż do łez: „Na placu Kosmonautów, przy wjeździe na Prospekt Marksizmu-Leninizmu” odbywa się uroczystość odsłonięcia monumentalnego napisu: „NIECH ŻYJE KOMUNIZM, ŚWIETLANA PRZYSZŁOŚĆ CAŁEJ LUDZKOŚCI”. Na uwiecznienie tego hasła wyszastano nie mniej niż na całe rolnictwo w okresie pierwszej pięciolatki”.

Konstrukcja napisu jest tandetna, klecono go na łapu capu, jak to u nas zawsze, w rezultacie więc „na konserwację tego hasła wydaje skarb państwa parokrotnie więcej, niż na samo jego wybudowanie”. W cieniu hasła żyje kraj, żyje Moskwa i bohaterowie „Świetlanej przyszłości”.

Owo hasło należy do najważniejszych protagonistów „Świetlanej przyszłości”. Konstrukcja przeżywa rozmaite przygody: litery odlane ze stali nierdzewnej raz po raz odpadają, te które odlano z tytanu — padają łupem złodziei, spacje między literami stają się jaskiniami rozpusty, słowo „świetlana” punktem zbornym dla handlarzy narkotyków, słowem zaś „komunizm” zawładnęli prawie bez reszty pederasty. Jest to jeden z głównych wątków tematycznych książki. Innym takim wątkiem jest historia Narratora i jego przyjaciela, Antoniego Zimina.

Narrator jest doktorem filozofii, jednym z najwybitniejszych specjalistów od komunizmu naukowego i kandydatem na członka-korespondenta Akademii Nauk. Czeką na dzień wyborów jak książka długa i szeroka. Aż do ostatniego dnia jest przekonany, że z pewnością zostanie członkiem korespondentem, że wejdzie w skład elity i że stanie przed nim otworem wspaniałe życie — ze sklepami za żółtą firanką, własną daczą, skierowaniami do specjalnych sanatoriów. Antoni Zimin jest natomiast myślicielem serio; był podczas wojny lotnikiem, odsiedział później swoje w obozie, a teraz tkwi na podrzędnej technicznej posadce, bo zbyt jest mądry i uczciwy, aby robić karierę. Antoni napisał książkę, demaskującą istotę systemu sowieckiego i wysłał rękopis na Zachód. Czeką teraz — z rosnącą niecierpliwością i trwogą na publikację tej książki. Ponadto — w „Świetlanej przyszłości” występują przyjaciele Narratora i Antoniego, ich wrogowie, ich żony i dzieci, bywalcy Kiosku z Piwem, sekretarz KC Mitrofan Łukicz, osobiście zarządzający ideologią sowiecką, renciści, stara Gałganiara i wiele, wiele innych postaci.

Roztacza się przed nami szeroka panorama społeczeństwa sowieckiego w 60 lat po rewolucji. Aleksander Zinowiew — pisarz i zarazem uczony przeprowadza analizę tego społeczeństwa. Swo-

iste podejście autora do przedmiotu analizy czyni ze „Świetlanej przyszłości” utwór jedyny w swoim rodzaju.

Przeciwnicy komunizmu twierdzą, że w Związku Sowieckim ideały komunizmu zostały wypaczone, że nie udało się tam zbudować prawdziwego społeczeństwa komunistycznego. Zwolennicy komunizmu utrzymują — że w ZSSR nie zbudowano jeszcze wszystkich zrębów komunizmu — że istnieje tam chwilowo tylko „dojrzały socjalizm”, że pozostało jeszcze kilka kroków — i Cel będzie osiągnięty.

Antoni Zimin — *alter ego* autora — oznajmia zaś: „Gotów jestem dać memu adwersarzowi wszelkie fory, zgadzam się z góry na wszystkie jego ulubione twierdzenia. Uważacie więc, że rewolucja była błogosławieństwem dla Rosji? Zgoda. Partia i lud — to jedno? Zgoda. Od każdego wedle jego zdolności? Zgoda. Każdemu według jego potrzeb? Zgoda”. — Antoni Zimin idzie dalej, niż oficjalni ideolodzy: twierdzi mianowicie, że komunizm został zbudowany już dawno i raz na zawsze. Jeszcze za Stalina.

Ale co to właściwie znaczy — społeczeństwo komunistyczne? Autor „Świetlanej przyszłości” udziela nam jasnej, niedwuznacznej, niemalże naukowej odpowiedzi na to pytanie.

Istnieją jak wiadomo prawa, którym posłuszne jest zachowanie się ludzi. Zinowiew nazywa je prawami socjalnymi. Działają one w sposób stały i nieubłagany, w każdym skupisku ludzkim, w każdym kolektywie, życie społeczne w stanie czystym (autor używa tu terminu *socjalnost**, od biedy można to przetłumaczyć jako „współbyt”) sprowadza się do wypadkowej działań poszczególnych jednostek, usiłujących zmienić na lepsze swoją pozycję w społeczeństwie, w kolektywie. Najczęściej czynią to kosztem innych członków grupy.

Dzieje ludzkości — to historia rozrostu ludzkich skupisk — i zarazem historia jednoczesnego rozwoju sztucznych zabezpieczeń, powściągów, mających ograniczyć i skanalizować działanie praw socjalnych. Powściągi te — to tradycyjne obyczaje, moralność, prawo, religia, własność, sztuka...*

Spółczeństwo socjalistyczne — czy tam komunistyczne — oznacza rozbicie tych wszystkich barier, odrzucenie tych produktów cywilizacji. Pozostaje na planie tylko kolektyw, żyjący według praw *współbytu*, oraz gigantyczny aparat władzy, trzymający się ściśle tych samych współbydłych praw.

Zinowiew rejestruje skutki procesu, rozpoczętego przed 60-ciu laty, procesu, którego sens tak sformułował Lenin: „Dyktatura proletariatu jest to sprawowanie władzy przez partię, stosującą przemoc i nie oglądającą się na żadne prawa”. Otóż „Świetlana przyszłość” jest analizą społeczeństwa, które nie przypomina żadnego dotąd istniejącego organizmu zbiorowego, uformowała je bowiem w ciągu 60 lat władza „nie oglądająca się na żadne prawa”.

* Por. z poglądem Z. Freuda na kulturę, jako na system skrupułów (przyp. tłumacza).

Zinowiew wcale nie zamierza polemizować z marksizmem. Marksizm nie jest teorią naukową, dlatego też nie sposób obalić go za pomocą argumentów nauki. Marksizm jest „zespołem tekstów, słów, hasel, przemówień”. Polemika mogłaby jedynie sprawić wrażenie, że marksistowska nierzeczywistość naprawdę istnieje, umocnić zatem jej pozory. Dlatego to za „najważniejszą alternatywę marksizmu” autor uważa „stworzenie falangi tekstów, mówiących prawdę o komunizmie”. Prawdę na temat takich faktów jak „masowe represje, przypisanie na stałe do miejsc zamieszkania, brak wolności słowa i druku, brak niezbędnych do życia towarów, trwonienie majątku narodowego, powszechne i masowe przekupstwo, karierowiczostwo... Oto fakty! fakty realne i praktycznie zbijające marksistowskie tezy”.

Zinowiew daje przekrój społeczeństwa żyjącego w warunkach zwycięskiego „realnego komunizmu”, jak sam nazywa ustrój sowiecki. Mamy przed sobą utopię urzeczywistnioną. Państwo i partia również „podległy procesowi zaniku, jako produkty cywilizacji mające na celu obronę ludzi przed innymi ludźmi i przed władzą; zastąpiły je zasady techniki postępowania, najodpowiedniejsze dla bytów chodzących w jarzmie. Każdy ma tu możliwość rozwijania swoich uzdolnień i zaspakajania swoich potrzeb — ale w granicach rozsądnie ustalonych przez zbiorowość... Nie ma u nas nawet pieniędzy, w tym znaczeniu, jakie terminowi temu przypisywał Marks. Cóż to za pieniądz, jeśli za tę samą sumę ty możesz mieć więcej niż ja, jeśli ty możesz coś kupić za te pieniądze, ja zaś nie...”.

Na wizerunek społeczeństwa sowieckiego lat 70-tych, sporządzony przez Zinowiewa składają się przede wszystkim fakty brane z życia codziennego. Świadczą one, że obywatel sowiecki miewa swoje pociechy, jakich nie ma i nie może znać obywatel świata kapitalistycznego. Na przykład — w sklepie pojawił się papier toaletowy i cała rodzina biegnie, aby zająć miejsce w ogonku, po czym wraca szczęśliwa, obwieszona rolkami papieru higienicznego, którego starczy teraz na pół roku. Albo na przykład — poszedł człowiek na targ, aby kupić kartofle, choćby za nie wiem ile. Po drodze zaś wpadł, tak sobie, właściwie dla kawału — do państwowego sklepu z warzywami. I tam — patrzeć, a leżą sobie kartofle paczkowane — nawet jeszcze nie całkiem sparciałe, niektóre nadają się wręcz do jedzenia. Albo znów — idzie sobie człowiek, idzie, a tu w sklepie sprzedają kawę w proszku! Oczywiście razem z kawą trzeba kupić kilo zgniłych jabłek. Ale grunt, że jest kawa. Co za święto!

Przeszło sto lat temu Sałtykow-Szczedrin opisał spór niemieckiego chłopca w portkach z rosyjskim chłopcem bez portek. Wszystkie opisy wspaniałego życia na Zachodzie kwitował chłopiec bez portek tym samym argumentem: — za to u nas ciekawiej! Ale ani „chłopcu bez portek”, ani autorowi „Dziejów mias-ta Głupowa” nie mogło nawet się przyśnić o ile też „ciekawsze” będzie życie w kraju zwycięskiego Komunizmu...

Zinowiew wykazuje jak bardzo życie sowieckie jest „ciekawe”

nie tylko dlatego, że jest przeświadczony o konieczności mówienia całej prawdy o dniu powszednim epoki komunizmu. Owo życie codzienne jest zespołem warunków kształtujących osobowość sowieckiego człowieka. Soczłek — taki skrót wprowadza jeden z bohaterów „Świetlanej przyszłości” — otóż soczłek, czyli *homo sovieticus* jest zupełnie nowym podgatunkiem *homo sapiens*.

Życie w warunkach skrajnie trudnych, biologicznie, np. na pustyni, albo za Kołem Podbiegunowym, sprawia, że zostaje na placu tylko pewien określony socjalnie typ osobników. Warunki życia zbiorowego w Związku Sowieckim różnią się od istniejących na Zachodzie nie mniej, niż warunki życia *tout court* na pustyni czy pod biegunem — od warunków życia w Europie Zachodniej, lub w Ameryce — oto jedna z podstawowych przesłanek „Świetlanej przyszłości”.

Sowiecki układ życiowy stwarza sytuację, w której potrafią wytrwać i osiągnąć sukces społeczny jedynie osobniki wyposażone w szczególne przymioty, przydatne tylko w tutejszym społeczeństwie. Trwa tu zaciekle walka o byt, w której wszelkie ludzkie uczucia i zasady etyczne nie tylko są zbędne, ale szkodliwe, bo w walce tej zawadzają. „Normą stały się u nas — powiada jedna z postaci, występujących w powieści — najszkodniejsze cechy ludzkiej natury; tylko ten utrzyma się na powierzchni sowieckiego życia, kto te cechy posiada”.

Nikt jaśniej od Zinowiewa nie wykazał, że prawdziwy soczłek musi koniecznością być łajdakiem. W ZSSR stworzono „system nierówności społecznej, jakiej jeszcze nie znały ludzkie dzieje”. Niezliczone fakty świadczą o istnieniu monstrualnej, bo skamieniałej w swoim bezruchu i okrucieństwie drabiny hierarchicznej w kraju „komunizmu realnego”. Każdy ma swoje miejsce na którymś ze szczebli drabiny i od wysokości tego szczebla zależy cały bieg jego życia: czas tracony w ogonkach, warunki mieszkaniowe, rodzaj i lokalizacja wczasów, przyszłość dzieci. A także — rzecz jasna — stosunki z Organami. Jak powiada jeden ze stałych klientów Kiosku „jedynie awans społeczny zapewni lepszą ochronę przed prawem i tobą, i twoim bliskim”. Istnieje na to tylko jeden sposób. „Weźmy takie ogonki — prawi dalej filozof spod Kiosku. — Razik sobie postać, to jeszcze głupstwo. Sto razy — też jeszcze nie takiego. Ale dzień w dzień, rok za rokiem? Zawsze i wszędzie? Rozpacz. Czy jest jakieś wyjście? Jest. Zdobyć sobie pozycję, w której wszystko dają ci bez ogonków”. Ostatecznie — wcale nie tak trudno zdecydować się na taką karierę, bo przecież żadne powściągi dawno już nie funkcjonują.

Wszystko to nie jest dziełem przypadku. System ma swoją logikę: „Na masową skalę prowadzona jest produkcja określonego społecznie typu człowieka, określonego materiału ludzkiego, na którym opiera się cały nasz zbiorowy sposób bycia”. Znaczy to, że państwo hurtem formuje sobie takich obywateli, jacy mu

są potrzebni. „Soczłek, „sowludzie” — to baza społeczeństwa sowieckiego fundament jego stabilności.

Przedmiotem analizy Aleksandra Zinowiewa jest „era Zamętu i Stabilizacji”, tj. okres między XX-tym a XXV-tym zjazdem Partii. W okresie tym, jak powiada Zimin „przejawić się mogła z całym szczerym cynizmem istota sowieckiego sposobu bycia zbiorowego i rzeczywista natura człowieka, który jest tego sposobu bycia szerzycielem”. „W tym czasie mechanizmy życia sowieckiego” zdołały odegrać rolę „praw natury i dzięki temu nastąpiła stabilizacja społeczeństwa sowieckiego, jego skamienienie w takim kształcie, który zyskałby pełną aprobatę Stalina i całej jego bandy”.

Analizując okres „Zamętu i Stabilizacji” — autor „Świetlanej przyszłości” szczególną uwagę darzy moskiewską warstwę *facetów* z cenzusem (Sołżenicyn stosuje tu pogardliwy neologizm „obrazowanszczyna”), ową placentę, która otula i karmi zarówno warstwę rządzącą, jak dysydentów. Tylko bardzo nieliczne postacie książki mogą w stosunku do siebie i do władzy — używać terminów „my” i „oni”. Znakomita większość może w obu wypadkach używać jedynie zaimka „my”. Sowiecka warstwa *facetów* z cenzusem dostarcza ustrojowi przede wszystkim ideologów, ale prócz nich również samych przywódców. Bohater „Świetlanej przyszłości” pragnie zostać Gensekiem (Generalnym Sekretarzem). Rozumie, że nie ma na to szans, a to dlatego, że jest odrobinę zbyt rozumny, jak na to stanowisko. Ale jego koleżkowie należą do ścisłego otoczenia Mitrofana Łukicza, który jest z kolei strażnikiem marksistowskiego Graala. Jeden z nich zostanie następcą Mitrofana Łukicza — a po jakimś czasie — nowym Gensekiem.

Najistotniejszą konkluzją do jakiej dochodzi Zinowiew jest stwierdzenie, że system sowiecki nie może być zreformowany, że „realnego komunizmu” nie sposób poprawić. Dlatego to pisarz ze szczególną uwagą przygląda się „naprawiaczom” tym, którzy sami się za takich uważają; bohater książki nazywa ich „liberałami”.

„Sowiecki liberał” — jak wszystko, co sowieckie — jest zjawiskiem osobliwym. W pewnym okresie — czytamy w „Świetlanej przyszłości” — za instytucję najbardziej liberalną uważano KGB. Najbardziej antysowieckie anegdoty wychodzą z ust wysokich dygnitarzy partyjnych. Za liberałów uchodzą ci, którzy wstępowali do partii po śmierci Stalina, albo po XX Zjeździe, „aby zmienić ją od wewnątrz”. Za liberałów uchodzą ci, którzy — jak powiada Narrator — „w kwestii odwagi nie lubią rozmiękania się na drobne”; to bezmyślne, ich zdaniem. Poważne zaś okazje do aktów odwagi zdarzają się bardzo nielicznym. „Liberałowie to ci, którzy pną się w górę, na wysokie stanowiska, bo inaczej zajęć by je mogli „konserwatyści”, którzy tym się różnią od liberałów, że robią świństwa bez żadnych skrupułów. Liberałowie twierdzą z uporem, że 50 % prawdy to coś więcej, niż 100 % kłamstwa. Liberałowie to ci, którzy wciąż powtarzają, że ustrój

ich nie zadowala, w istocie zaś rzeczy niezadowoleni są ze swojej pozycji w ramach ustroju.

Naczelny bohater „Świetlanej przyszłości” głosi otwarcie credo liberałów: „Jeśli życzysz dobrze społeczeństwu, staraj się zagarnąć jak najwięcej dóbr dla siebie samego... My, liberałowie, wiedzeni instynktem, postępowaliśmy zupełnie słusznie: nie było w ogóle innego sposobu. Im więcej by nas było, im wyżej i bliżej władzy udałoby się nam wdrapać, im więcej zdołalibyśmy zagarnąć dóbr materialnych i duchowych — tym większy mieliśmy wpływ na społeczeństwo. I tym więcej przysporzylibyśmy ludziom dobra”.

Bezlitosna ocena pozycji i roli „liberałów” w systemie sowieckim, analiza ich poglądów, przekształcająca się nieuchronnie w oskarżenie jest jednak także czymś w rodzaju spowiedzi, wyznaniem bardzo szczerym i osobistym. W ognisku autorskiej soczewki znajdują się dwie postacie: Narrator i Antoni Zimin. Ale to sobowtóry. Chodzi wciąż o tego samego człowieka sowieckiego, żyjącego wewnątrz systemu, mającego jednak nadzieję na jego sanację i starającego się polepszyć własną pozycję — który nagle rozumie, że system ów nie da się naprawić i wstępuje przeciw niemu w szranki. Sobowtór ów — to sam Aleksander Zinowiew przed napisaniem „Przepastnych wyżyn” i po ich napisaniu. To zwykły osobnik, ale zarazem niezwykła osoba.

Antoni Zimin tak formułuje różnicę między tymi dwoma pojęciami: „Osobnika czyni z człowieka społeczeństwo i robi to wbrew jego chęci, osobą zaś staje się człowiek z własnej woli i wbrew chęci społeczeństwa”.

Czy można stać się kimś, osobą? „Przepastne wyżyny” kończyły się sceną śmierci. Gaduła, ostatni z tych — którzy zrozumieli Sens Systemu, wkraczał do komory kremacyjnej, widząc przed sobą napis: „Wychodząc nie zapomnij zabrać urny z własnymi prochami”. Ostatnie słowa książki brzmią tak: „I przestał istnieć. I nastąpił kres wszechrzeczy”. Są pełne beznadziejnej rozpacz.

W „Świetlanej przyszłości” pojawia się temat nadziei. Zinowiew nie bierze na serio „liberałów” lat 60-tych, jako beznadziejnych i niepoprawnych synów sowieckiego systemu. Narrator, najbardziej typowy i najwybitniejszy przedstawiciel tej kategorii, złożył w młodości donos na swego najlepszego przyjaciela, Antoniego Zimina, i oto teraz zdradza go po raz wtóry, przeprowadzając na rozkaz KGB ekspertyzę rękopisu Antoniego. Nadzieje autor wiąże za to z młodzieżą: nie bacząc na niezwykle intensywną indoktrynację zaczynającą się już w żłobku, prowadzoną w szkole, i na wyższych uczelniach, młodzież usiłuje myśleć, ma swoje wątpliwości, toczy spory z dorosłymi, ocenia ich surowo. Córka Narratora popełnia samobójstwo, przekonawszy się, że jej ojciec jest donosicielem.

Młodzież to znaczy przyszłość. Ale już dzisiaj świta nadzieja. „Świetlana przyszłość” to jakby zdjęcie migawkowe (albo zapis na taśmie magnetofonu) stanu umysłów sowieckiej inteligencji

w pierwszej połowie lat 70-tych. Autor udziela głosu każdemu: liberałom i konserwatystom, sekretarzowi KC i antykomunistom, rosyjskim nacjonalistom i syjonistom, rencistom i dzieciom. Ostatnie dowcipy o Leninie i Abramowiczu uzupełniają obraz. Porównując ów obraz z panoramą umysłową lat 60-tych, znaną z „Przepastnych wyżyn” — dostrzegamy znaczne różnice. Na zmianę sytuacji — zdaniem Zinowiewa — wpłynęło przede wszystkim pojawienie się Sołżenicyna. O Sołżenicynie gada się, dyskutuje, ludzie skaczą sobie o niego do oczu, chwala go i krytykują, odcinają się od niego i nawracają się na jego wiarę. Żadne nazwisko nie jest w książce wymieniane tak często, jak to właśnie. Z imieniem Sołżenicyna związane są optymistyczne wnioski, do których Zinowiew dochodzi.

„Przywódcy komunizmu muszą odtąd — i na wiek wieków — zapomnieć o harmonijnym marszu ku Świetlanej Przyszłości... Świetlana Przyszłość to draka, która już się zaczęła, walka z łajdactwami komunizmu, co zdążyły już się z całą oczywistością ujawnić. Krwawa to haratanina i mnóstwo kosi ofiar. W jej trakcie zdarzają się przykłady największego heroizmu, dające się porównać tylko z najświetniejszymi dokonaniem przeszłości. I pierwszy — rozpoczęty już — etap tej walki ma swoje imię: Sołżenicyn”.

Aleksander Zinowiew powiedział już swoje ostatnie słowo do tej draki. Stawia sobie za cel jeśli nie „ujawnienie” sekretu mechanizmów komunistycznego wyzysku, to przynajmniej „przekonanie kogokolwiek, że takie mechanizmy istnieją”. Jest to zapowiedź walki na śmierć i życie, bowiem „komunizm zdecydowany jest zachować w najbardziej bezwzględnej tajemnicy prawa swojej natury, swojego sposobu bycia...”.

Obie książki Aleksandra Zinowiewa są niezwykle ważnym przyczynkiem do walki o wyjaśnienie najbardziej ponurej tajemnicy naszego wieku: tajemnicy mechanizmu gotowego całą ludzkość unicestwić”.

Michał HELLER

(Tłumaczył Michał Kaniowski)

Kiedy świadomość określa byt

Swój piękny tom wspomnień *Europa w Rodzinie*¹ zakończyła Maria Czapka opisem lata i jesieni po wybuchu Pierwszej Wojny. Po krótkiej pracy jako pielęgniarka w mińskim szpitalu dla jeńców wojennych, w koszmarnych warunkach przerastających siły młodziutkiej dziewczyny, wraca ona do rodzinnych Przyłuk: „Listopad. W zenicie maleńki, krągły księżyc biegł

1. Libella, Paryż, 1970.

pośród lekkich obłoków. Gałęzie starych lip klaskały zbijane wicherem. Mroźna szumna noc, ogrom nieba i żarliwe pragnienie pełni życia, oby mi nie było nie oszczędzone, ani ból, ani trud".

Czytając ten ostatni paragraf, wielu jej czytelników wiedząc jak wiernie równoległe losy Marii Czapskiej i jej brata Józefa miały spełnić to młodzieńcze życzenie i bólu i trudu (a nade wszystko pełni twórczego i bujnego życia), musieli podzielać moją nadzieję, że autorka napisze dalszy ciąg swej rodzinnej sagi. I oto, po ośmiu latach ukazuje się drugi tom jej wspomnień pt. „Czas Odmieniony”, opisujący niezwykle wprost dzieje rodzeństwa poprzez kluczowe dla ich późniejszego rozwoju dziesięciolecie 1914-1924. Czapka cytuje w nim parokrotnie marksistowski slogan, któremu dopiero później miało zaprzeczyć doświadczenie historyczne: *Byt określa świadomość*. Nie dziwnego, że nie brzmiał on już wówczas przekonująco ani dla niej ani dla jej brata, gdyż ich losy w tych latach są wymownym przykładem, że świadomość (sumienie, indywidualna wrażliwość, spłot przypadkowych na pozór lektur, spontaniczna reakcja na drobny incydent) może uwolnić jednostkę od ciężaru gatunkowego klasy, obyczaju, przesądów. Książka Czapkiej złożona jest z krótkich migawek o subtelny realizm sepiowych fotografii w albumie. Z właściwą sobie skrupulatną rzetelnością autorka przedstawia nam przygody, których żaden chyba pisarz nie odważyłby się wprowadzić do powieści.

Oto młody oficer legendarnego pułku Ułanów Krechowieckich, Józef Czapka — przejęty ewangeliczną ideologią tołstojowską występuje z wojska w roku 1917, niemal w ogniu bitwy, na widok jak jeden z ułanów policzkuje białoruskiego chłopca. Pociąga za sobą dwóch przyjaciół — braci Antoniego i Edmunda Marylskich. W powieści cała trójka byłaby niewątpliwie rozstrzelana. Ich dowódca natomiast pozwala im odejść, oświadczając: „Więc chcecie stworzyć nowe życie na nowych zasadach... Ja w waszym wieku też się chciałem wyłamać i nowe życie zacząć”. Po krótkim pobycie w Przyłukach, tołstojowscy dezenterzy wyjeżdżają do Piotrogradu, zewsząd zagrożonego i zagłodzonego, a dołączają do nich niebawem Maria Czapka i jej starsza siostra Karla. Dzieje tego młodzieżowego falansteru, który żyje w egzaltowanym mistycznym śnie, stawiając sobie za zadanie ewangelizację Rosji... i świata, są cennym przyczynkiem do duchowej historii naszej epoki tym bardziej, że centralną postacią jest tu Antoni Marylski mający później odegrać ważną rolę, stwarzając wraz z Matką Czapką i ks. Kornilowiczem Zakład Opieki dla Ociemnianych w Laskach pod Warszawą, „dzieło — jak pisze Czapka — które przetrwa wszystkie klęski kraju, promieniując duchem światłego katolicyzmu na całą Polskę”. Dopiero później, zajmując się mistycznym okresem życia Mickiewicza, zauważy Czapka „ile było podobieństwa w tym zawiązku naszego znikomego 'ruchu' a początkami towarzyszącymi”.

Józef i Maria Czapscy wydali w 1965 roku *Dwugłos Wspomnień*². W pewnej mierze *Czas Odmieniony* jest też takim dwugłosem, gdyż autorka parokrotnie oddaje głos bratu, obszernie cytując odpis nagranych na taśmę jego wspomnień. Kontrast pomiędzy pięknym, klasycznym stylem Marii i spontanicznym, barwnym mówieniem Józefa jest jednym z uroków tej książki.

O dalszym ciągu epopei rodzeństwa opowiada zatem Józef Czapka. Po fizycznym i psychicznym załamaniu swego przewodnika Antoniego Marylskiego, wracając Czapscy z Piotrogradu poprzez Przyłuki do Warszawy. Józef dowiaduje się tam, że po rozbrojeniu korpusu Dowbora-Muśnickiego przez Niemców, jego przyjaciel z 1-go pułku, Bronisław Romer, wraz z kilkoma towarzyszami postanowił broni nie składać, ale przedrzeć się poprzez Rosję

bolszewicką do Archangielska, gdzie istniała baza wojsk alianckich. Jest to koniec 1918 roku. Dwudziestocześcioletni Czapka, nadal wierny tołstojowskim zasadom i to z dzieciinną wprost skrupulatnością przechodzi nowy kryzys sumienia: „Wojna światowa się kończy. Kraj częściowo jest pod okupacją, o granicach niewyznaczonych tak od Wschodu, jak i od Zachodu, grożą Niemcy, Ukraińcy, Sowiety, a ja się zastanawiam czy i na ile jestem wierny nauce Tołstoja, jakie popełniam kompromisy? (słowo znienawidzone!). Na przykład chodzę po Warszawie, upał, na ulicy sprzedają chleb, ciężko, bardzo mi się ich zachciało. Kupuję — jakże słaby jestem, ten wydatek niepotrzebny: kompromis. Tymczasem cała młodzież wstępowała do wojska, w Małopolsce toczyły się walki z Ukraińcami, a ja czułem się zupełnie wykołowany, nie chcąc, nie mogąc z moimi przekonaniem iść do wojska, znalazłem się jakby wyłączony ze społeczeństwa, wyłączony z Polski”. Zwraca się więc Czapka do dowódcy 1-go Pułku, płk. Dziwickiego, prosząc o zlecenie mu jakiegokolwiek misji, nawet najtrudniejszej, „byłbym nie musiał zabijać”. Dziwicki przyjmuje osobliwego „dezentera” serdecznie — i wysyła go do Rosji, aby odszukał tam ślad owych zaginionych Krechowaków — Romera i jego towarzyszy. Opis tej zadziwiającej dwumiesięcznej misji rzuca nieoczekiwane światło na atmosferę Piotrogradu w rok po rewolucji. Młody polski arystokrata, potomek carskich dygnitarzy, pozbawiony dokumentów osobistych, przekroczywszy nielegalnie granicę, porusza się po mieście pod własnym nazwiskiem całkiem swobodnie, kontaktuje podwójnych agentów Czerewyczkaj i bez trudności uzyskuje audiencję w Stasowej, członka — wraz z Trockim i Zinowiewem — triumwiratu rządzącego Piotrogradem i jego okolicą, pod nazwą Północnej Komuny. „Stasowa — pisze Czapka — nazywano *sumieniem rosyjskiej rewolucji*, była symbolem cnoty sowieckiej... sama podpisywała wyroki śmierci, ale znane też były wypadki, kiedy ludzi od śmierci ratowała... Po krótkim oczekiwaniu przyjmuje mnie w pokoju-klitce. Stół, dwa telefony, dwa portrety: Lenin i Marks. Starsza pani, twarz pociągła, rasowa, zniszczony sweter, druciane okulary. Wykładam jej całą sprawę: przyjaciele, koledy przedzierali się na Murmań, żeby dostać się do Francji i tam podjąć walkę z Niemcami... Mówiłem oczywiście bardzo gorąco... A ona po zastanowieniu: 'Ja panu pomogę'”. (I tu Stasowa pisze list polecający Czapskiego do wysokiego urzędnika Czeki, który mu wreszcie powie, że zaginioni Krechowiaci zostali rozstrzelani). Następuje kapitalny dialog Czapskiego ze Stasową:

„Więc znów, pełen nadziei, ośmielam się jej postawić parę ogólnikowych pytań. — Czy propaganda, którą prowadzi partia bolszewicka przyjmuje się w masach, zwłaszcza wśród chłopów?”.

„Dla nich — odpowiada Stasowa — idee komunistyczne pozostają obce”.

„W takim razie jaki jest cel tej propagandy?”

„Byt określa świadomość. Zmieniliśmy byt — świadomość się zmienia również”.

„Więc pani wierzy, że te broszurki przekonają chłopów do komunistycznego władania ziemią?”

Spojrzała na mnie bacznie: „Niech pan przyjdzie za dwadzieścia lat”.

Nie do wiary w powieści? Zapewne. Ale final pasuje już tylko do scenariusza amerykańskiej komedii filmowej z lat trzydziestych w rodzaju „Ninoczki”. Jadąc tramwajem ze Smolnego zauważa Czapka, że zostawił u Stasowej portmonetkę z kompromitującymi go notatkami i pisemnym poleceniem zbiegłego do Warszawy „spalonego” podwójnego agenta („Czapka to nasz człowiek. Orłow”). Wraca z „duszą na ramieniu”: „Nie zdążyłem podejść do stołu, a już sekretarka podaje mi portmonetkę: Pan to zostawił na biurku...”.

„Dwadzieścia cztery lata później — notuje Maria Czapka — z polecenia gen. Andersa, podjął Józio podobne poszukiwania, już nie kilku polskich

2. Instytut Literacki, Paryż, 1978.

3. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1965.

wojskowych, a z górą kilkunastu tysięcy zaginionych w ZSSR oficerów polskich, ale tym razem żadnych śladów po zaginionych nie zdołał odnaleźć, żadnej zdobyci informacji, żadnej wskazówki, mimo, że był w mundurze polskiego oficera, sprzymierzonego wtedy w walce z Niemcami, zaopatrzonego w pisma i skierowanie gen. Andersa, dowódcy Armii Polskiej formującej się w Rosji... Był rok 1942".

Zatrzymałem się dłużej na epizodach książki związanych z rosyjską rewolucją, gdyż wydaje mi się, że stanowią zastanawiający kontrast z obrazem tych lat w naszej wyobraźni na który złożyło się tyle książek, dokumentów, filmów.

Scenografia się zgadza: te same brudne śniegi, kolejki, głód, te same długie, wciąż zatrzymywane pociągi, bydzące wagony, zagubione żołnierstwo, szmuglujący chłopi, stacje, samowary... Ale główną cechą utrwalonego w moim obrazie Rewolucji, to bierność społeczeństwa niesionego wartkim „nurtem historii”. W odniesieniu do żadnego innego okresu te rzeczne szablony prądów i wirów nie mają tak przekonywującej siły. Ulegają im najbardziej dojrzałe osobowości — cały Doktor Żiwago Pasternaka to żdźbła ludzkich istnień na wezbranej fali, przypadki ich zetknięć i rozłączeń. Rodzeństwo Czapskich szybkuje w tych wodach jak silne, niewinne pstrągi, zadziwiające nas swymi skokami pod prąd. Nie zdają sobie sprawy z tego, że są tak odmienni od swego otoczenia, kierują nimi spontaniczne odruchy serca, rozumu i charakteru, nie są nawet świadomi swego antykonformizmu.

Ważnym kluczem do ich tak bogatego życia jest wyjątkowy talent przyjaźni, dzięki któremu zbliżali się w każdym przełomowym dla nich okresie do ludzi, którzy dawali im właściwą w danej chwili odpowiedź. Świadczy o tym w tej książce spotkanie Józefa z Mereżowskim i Filosofem, Marii z Maryną Falską i Januszem Korczakiem.

Maria Czapska kończy swą książkę krótkim epilogiem poświęconym latom spędzonym po 1920 roku w Krakowie (Maria na Uniwersytecie Jagiellońskim, Józef na Akademii Sztuk Pięknych), zakończonej wyjazdem dwunastu Kapiistów do Paryża w 1924 roku. Autorka spieszy już do mety, którą sobie wyznaczyła — chwili gdy sama do nich w rok później dołączy — ale szczęśliwie przystaje by skreślić z dyskretną czułością piękny wizerunek najbliższego jej i Józefa przyjaciela, Zygmunta Waliszewskiego.

Europa w Rodzinie, Czas odmieniony, Wspomnienia Starobielskie, Nie-ludzka Ziemia, Dwugłos Wspomnień dają w sumie niemal pełną kronikę „na dwa fortepiany” losów Maryni i Józia aż do roku 1945 (jakże nie użyć raz formy w której zwracało się do nich i zwraca tyłu kochających ich ludzi na przestrzeni czterech polskich pokoleń...). Niezastąpione świadectwo o przełomowych czasach dwójga wyjątkowych istot.

K. A. JELENSKI

Książki z Londynu

TRYLOGIA WIKTORA TROSCIANKI¹

„Z drugiego brzegu jeziora wytaczała się między drzewami ogromna kula szczęścia” (WM, str. 108). „Jesień wypłakiwała rzewne łzy nad latem” (WM, str. 109). Podobnych zdań można

w *Wiek męskim* i pozostałych dwóch tomach znaleźć bez porównania więcej. Ale nie dla piękności stylu czyta się te książki. Trylogia Trościanki jest pasjonująca wyłącznie przez swoje miejscę akcji i czas w którym się toczy. Bohaterem, a raczej postacią wokół której skupiają się główne wątki, jest młody człowiek, Michał Oszurko, początkujący dziennikarz, autor świeżo wydanej książki *Ziemia niczyja*. Jest to książka o Wileńszczyźnie, ziemi według autora przynależącej kulturowo i historycznie do Polski, ale zaprzepaszczonej przez rządy sanacyjne politycznie i gospodarczo. Na nieszczeście, Oszurki koncepcja polskości tych ziem jest wyłącznie sentymentalna, bliska nie tyle idej Dmowskiego, co ich trywializacji. Ale to właśnie strywalizowany Dmowski stał się ideologiem Narodowej Demokracji, której Oszurko — ostrożnie — członkiem nie jest, ale z którą żywo sympatyzuje.

Oszurko kocha Polskę i często o tym mówi i myśli, ale przede wszystkim kocha Wilno i Wileńszczyznę, o czym mówi i myśli bez przerwy. Pochodzi z drobnej szlachty osiadłej na Wileńszczyźnie, której mężczyźni brali udział w narodowych powstaniach. Jest uczciwy i na tyle bezkompromisowy, na ile mu pozwalała chyba wrodzona ostrożność. Oszurko wybiela endecję i oskarża sanację. W *Wiek męskim* wspomina się półgębkiem o ONR i Falandze, ale głównym oskarżonym jest rząd sanacyjny, na którego zlecenie wojskowi katują starych profesorów i adwokatów za rzekomą obrazę Marszałka i rozbijają redakcje sympatyzujących z narodowcami gazet. Oszurko prezentuje środowisko komunizujących poetów i dziennikarzy wileńskich jako agentów Rosji, cynicznie przygotowujących grunt pod przyszłą republikę sowiecką, a działających głośno i bezkarnie, bo — jak niedwuznacznie wynika z książki — Bereza była przeznaczona wyłącznie dla endeków. Trościanko opisuje koterie polityczne Wilna i Warszawy jako juntę pułkowników i rotmistrzów, w którą zamienili się dawni legionści. Dla Rydza-Śmigłego ma parę miłych słów, ale też Rydz-Śmigły zwraca na Oszurkę (prowincjusza „żwiłna”) życzliwą uwagę na bankiecie Yacht Klubu.

Michał Oszurko zakosztował krótkiej i kapryśnej sławy w Wilnie, przenosi się do Warszawy, aby być w pobliżu swojej młodziutkiej narzeczonej, Marylki Zasztowt. Opuszcza — ciągle później wyrzut sumienia — dobre już prosperujące pismo pro-endeckie *Sprawy i myśli* (wielokrotnie brutalnie napastowane przez rządowców). Zeni się z Marylką równo rok przed wybuchem wojny i pracuje w Warszawie, w magazynie ilustrowanym *Kronika Rzeczypospolitej*, bezpartyjnym, ale dobrze widzianym przez sfery rządowe. Dostaje się tam za protekcją ojczyzna Marylki, Zasztowta, byłego legionisty (nie skorumpowanego), ważnej jak się okazuje figury w polskim przemyśle zbrojeniowym.

Wilno Oszurki jest wyidealizowane w równym stopniu, jak wyidealizowana została endecja, a raczej — znowu ostrożnie — jej bezpartyjni sympatycy. A oto, daleka od przystawionej polska tolerancja, która w tym mieście kwitnie: „Protestantów luterałów nie było w Wilnie zbyt dużo. A ci co byli, nie różnili się

1. *Wiek męski*, powieść, 1970, str. 360; 2. *Wiek kłeski*, 1971, str. 446; 3. *Nareszcie lata pokoju!*, 1976, str. 332. Wyd. PFK, Londyn.

niczym od innych, od swych katolickich współrodaków. Religia nie dzieliła w ogóle w Wilnie nikogo. Tatarzy mużulmanie mieli swe piękności, za którymi szalała młodzież studencka, sportowa i oficerowie. [...] Kalwini ze swą tradycją od Radziwiłłów siedzieli tu od wieków jako gospodarze tacy sami jak katolicy. Na prawosławnych w pierwszych latach po wojnie patrzono krzywiej, choćby dlatego, że Rosjanie wszystkie najwyższe punkty miasta ozdobili swymi cebulastymi cerkwiemi. Ale i do nich przywykli. [...]

Żydzi — no tak. Był ten problem. Ale bynajmniej nie religijny. [...] Problem żydowski Wilna to tragiczna stawka Żydów na każdą kartę — byle nie polską" (str. 142).

Oszurko sam nie brał udziału w kampanii wrześniowej (niezbyt jasno wytłumaczone dlaczego), ale Trościanko posłużył się trzema jego przyjaciółmi szkolnymi, Maćkiem, Michałem i Marianem, którzy walczyli każdy w innej części kraju. Sam Oszurko wywędrował wraz z innymi z Warszawy i dotarł do Lublina, gdzie Trościanko wierny tradycji mieszanin nazwisk autentycznych ze zmyślonymi pokazuje na sekundę Andersa, i gdzie kelner w restauracji opowiada o śmierci Czechowicza. W Lublinie Oszurko zaciąga się wreszcie do wojska, ale tylko po to, żeby wkrótce, tuż po kapitulacji, wrócić do Warszawy. Z początkiem listopada 1939 młodzi małżonkowie udają się na dworzec wileński, aby przedostać się do Wilna, gdzie została matka Marylki. Jadą pociągami z Żydami, których Niemcy wyławiają na kolejnych stacjach. Jak się jednak okazuje, nie wyłowili wszystkich bo oto Oszurkowie wraz z innymi pasażerami znajdują się już w części kontrolowanej przez enkawudzystów i czytamy następujący fragment: „Tym razem jednak skład podróży był zupełnie inny. Tutaj Żydzi nie kryli się po kątach. Rozmawiali głośno, przypatrywali się obcesowo ludziom nie należącym do ich grupy, zaczepiali przymilnie żołnierzy sowieckich. [...]

Gdy się już wszyscy zmęczeni czekaniem, a wieczór przechodził w noc, posiadali także i ci, co z ostentacyjną swobodą zaglądali we wszystkie kąty dworca. Zbili się w ciasną gromadę. [...] Grupa zaczęła śpiewać. Po polsku. Były to jednak pieśni tak straszne, zionące taką nienawiścią do Polski, grożące „kapielą krwi”, „szubienicami”, „czerwoną zemstą”, że trudno wprost było zrozumieć jak do tej treści można było użyć polskiej mowy. Byli to Żydzi komuniści. [...] Tylko aż dziw brał, że w tych komunistycznych litaniach zemsty nie można było usłyszeć jakiejś pieśni przeciw Niemcom, hitlerowcom”.

Jak widać, wszystkich Żydów nie-komunistów Niemcy wyłowili na stacji w Małkini. I choć wiem, że to znikomy fragment *Wiek męskiego*, nie mówiąc o całym dziele, nie potrafię sobie odmówić zacytowania dwóch dalszych fragmentów na bliski sercu temat. Oto radziecki politruk wygłasza przemówienie: „— Wojna skończona. Pańska Polska nie istnieje. Koniec wyzysku, krzywdy i biedy...

Zerwały się ogromne oklaski z grupy żydowskiej. Zaczęli pow-

tarzać słowa rosyjskie: „kaniec, kaniec — towarzyszcz”. Politruk widząc, że ma przed sobą dobre audytorium, zbliżył się na odległość jednego kroku i dalej wiodł swe głośne uwagi.

[...] Oklaski znów na chwilę przerwały mówcy. Paru mężczyzn zbliżyło się do oficera. Ten machinalnie zrobił pół kroku w tył i położył rękę na futerale rewolweru. Ale nieporozumienie szybko się wyjaśniło, gdy się okazało, że słuchacze chcieli tylko dotknąć płaszcza prawdziwego sowieckiego oficera i pogłodzić gestem pełnym czułości rękaw, gdzie widniała oznaka politruka”. Sliczny fragment, sam Moczar by się nie powstydział. Pierwszy tom trylogii kończy się dotarciem małżonków do Wilna.

We wstępie do *Wiek kłeski* określa Trościanko swoje zamierzenie jako „sprowadzony do opowiadania los naszego pokolenia i jego zbiorowy dramat”. Zbiorowy dramat zaczyna się jednak od indywidualnej tragedii. Sliczna Marylka zakochuje się w Wilnie w rotmistrzu Odyńcu i zostawia Oszurkę. Historia jego starań o odzyskanie żony jest jedynym w tej książce konsekwentnie i zrozumiale przeprowadzonym wątkiem. Na dodatek polskie Wilno zajmują zdrajcy Litwini przy pomocy Sowietów. Oszurko — niedoszły żołnierz — postanawia przedostać się do Sikorskiego do Francji. Z Francji nic nie wychodzi i wędrując po Wilnie poddanym brutalnej administracji litewskiej, Michał przeżywa kolejny krok na drodze swej ewolucji politycznej: wraz z przyjacielem czyści ze śniegu płytę z napisem *Matka i serce syna* na Cmentarzu Wojskowym, rozłożonym na wzgórzach Rossy. Wolniutko kiełkuje w nim świadomość, że w obliczu tragedii narodowej należy zapomnieć polityczne waśnie i przeprosić się z Dziadkiem. Jak pisał komunista: „Są w ojczyźnie rachunki krzywd...”. Witold Rossa stanie się później w okupowanej Warszawie pseudonimem Oszurki.

Myślę, czym ta trylogia, a przede wszystkim ta książka, której akcja obejmuje pełne pięć lat wojny i toczy się niemal na całym obszarze Polski, mogła stać się dla ludzi mojego pokolenia, nie-pamiętających wojny, a uczonych w szkole z podręczników sfałszowanych bądź okrojonych. *Wiek kłeski* mógł być autentycznym kompendium politycznym, prawdziwą encyklopedią, w której znalazłoby się to wszystko, co w oficjalnej historii zostało przemilczane. Trylogia Trościanki mogła stać się *Nocami i dniami* tych lat. Ale zamiast *Nocy i dni*, czy bodaj uczciwej autobiografii, od której pisarz nie wiadomo dlaczego gorliwie się odżegna, otrzymaliśmy dalekie echo Sienkiewiczowskiej *Trylogii*.

Uważam zamiar autora za niezmiernie ambitny, tak ambitny, że przerastający siły daleko lepszego pióra. Trościanko spisał wszystko co przeżył (i co przeżyli inni w miejscach, w które go losy wojny nie rzuciły), pozorując epikę, fabularność. Ale do epiki zabrakło mu umiejętności kompozycyjnych i bohaterów wokół których mógłby zorganizować Historię. Michał Oszurko nie jest żadną osobowością powieściową, choć nie wątpię, że był to rzetelny i odważny człowiek. Z braku bohatera (i przy jego pozorowaniu) ogromny materiał książki rozlał się od samego po-

czątku. *Wiek kłęski* składa się z całego szeregu chaotycznych scen, których nikt poważnie nie usiłuje związać. Jest to świat rozczłonkowany nie tylko wojną, ale też niedbałością, pośpiechem, zbędnymi rozmowami, zbędnymi pejzażami (Pan Bóg je chyba ogląda, postacie wchodzą bowiem w pejzaż już przygotowany), manią wszędobylstwa i ambicją — godną uznania — spisania absolutnie wszystkiego. Stereotypy myślowo-uczuciowe, dialogi ze szkolnych czytanek, publicystyka na miarę szkolnych gazetek, dopełniają reszty. Język jest ubogi, słownictwo niegodne wschodnio-polskiego i warszawskiego bogactwa. Jedyna część książki, która jakoś trzyma się kupy, to pobyt Oszurki w obozie jenieckim w Grossborn.

Ostatnia część cyklu różni się nieco od *Wieku męskiego* i *Wieku kłęski*. Czas akcji obejmuje ostatni okres okupacji w Polsce, mniej więcej od Powstania Warszawskiego, i około półtora roku po zawieszeniu broni. W tym samym mniej więcej czasie śledzimy losy Polaków, których wojna rzuciła za granicę. Książka kończy się rozwiązaniem Drugiego Korpusu we Włoszech. Akcja toczy się kolejno w obozie pracy w Niemczech tuż nad granicą szwajcarską, potem w różnych miejscowościach w Szwajcarii, w Warszawie podczas Powstania, potem po wojnie w Krakowie i na Śląsku. Częściowo także na wsi podkrakowskiej i na Podhalu. W Luksemburgu, w Paryżu i oczywiście we Włoszech, gdzie zakwaterowano Drugi Korpus.

Trościanko prowadzi akcję paralelnie wokół różnych postaci, których losy zazębiają się, łączą. Przedsięwzięciem najbardziej ryzykownym była próba oddania atmosfery po wojnie w kraju: okres gruntowania się władzy, pierwsze represje UB, walka akowskiego podziemia po wojnie. Sprawy do tej pory ciemne, niejednoznaczne i — z której strony by się ich nie dotknęło — bolesne. Może dlatego tej książce, która przecież nie jest żadną powieścią, przydałby się indeks: mapka politycznych ugrupowań, nazwiska przywódców, daty powstania i likwidacji grup. Krótko mówiąc to, co przynależy książkom historycznym.

W trzecim tomie Michał Oszurko zniknął bez śladu, wbrew regułom epiki historycznej. Ale akcja zyskała przez to na wyrazistości, także jej tok, przenoszenie z miejsca na miejsce stało się bardziej naturalne. Z wielu równorzędnych bohaterów najciekawszy wydaje się Tomasz Szemberg: brzydki, z kompleksami, dzielny żołnierz, obrotny kurier Andersa we Włoszech, bezkompromisowy organizator radiostacji polskiej w Luksemburgu. Nieszczęśliwy kochanek, znawca sztuki i świata, pyskacz, alkoholik. Książka, czysto fabularnie rzecz biorąc, kończy się jego niebohaterską śmiercią na statku Liberty, w drodze do Anglii.

Inni od strony literackiej prezentują się znacznie gorzej, większość pomyślana jako typy wzorowych Polaków i Polek. Najgorzej, tragicznie wręcz, wypadła główna postać kobieca, niejaka Wiga Kamińska, której oszałamiająca uroda — nogi przede

wszystkim i oczy jak jeziora! — oraz pańskość całej sylwetki, na przemian to ratują życie, to wypychają w kłopoty i upokorzenia. Reszta jest dość bezbarwna. O charakterze, o postawie moralnej decyduje w wypadkach arystokratycznych — uroda, w wypadkach bardziej plebejskich — poczciwość wypisana na gbie. Tadeusz Szemberg — o którym wyżej — stanowi tu chlubny wyjątek. Bohaterzy Trościanki są nudni i sztampowi, ponieważ autor obdarzył ich zbiorową mentalnością dewotek rzucanych na szaniec. A nie jest w mocy literackich postaci uwolnić się od autora.

Ostatni tom trylogii napisany jest w duchu endeckim, silnie napiętnowanym klasowo. Język sentymentalny, kapiący od sloganów. *Nareszcie lata pokoju!* — począwszy od swojego ironicznego tytułu — miały być epopeją narodową o prostej tezie politycznej, że Polacy przegrali drugą wojnę światową. Ale tej tezy nie da się udowodnić, podkreślając na każdej stronie, że jesteśmy lepsi od innych. Bo nie jesteśmy. Daleka jestem od zachwyty nad dzisiejszym stanem Europy, ale ciarki przechodzą mnie na myśl, że o jej kształcie geopolitycznym mielibyśmy decydować my, Polacy. Nacjonalizm Trościanki o tyle jednak złagodniał, że ponury, chamski Żmudzin z *Wieku kłęski* ustąpił w ostatnim tomie Białorusince Gieni, na śmierć i życie oddanej swojej przybranej dziedzicze, pięknej Widze Kamińskiej. W tej książce, której przecież w żadnym wypadku nie można odmówić bogactwa faktów, historycznej wiedzy i w wielu wypadkach słusznych politycznych diagnoz, najprawdziwiej wypadli ubecy z Placu Wolności w Krakowie. Za to jedna chyba z kluczowych tu scen — rozmowa Szemberga z generałem Andersem — napisana została w najlepszym stylu audiencji u Stalina.

Trościanko spisał, co widział i co słyszał, świadomy że był w oku cyklonu, i że ów cyklon po dzień dzisiejszy wyznacza historię narodu i biografie ludzi. Takiej ambicji i wysiłku nikt nie ma prawa lekceważyć czy ignorować. Ale w którymś miejscu kończy się rola autora, a zaczyna rola wydawnictwa — instytucji kulturalno-politycznej, odpowiedzialnej przed swoim polskim czytelnikiem za strawę, której mu dostarcza. Tej instytucji na miejscu Trościanki wytoczyłabym proces. Obowiązkiem wydawnictwa jest zredagować książkę, przygotować do druku. Pomóc autorowi w selekcji materiału — jeśli ten materiał uznało się za tak ważny, że indolencja artystyczna stała się sprawą uboczną. Jest także obowiązkiem wydawnictwa poprawa błędów idiomatycznych, stylistycznych i gramatycznych, od których aż się tu roi. I naprawienie maszyn drukarskich, tak aby były w stanie stawiać przecinki i kropki.

Janina KATZ HEWETSON

Nadesłane nowości wydawnicze

TRUSZKOWSKA (Maria Angela). *Wybór pism t. I — Listy do siostr.* Str. 295 i 1 nlb. (Wyd. Papieski Instytut Studiów Kościelnych, Rzym, 1977).

STAMBROWSKI (Aleksander). *Rzecz o nierządzie polskim i walce z nim.* Str. 55 i 1 nlb. (Wyd. nakładem Autora przez Oficynę Poetów i Malarzy, Londyn, 1978).

Karta społeczna Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Dobroczyńności. Opracowanie Tadeusz Sypniewski. Str. 192. (Wyd. Polsko-Kanadyjski Instytut Dobroczyńności, Montreal, Qué., styczeń 1978).

Program P.P.S. i zadania P.P.S. na obczyźnie. Wydanie III z przedmową Adama Ciołkosza. Str. 35 i 1 nlb. (Wyd. Centralny Komitet P.P.S., Londyn, 1978; cena £ 5,00).

GIERCUSZKIEWICZ (Antonina). *Wiersze z Kensington.* Szata graficzna Danuta Gierc. Str. 16. (Wyd. Garby Promotions, Londyn, 1973).

LAKS (Szymon). *Słowa i antysłowa.* Str. 123 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978).

TOULAT (Jean). *Sztuczne poronienie — wyzwoleń czy zbrodnia?* Tłumaczenie z francuskiego. Str. 165 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1978).

KOWALIK (Jan). *Polonia Północnej Kalifornii i dzieje jej etnicznego duszpasterstwa. — The Polish American Community in Northern California and the History of Its Ethnic Pastorate.* (Powielacz — tekst w języku polskim i angielskim). Str. 33 i 1 nlb. (Wyd. American-Polish Documentation Studio, 1977).

KORCZAK (Janusz). *Comment aimer un enfant.* Préface de Bruno Bettelheim et du Pr S.

Tomkiewicz. Tłumaczyła z polskiego Zofia Bobowicz. Str. 351 i 3 nlb. (Wyd. Editions Robert Lafont, Paryż, 1978).

SOLSKI (Wacław). *Le bourgeois et son maître.* Tłumaczył z rosyjskiego M. Guilleray. Str. 249 i 7 nlb. (Wyd. Editions Pygmalion, Paryż, 1978).

MORAND (Bernadette). *L'URSS des profondeurs.* Préface de Louis Leprince-Ringuet; introduction d'Anthony de Meeus. Textes et documents des Cahiers du Samizdat. Str. 265 i 7 nlb. + 16 str. ilustracji. (Wyd. Editions Arts et Voyages, collection „In-edits”, Paryż, 1978; cena £ 49).

STANKIEWICZ (W. J.). *Aspects of Political Theory — Classical Concepts in an Age of Relativism.* Str. 175 i 7 nlb. (Wyd. Callier Memillan, Londyn, 1976; cena: £ 4.95).

STANKIEWICZ (W. J.). *British Government in an Era of Reform.* Str. 355 i 1 nlb. (Wyd. Collier Memillan, Londyn, 1976; cena: £ 6.95).

LUKAS (Richard C.). *The Strange Allies — The United States and Poland, 1941-1945.* Str. 230. (Wyd. The University of Tennessee Press, Knoxville, 1978; cena: \$ 12.50).

TABORSKI (Bolesław). *For the Witnesses.* Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978).

The Socialist Register 1977. A Survey of movements and ideas. Opracowali Ralph Miliband i John Saville. Str. 276 i 4 nlb. (Wyd. The Ferlin Press, Londyn, 1977).

PODGÓRECKI (Adam). *The Anecdotes of Si-Tien.* Str. 38 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1978).

Official Censorship in the Polish People's Republic. April 1978. Str. 59 (powielacz). (Tłumaczenie i wyd. The North American Study Center for Polish Affairs, Ann Arbor, Mich.).

BROMKE (Adam). *Poland and the crossroads.* (Odbitka z *The World Today*, April 1978, str. 147-156, wyd. Catham House).

FISZMAN (Joseph R.). *Education and Equality of Opportunity in Eastern Europe, with Special Focus on Poland.* (Odbitka z *Politics and Society* 7, No 3/1977, str. 297-329).

WHYTE (Martin King). *Child Socialization in the Soviet Union and China.* Komentarz: Joseph R. Fiszman. (Odbitka z *Studies in Comparative Communism*, vol. X, No 3, Autumn 1977, str. 235-259, quarterly published by the School of International Relations Univ. of Southern California, Los Angeles).

BROMKE (Adam). *Poland z „The Hungarian Revolution of 1956 — In retrospect”* (Odbitka fot. z *East European Quarterly*, Boulder, 1978, str. 87-94).

KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *The Land of no Salvation.* (Odbitka z *The Polish Review*, Vol. XXIII, No 1, 1978, str. 17-30; wyd. The Pol-Institute of Arts and Sciences of America, Inc., New York, N.Y.).

Die Welt der Slaven. Halbjahresschrift für Slavistik. Jahrgang XXII, 1; N.F.I., 1. Str. 223 i 1 nlb. (Wyd. Verlag Otto Sagner, Monachium, 1977).

Materialien zu einer slavistischen Bibliographie (1945-1963). Zebrał Irmgard Mahnen i Karl-Heinz Pollok. Str. 257 i 1 nlb. (Wyd. Verlag Otto Sagner, Monachium, 1963).

Slavistische Beiträge. Seria wyd. przez Verlag Otto Sagner, Monachium).

MROSİK (Julius). *Das polnische Bauerntum im Werk Eliza Orzeszkowej.* Band 10. Str. 211 i 5 nlb. Wyd. w 1963 r.

KUNERT (Ilse). *J. U. Niemcewicz: Siewy Historyczne — Geschichtsauffassung und -Darstellung.* Band 28. Str. 132 i 5 nlb. Wyd. w 1968 r.

SAPPOK (Christian). *Die Bedeutung des Raumes für die Struktur des Erzählwerks.* Band 47. Str. 153 i 1 nlb. Wyd. w 1970 r.

MOENKE (Helmut). *Das Futurum der polnischen Verba.* Band 55. Str. 184. Wyd. w 1971 r.

NEUREITER (Ferdinand). *Kaschubische Anthologie.* Band 61. Str. 281 i 1 nlb. Wyd. w 1973 r.

GONSHIOR (Hannelore). *Die geneigten Vokale als Reflexe altpolnischer Längen im Wörterbuch von Jan Mączyński.* Band 66. Str. 391 i 1 nlb. Wyd. w 1973 r.

LENGA (Gerd). *Zur Kontextdeterminierung des Verbalaspekts im modernen Polnisch.* Band 102. Str. 233 i 3 nlb. Wyd. w 1976 r.

KRUPKA (Peter). *Der polnische Aphorismus.* Die „Unfrisierten Gedanken” von Stanisław Jerzy Lec und ihr Platz in der polnischen Aphoristik. Band 104. Str. 197 i 3 nlb. Wyd. w 1976 r.

MATUSCHEK (Herbert). *Einwortlexeme und Wortgruppenlexeme in der technischen Terminologie des Polnischen.* Band 114. Str. 417 i 3 nlb. Wyd. w 1977 r.

NEUREITER (Ferdinand). *Geschichte der kaschubischen Literatur.* Versuch einer zusammenfassenden Darstellung. Band 117. Str. 281 i 3 nlb. Wyd. : 1978 r.

SYADNYOU (Masiej). *Patuszanyja zory.* Wiersze w języku białoruskim. Str. 271 i 9 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Nowy Jork - Monachium, 1975).

SZTEIN (Emmanuil). *Poeizja ruskogo rassiejaniia 1920-1977.* Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Izdatelstwo „Ladija”, Asford, Conn., 1978).

Chronika zaszczyty praw w SSSR. Wypusk 29, Janwar-mart 1978. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Izdatelstwo „Chronika”, New York, 1978; cena: \$ 5,00).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

15-6-78

W Warszawie Teresa Wróblewska i Stanisław Hebanowski przygotowują pełne wydanie dzieł Tadeusza Micińskiego. Jednocześnie w Teatrze Wybrzeża w Gdańsku została wystawiona „Bazyliasa Teofanu”, w opracowaniu Stanisława Hebanowskiego i Mariana Kołodzieja.

1-7-78

Znany grafik, Roman Cieślewicz, mieszkający w Paryżu, wystąpił na VII-me Międzynarodowe Biennale Plakatu w Warszawie trzy swoje afisze, z których jeden został zrobiony dla *Amnesty International*. Afisz ten został odrzucony wbrew wszystkim regulaminom Biennale i bez podania powodu.

5-7-78

W PRL przypada rocznie 43 kg papieru na głowę ludności, podczas gdy dla zaspokojenia wszystkich potrzeb (choćby podręczniki szkolne) potrzeba 100 kg papieru i tektury. Ze względu na złe funkcjonowanie zakładów papierniczych w najbliższych latach nie należy spodziewać się poprawy. ■ *Życie Gospodarcze* donosi: „Podjęta w ostatnich latach próba stworzenia w Polsce małych i średnich przedsiębiorstw o kapitale obcym nie dała dotychczas pożądanego wyniku, a powstałe nieliczne przedsiębiorstwa sygnalizują, że napotykać znaczne trudności w realizacji swoich zadań”. ■ W pierwszej połowie bieżącego roku najwięcej przyjechało do PRL turystów z NRD (ponad 2 miliony), a z krajów zachodnich najwięcej z RFN (131,5 tysięcy osób). Najwięcej Polaków wyjechało do NRD (2,5 miliona). Na Zachód zaś 250 tysięcy, z tego 69 tysięcy do RFN. ■ Instytut Badań Literackich PAN przygotowuje edycję „Dzieł Wszystkich” Jana Kochanowskiego. I-szy tom spodziewany jest w 1980 roku, a ostatni w 1984. Pierwsze wydanie „Dzieł Wszystkich” ukazało się w 300-lecie śmierci poety, w 1884 roku i nazywane jest wydaniem pomnikowym.

18-7-78

Na cmentarzu powązkowskim w Warszawie złożono prochy Tadeusza Katelbacha i jego małżonki. Prochy przewiozła do Warszawy Janina Katelbach (Nina Polan) — znana aktorka scen amerykańskich.

20-7-78

Jak wiadomo Stanisław Ignacy Witkiewicz we wrześniu 1939 roku popełnił samobójstwo na wiadomość o wkroczeniu do Polski Armii Czerwonej i jest pochowany na Polesiu, we wsi Jeziory. Wielokrotnie czyniono starania, by jego zwłoki zostały przeniesione do Zakopanego — powstał nawet specjalny komitet, złożony z pisarzy i filozofów. Mimo poparcia przez Ministerstwo Kultury i Sztuki sprawa nie doszła do skutku wobec katarycznego sprzeciwu czynników sowieckich. Prawdopodobnie jest to zemsta za „Nienasylenie”, w którym Witkacy zapowiedział koniec Rosji i inwazję chińską.

21-7-78

Z wywiadu udzielonego Radiu Warszawa przez wicedyrektora Polservice, Stanisława Grzywnowicza, dowiadujemy się, że w tej chwili pracuje poza granicami PRL około 8.000 specjalistów. Pracują oni w ponad 70 krajach. Wśród nich najpoważniejsze grupy stanowią wykładowcy wyższych uczelni,

lekarze, oficerowie marynarki handlowej, inżynierowie budownictwa, architekci i urbaniści. Z tytułu pracy tych specjalistów wpływa rocznie około 300 milionów złotych dewizowych.

23-7-78

Z okazji święta 22 lipca nagrody państwowe z dziedziny literatury otrzymali: Arkady Fidler, Edmund Osmańczyk i Wojciech Zukrowski. W zakresie nauk społecznych nagrodę otrzymał m.in. prof. Stefan Kieniewicz.

24-7-78

W XI-tym Międzynarodowym Festiwalu Młodzieży i Studentów, który odbywa się w Hawanie, bierze udział 575 polskich uczestników. PLL LOT uruchomiły „most powietrzny” Warszawa-Hawana dla przewozu delegatów oraz sprzętu i wyposażenia delegacji. Członek kierownictwa polskiej delegacji, Andrzej Macenowicz, stwierdza z całą powagą, że koszty tej wyprawy są całkowicie pokryte przez młodzież. ■ Zmarł w Jeleniej Górze, w wieku 67 lat, ks. płk Wilhelm Kubsz; był on kapłanem 1-szej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki i 1-szej Armii Wojska Polskiego.

27-7-78

Znany grafik i satyryk, Eryk Lipiński, obchodzi 70-lecie urodzin oraz 50-lecie pracy twórczej. ■ W PRL jest około 50 placówek naukowych, zajmujących się badaniami kosmosu. M.in. Centrum Badań Kosmicznych PAN jest koordynatorem problemu międzyresortowego „Badania przestrzeni międzyplanetarnej i okołozemskiej i ich wykorzystanie”. Czy nie za dużo? ■ W PRL 2.700 małych sklepów przekazano agentom. W całym kraju jest jeszcze do przekazania w ten sposób 30.000 placówek handlowych. Przeszkodą w przejmowaniu tych sklepów jest niechęć urzędów do tego typu operacji, niewłaściwe kalkulacje finansowe dotyczące podatków i opłat oraz próby wprowadzenia zbędnej sprawozdawczości.

28-7-78

Zmarł w Warszawie, w wieku 78 lat, Wacław Zawadzki, żołnierz 1920 roku, działacz PPS, uczestnik tajnego nauczania w latach okupacji, dyrektor spółdzielni wydawniczej „Wiedza” w pierwszych latach po wojnie. Był esicistą, historykiem, bibliofilem, zasłużonym wydawcą i redaktorem serii pamiątek w Państwowym Instytucie Wydawniczym, oraz członkiem założycielem Komitetu Obrony Robotników, członkiem Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” i członkiem Rady Funduszu Samoobrony Społecznej.

30-7-78

Premier Piotr Jaroszewicz oświadczył w Sejmie, że około 35 % rolników indywidualnych nie prowadzi obecnie hodowli trzody chlewnej, a 28 % — chowu krów. 1/5 rolników nie hoduje ani trzody chlewnej, ani bydła. W okresie 1977/78 r. PRL zakupiła 9 milionów ton zbóż i paszy za przeszło miliard dolarów. Jest to kwota przewyższająca roczną wartość węgla eksportowanego z Polski do krajów zachodnich. ■ Po śmierci J. Mietkowskiego mianowano ministrem Kultury i Sztuki PRL Zygmunta Najdowskiego, I-go sekretarza KW PZPR w Toruniu.

1-8-78

W Kraju jest wielkie zaniepokojenie wyniszczaniem Puszczy Świętokrzyskiej. Mimo, że część tej Puszczy stanowią lasy jodłowe, będące ścisłym rezerwatem, to pod różnymi pretekstami trzebi się jej drzewostan. Wszystko to jest spowodowane gorączkowym szukaniem dewiz z eksportu.

ZACHÓD — EMIGRACJA

27-5-78

W czasie obrad w Sztokholmie 43-go Kongresu PEN-Clubu zdarzył się wypadek, który odbił się szerokim echem w prasie szwedzkiej. Mianowicie w obecności wielu dorosłych małe dziecko spadło ze skał do morza. Polski delegat, Jan Józef Szczepański, bez namysłu skoczył w ubraniu do wody i uratował dziecko.

13-6-78

Konkurs literacki zorganizowany przez *Głos Polski* w Buenos Aires z okazji 50-lecia Związku Polaków w Argentynie, został zakończony. I-szą nagrodę otrzymał Kazimierz Rafalik za pracę „Na obcym brzegu”, II-gą nagrodę — Bolesław Klasiński za „A tym panem byłem ja”, III-cią — Maria Świeczewska za pracę „Jacaranda”.

16-6-78

W Społecznym Klubie Dyskusyjnym w Brukseli redaktor Dominik Morawski wygłosił odczyt pt. „Strategia Kościoła w Polsce, polityki wschodniej Watykanu i eurokomunizmu”.

17-6-78

W Londynie odbyło się pierwsze posiedzenie Rady Narodowej RP. Przewodniczącym Rady został wybrany p. Zygmunt Szadkowski. W skład Prezydium weszli: Teresa Affeltowicz, Walery Choroszewski, Bogdan Podolski, Józef Raca, Janusz Zawadzki, płk A. Czerniawski, Andrzej Polniaszek i Otelia Szczepańska. Jednocześnie prezydent Ostrowski mianował nowy rząd w składzie: prezes Rady Ministrów — Kazimierz Sabbat, min. Skarbu — Stanisław Borezyk, min. Spraw Zagranicznych — Zygmunt Zawadowski, min. Obrony Narodowej — gen. Brzeszczyński, min. Informacji — Mieczysław Sas-Skowroński, min. WR i OP — Czesław Czapliński, min. Spraw Społecznych — Bolesław Dziegieć, min. Sprawiedliwości — Zbigniew Scholtz, min. Spraw Krajowych — Jerzy Zaleski, min. bez teki — Roman Czerniawski.

25-6-78

Prix Séguier w Paryżu została przyznana polskiemu pisarzowi Andrzejowi Kuśniewiczowi.

30-6-78

W Centre du Dialogue w Paryżu ks. bp Jerzy Stroba wygłosił odczyt „Postawy duchowo-religijne młodzieży polskiej”.

8-7-78

Na zaproszenie Kiermaszu Książki Polskiej w Szwajcarii Krzysztof M. Munich z USA wygłosił w Zurychu pogadankę „Medal Pamiątkowy Katynia”.

14-7-78

Zmarła w Genewie Iza Landsberger. Na początku drugiej wojny światowej organizowała ona we Francji ośrodki pomocy dla Polaków, a po przyjeździe do USA zajmowała wysokie stanowiska w IRO (*International Relief Organization*) i w Amerykańskim Czerwonym Krzyżu. Była również czynnym członkiem w polskich komitetach opieki nad więźniami i wysiedleńcami.

17-7-78

W dniach 17-21 lipca br., w gmachu UNESCO w Paryżu obradowała kolejna Międzynarodowa Konferencja Luminescencyjna, zorganizowana przez prof. Daniela Curie. Pierwszy Międzynarodowy Zjazd Fizyków poświęcony fotoluminescencji zorganizował w 1936 roku w Warszawie Stefan Pieńkowski. Na sesji inauguracyjnej Konferencji, której przewodniczył laureat Nobla prof. A. Kastler, przemówienie poświęcone 80-tej rocznicy urodzin prof. Aleksandra Jabłońskiego, jednego z twórców współczesnej luminescencji, wygłosił prof. Z. Grabowski. Wśród 560 uczestników z 26 krajów było 17 fizyków polskich, pracujących w Kraju lub za granicą.

22-7-78

Przed ambasadą PRL w Sztokholmie odbyła się demonstracja, jako protest przeciwko łamaniu praw ludzkich i obywatelskich w PRL.

1-8-78

Zmarł w Rzymie w młodym wieku Angelo Maria Ripellino, jeden z najwybitniejszych slawistów włoskich, profesor rusycystyki na Uniwersytecie Rzymskim. Swoje studia slawistyczne zaczął od polonistyki, tuż po wojnie jako student tłumaczył Norwida dla wydawanego przez 2-gi Korpus pisma *Iridion*. Przerzucił się potem na bohemistykę i przez jakiś czas był urzędnikiem ambasady włoskiej w Pradze. Wydał szereg książek (o Majakowskim, o teatrze Meyerholda, o Pradze „magicznej”) i kilka tomików wierszy (był również poetą). Pozostał do końca wierny swoim zainteresowaniom literaturą polską, pasjonowali go szczególnie Witkacy, Gombrowicz i Schulz. Inwazja w sierpniu 1968 roku zastała go w Pradze, po powrocie napisał o niej serię gwałtownych artykułów w tygodniku *Espresso*. Odtąd władze sowieckie odmawiały mu systematycznie wizy na wyjazdy naukowe do ZSSR. ■ W Galerie Maison Bleue w Honfleur (Francja) została otwarta wystawa „Poésie et lumière” Ernesta Kosmowskiego, która będzie trwała do września bież. roku.

3-8-78

Zmarł w Madrycie, w wieku 77 lat, prof. dr Antoni Deryng, b. poseł na ostatni Sejm RP, wykładowca prawa na uniwersytecie w Madrycie. ■ W wydawnictwie Pygmalion w Paryżu ukazała się powieść Wacława Solskiego pt. „Le bourreau et son maître” (tytuł polski „Władza”).

6-8-78

O godz. 21.40 zmarł niespodziewanie papież Paweł VI-ty. Do czasu zwołania O. godz. 21.40 zmarł niespodziewanie papież Paweł VI-ty. Do czasu zwołania *conclave* i wyboru nowego papieża rządy sprawuje Święte Kolegium kardynałów, które administrację spraw bieżących powierzyło Sekretarzowi Stanu, kard. Jean Villot. *Conclave* zbierze się 25 bm., weźmie w nim udział 116 kardynałów ■ Sowiecki filozof Aleksander Zinowiew, autor głośnych książek „Przepastne wyżyny” i „Radosna przyszłość” (które ukazały się w języku rosyjskim i w języku francuskim w wydawnictwie L'Age d'Homme w Lozanie) przybył do Monachium. Będzie prowadził na tamtejszym uniwersytecie seminarium logiki w ciągu najbliższego roku akademickiego.

7-8-78

Staraniem Towarzystwa Przyjaciół Kultury w Sztokholmie odbył się odczyt Stefana Kisielewskiego na temat „Literatura i polityka w Polsce”.

28-8-78

21. 6. 1978 nastąpiło otwarcie IV-go Festiwalu d'Anjou, w którym wziął udział Jan Lebenstein wystawiając kilkanaście gwaszy. Wystawa prac J. Lebensteina została następnie przeniesiona do muzeum w Angers i trwała do dnia dzisiejszego.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W ostatnich latach polskie uczelnie nadały tytuły doktorów *honoris causa* szeregowi wybitnych naukowców amerykańskich polskiego pochodzenia. M.in. zostali doktorami *honoris causa*: prof. Jerzy Sława-Neyman z University of California w Berkeley, specjalista w dziedzinie rachunku prawdopodobieństwa; Antoni Zygmund, matematyk, profesor uniwersytetu w Chicago; Tadeusz Sendzimir, znany konstruktor — metalurg; Aleksander Rytel — honorowy prezes Związku Lekarzy Polskich w USA; kongresman Clement John Zablocki oraz przemysłowiec Edward Piszek. Wreszcie KUL nadał tytuł doktora *honoris causa* ks. kardynałowi Janowi Królowi. ■ Amerykańska firma Occidental Petroleum Corporation podpisała z rządem PRL umowę na dostawę rocznie miliona ton skały fosfatowej przez 20 lat w zamian za 500 tysięcy ton siarki. Ogólna wartość tej transakcji wynosi 1,3 miliarda dolarów. Umowa przewiduje również, że geologowie Occidental będą pomagać w poszukiwaniu złóż ropy naftowej w przybrzeżnym pasie Bałtyku i rudy żelaza w północno-wschodniej części Polski. Transakcja nie wiadomo czy bardzo poważna. ■ Na Konwencji Polskich Bibliotekarzy w Chicago był kiosk księgarni „Polonia” z książkami polskimi. ■ Po wieloletnich staraniach M. Mihajlov uzyskał paszport i na początku czerwca bież. roku przyjechał z Jugosławii w odwiedziny do matki i siostry w USA. Mihajlov wygłasza w Stanach szereg odczytów. Zamierza on wrócić do Europy w sierpniu bież. roku, a następnie do Jugosławii. ■ W University of Illinois w Chicago Circle wprowadzono nowy program studiów doktorskich z zakresu 5 języków i literatur słowiańskich. Dotyczy to literatury rosyjskiej, polskiej, serbo-chorwackiej, ukraińskiej i czeskiej. Program ma wejść w życie w roku akademickim 1979/80. Studia te będą przygotowywały również specjalistów z zakresu tzw. etniczności. Chodzi tu o znawców historii emigracji i kultury danego narodu. ■ 30 czerwca bież. roku zmarł w Nowym Jorku dr Tadeusz Siuta, docent Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, były redaktor *Dziennika Żołnierza Drugiego Korpusu*, współpracownik *Nowego Dziennika* w Nowym Jorku, członek zarządu Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce. ■ W Waszyngtonie mówi się, że podobno doskonały dwumiesięcznik *The Problems of Communism* ma ograniczyć swe zainteresowania Wschodnią Europą, a głównie zająć się trzecim światem. Ponadto ma być zredukowany z 6 do 4-ch numerów rocznie. ■ Central Connecticut State College w New Britain, Conn organizuje w semestrze jesiennym wykłady dotyczące polskiej kultury i cywilizacji, a w semestrze wiosennym wykłady dotyczące polskiej grupy etnicznej w Stanach Zjednoczonych. Udostępniona będzie biblioteka składająca się z 3.000 tomów, dotyczących kultury, cywilizacji i historii Polski, oraz wyświetlane będą polskie filmy. Z wykładów korzystać mogą również osoby niestudiujące w College. Szczegóły i informacje: Dr. Blejwas, 206 Di Lorete Hall, 1615, Stanley Str., New Britain, Conn. ■ Z redakcji nowojorskiego *Nowego Dziennika* odszedł Jan Wedow. Obecny skład redakcji przedstawia się następująco: Bolesław Wierzbiański — president, Ewa Czarnecka — Managing editor, Hieronim Wyszyński — Business Manager, Helena Szmunn — Associate Editor, Zbigniew Raciński — European Correspondent.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Od roku działa w Australii specjalny podkomitet Senatu Federalnego dla spraw przestrzegania praw człowieka w ZSSR. W jego skład wchodzi sześciu senatorów i członków izby niższej, w połowie z koalicji rządzącej, w połowie z opozycji. Podkomitet przesłuchiwał szereg świadków: zeznawali m.in. Aleksander Woronel, ks. Janis Smits, ks. Hugo M. Grivans, Leonid Pliuszcz; staraniem australijskich Ukraińców i Australijskiego Komitetu Obrony Praw Człowieka w ZSSR, sprowadzono również w charakterze świadka generała Grigorenko. Australijski Komitet współpracuje ściśle z podkomitetem Senatu. Dzięki interwencji Komitetu australijski Minister Spraw Zagranicznych potępił wyrok skazujący Orłowa. W Senacie padła propozycja bojkotu Olimpiady w Moskwie. Komitet Obrony Praw Człowieka w ZSSR wydał specjalne nalepki na samochody z napisem: *No Moscow Games Without Human Rights*. Cała ta dość szeroko rozgałęzioną działalność jest solą w oku Ambasady Sowieckiej, która wywiera naciski zmierzające do „unieszkodliwienia” podkomitetu Senatu.

KRONIKA KANADYJSKA

7. 6. br. została nadana po raz pierwszy doroczna nagroda im. śp. Juliusza Stachiewicza, profesora University McGill, otrzymał ją student wydziału inżynierii mechanicznej Robert D. Findley. ■ Dr Andrzej Kawczak został mianowany dziekanem wydziału filozofii University Concordia w Montrealu. Prof. Kawczak bierze czynny udział w życiu społecznym, m.in. jest członkiem zarządu Polskiego Instytutu Naukowego i Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich. ■ W dniu 15. 7. br. w Toronto zmarł po ciężkich cierpieniach inż. Zbigniew Szpikowski, od 1970 roku sekretarz Kongresu Polonii Kanadyjskiej, współorganizator Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich, przyjaciel Kultury, który wydajnie pomagał w organizowaniu pomocy dla opozycji w Kraju. Ukończył on Politechnikę Warszawską. W czasie okupacji był czynny w NSZ. Wydostał się z Kraju nielegalnie do Niemiec, skąd emigrował do Kanady, gdzie prowadził biuro inżynierskie. Był członkiem Stowarzyszenia Techników Polskich i Związku Narodowego Polskiego w Kanadzie.

Z OSTATNIEJ CHWILI

19-8-78

W kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej w podziemiach Bazyliki św. Piotra w Rzymie, kard. Wyszyński odprawił mszę św., po której wezwał obecnych do modlitwy „za naszych braci prześladowanych na Białorusi, Litwie, Łotwie i Ukrainie”. ■ W dn. 20 września kard. Wyszyński, kard. Wojtyła oraz biskupi Rubin, Stroba i Dąbrowski udadzą się do Niemiec Zachodnich gdzie wezmą udział w dwudniowej Konferencji Episkopatu niemieckiego w Fuldzie, potem odwiedzą kard. Höfnera w Kolonii, ponadto będą w Monachium, Dachau i w Moguncji. W czasie swego pobytu w RFN, który potrwa do 25 września, kard. Wyszyński odprawi mszę św. dla Polaków w Westfalii. Ponadto ma zwrócić się do narodu niemieckiego, co będzie transmitowane przez niemieckie stacje telewizyjne.

Humor krajowy

- Co to jest agresja?
— Jeśli jedno państwo napada na drugie bez zgody Związku Radzieckiego.

- Jaka jest różnica między Marksem a marksistą?
— Taka jak między Kantem a kanciarzami.

- Jak został podzielony spadek po Marksie?
— RFN ma Kapitał, a NRD Manifest komunistyczny.

- Jaka jest różnica pomiędzy kaczką zwykłą a dziennikarską?
— Na zwykłą woła się „taś, taś, taś”, a na dziennikarską — „TAS, TAS, TAS”.

W przedziale pociągu Warszawa - Terespol siedzą Rosjanin i Polak. Polak wyciąga z teczek kaszankę. — „Co to takiego?” — pyta Rosjanin. — „Nie wiecie? To całe szczęście, bo inaczej już bym tego nie jadł...”.

Wycieczka „Orbisu” w Leningradzie ogląda statek-muzeum „Aurorę”. — „Dlaczego przy słynnym dziale stoi wartownik?” — pyta ktoś starszego Rosjanina. — „Żeby znowu nie przyszło komuś do głowy wystrzelić”...

Czego gdzie nie wolno: W RFN wolno tylko to, co wolno; w Ameryce wolno wszystko oprócz tego, czego nie wolno; we Francji wolno nawet to, czego nie wolno, a w Związku Radzieckim nie wolno nawet tego, co wolno...

Podobno pomnik Mickiewicza ma stanąć w Poroninie obok pomnika Lenina. — ??? — Żeby obaj twórcy „dziadów” byli razem.

Grabarz wracając późnym popołudniem do domu przeprosza żonę, że spóźnił się na obiad. — Nie masz pojęcia co to był za dziwny pogrzeb! Ludzi tłum. Co spuścimy trumnę do dołu to wszyscy biją brawo i krzyczą bis! 6 razy żeśmy ją wpuszczali i wyciągali. Dlatego tak długo trwało.

— A kogóż to tak chowaliście dzisiaj? — Jaroszewicza — odpowiedział grabarz.

Młody chłopiec na skraju drogi klnie jak szewc usiłując bez skutku zapalić motocykl.

— Czego tak przeklinasz mój synu — zapytał zbliżając się do niego młody ksiądz.

— A no, bo ani rusz nie chce zapalić.

— Zamiast kląć, mój synu, pomódł się, poproś Pana Boga, a może cię wysłucha.

Chłopiec w rozpaczę złożył ręce do modlitwy i pomodlił się chwilę, po czym wskoczył na motocykl i kopnął starter. Starter zaskoczył natychmiast i uradowany chłopiec dodał gazu i pojechał.

— O, kurwa... — powiedział młody ksiądz patrząc za znikającym na zakręcie motocyklem...

Zebrała Zofia HERTZ

KSIĘGARNIA POLSKA
E. Neustein, P.O.B. 29443, Tel Aviv, Israel

oferuje książki antykwaryczne:

WIELKA ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA
13 tomów, wyd. PWN, Warszawa 1962-1969.
Cena dol. US 180.

WIELKA HISTORIA POWSZECHNA
11 tomów, wyd. Trzaska, Ewert, Michalski.
Warszawa 1935-1937
Cena dol. US 300.

Tadeusz Boy-Żeleński
P I S M A
26 tomów.
Cena dol. US 120.

Józef Piłsudski
P I S M A — MOWY — ROZKAZY
10 tomów, wyd. 1930-1936
Cena dol. US 360.
+ Porto — 10 %.

Listy do Redakcji

Waszyngton, 27 lipca 1978.

Drogi Panie Redaktorze,

W artykule pt. „Holocaust w telewizji amerykańskiej” w *Kulturze* Nr 6/369 z czerwca 1978 znajduje się następujące zdanie: „Sąd Polski Podziemnej, któremu przewodniczył Stefan Korboński i który z reguły szantażystów i denuncjatorów karał śmiercią, nie mógł, niestety, osiągnąć wszystkich przestępców”.

Pragnę sprostować, że nigdy nie byłem przewodniczącym sądu Polski Podziemnej, natomiast jako szef Kierownictwa Walki Cywilnej (KWC) organizowałem te sądy, gdyż Walka Cywilna obejmowała również podziemny wymiar sprawiedliwości. Każdy z tych sądów składał się z trzech sędziów i miał własnego przewodniczącego, z reguły zawodowego sędziego lub adwokata, a co najmniej prawnika. Reszta zacytowanego zdania jest zgodna z prawdą.

Przy okazji przyłączam się do opinii autora artykułu, że należy przypomnieć czytelnikom *Kultury* najważniejsze fakty świadczące o pomocy dla Ż.O.B. ze strony polskiej. Młodsze pokolenie tych czytelników niewiele o tym wie. Ale jeszcze więcej należy to mówić Żydom amerykańskim, którzy *Kulturę* nie czytają, a o tej pomocy nic nie wiedzą, gdyż są błędnie poinformowani. Temu celowi służyły moje dwa listy opublikowane przez najpoczytniejszy tygodnik Żydów amerykańskich *The Jewish Week* — *American Examiner*. W numerze z 23 października 1977 ogłosił on wszystkie dane dotyczące polskiej pomocy Żydom w ogóle, a Ż.O.B. w szczególności, jakie podałem. Pokrywają się one na ogół z tym, co mówi o tej pomocy wspomniany na wstępie artykuł w *Kulturze*. W numerach z 21 maja i 4 czerwca bieżącego roku ogłosił tenże tygodnik moje informacje, że do przeszło 300 Polaków względnie polskich rodzin nagrodzonych medalem *Yad Vashem* za ratowanie Żydów należy doliczyć 19 Polaków udekorowanych tym medalem w Warszawie przez delegację Izraela w czasie tegorocznych, kwietniowych obchodów 35 rocznicy Powstania w Getcie Warszawskim i że Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie ustalił do kwietnia 1968 nazwiska 343 Polaków zamordowanych przez hitlerowców za pomaganie Żydom i dalsze badania są w toku.

Wszystkie te dane zawiera także angielskie wydanie mojej książki pt. „Polskie Państwo Podziemne — przewodnik po podziemiu z lat 1939-1945” wydanej przez Pana w roku 1975. Właśnie ukazało się ono przed paru dniami na rynku amerykańskim pt. „The Polish Underground State — A G Guide to the Underground 1939-1945”, co Panu jako wydawcy powinno sprawić nie mniejszą przyjemność niż mnie, autorowi. Do rozdziału „Żydzi pod okupacją” jest dołączony spis wspomnianych rodaków odznaczonych medalem *Yad Vashem*, który otrzymałem swego czasu z Instytutu

Yad Vashem w Jerozolimie. W ten sposób nazwiska ich i fakt ilu ich było dotrą do amerykańskiego czytelnika i, mam nadzieję, wywołają odpowiednie wrażenie.

Ściskam mocno Pańską dłoń,

Stefan KORBONSKI

Rzym, 24 czerwca 1978.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

W czerwcowym numerze (Nr 6/369) *Kultury* ukazał się niepodpisany artykuł-notatka „Holocaust” w telewizji amerykańskiej, silnie krytykujący scenariusz telewizyjny programu napisanego przez Geralda Greena. Notatka w dość ostrych słowach oczekuje „od naszych żydowskich i polsko-żydowskich przyjaciół, pouczenia dla twórców 'Holocaustu' o najnowszych dziejach Europy”.

Idzie po prostu o nieprawdziwe przedstawienie zachowania się Polaków wobec Żydów w czasie okupacji. Ponieważ zaliczam siebie do tej drugiej kategorii przyjaciół, pragnę Pana powiadomić, że w dniu dzisiejszym wysłałem do P. Geralda Greena list w języku angielskim treści następującej (tłumaczenie moje):

Drogi Panie Green,

Pozwoli mi Pan, że zacznę od mojej własnej „statystyki życiowej”. Jestem obywatelem amerykańskim pochodzenia polsko-żydowskiego. Straciłem w ciągu ostatniej wojny całą moją rodzinę w obozach koncentracyjnych i komorach gazowych a sam tylko cudem uszedłem śmierci. Studiuję „Holocaust” od wielu już lat.

Wszystko to, myślę, stanowi dostateczny dowód, że moją znajomość wypadków czerpię nie tylko z książek ale także z osobistych doświadczeń. Upiływ czasu, prawie lat czterdziestu, w niczym nie umniejszył mego bólu i smutku. Piszę o tym dlatego, że chciałbym podkreślić wagę i znaczenie jakie przywiązuję do tego listu.

Bezsprzecznie zasługuje Pan tylko na pochwały za podjęcie się napisania eposu o żydowskiej tragedii w ciągu ostatniej wojny. Było ważne i pilne przypomnieć starszej generacji i pouczyć młodszą o holokaucie. Ale dlaczego uważał Pan za właściwe włączyć w swój szlachetny wysiłek tyle przesądów, jeżeli nie nienawiści, przeciwko innemu narodowi, który także cierpiał pod nazistowskim jarzmem i w rezultacie utracił swą niepodległość? Mam na myśli naród polski. Czemu poświęcił Pan tyle czasu, miejsca i wysiłku, aby zaznaczyć się z wypadkami, które prowadziły do tragedii i w rezultacie ją spowodowały, ale zaniedbał Pan wnikięcia w historię stosunków polsko-żydowskich? Przecież kiedy tak zwane zachodnie cywilizowane narody wygnały Żydów ze swych krajów, to właśnie Polska ich przyjęła. Przecież przez wieki Polacy i Żydzi współmieszkali na ogół w pokoju i zgodzie. Przecież jeden z największych rabinów Mozesz Isserles z Krakowa pisał czterysta lat temu: „Gdyby Bóg nie dał nam tej ziemi na schronienie, los Izraela byłby nie do zniesienia”. Przecież w czasie powstań XIX-go i XX-go wieków przeciwko wspólnemu wrogowi, Polacy i Żydzi walczyli ramię w ramię a w naszym stuleciu znowu walczyli wspólnie o polską niepodległość.

A jak sprawa przedstawiała się w czasach nam współczesnych? Nie-

zliczoną ilość razy pisałem o przejawach antysemityzmu w przedwojennej Polsce i o antysemitach w czasie okupacji. Nie zamierzam również w tym liście zaprzeczać ich istnienia. Wiemy dobrze o hienach, jak ich współpracownicy nazywali, o szantażystach, denuncjantach, oszustach, szpiegach, kolaborantach, którzy działali w czasie okupacji. Wiemy również o wielu takich, którzy może pod wpływem uzasadnionego strachu, nie potrafili wznieść się ponad mentalność przeciętnego zjadacza chleba. Ale były także tysiące tych, którzy ryzykowali własne życie, aby ocalić życie żydowskie. Wiele można przytoczyć przykładów. Za jeden z nich służyć może działalność Rady Pomocy Żydom, lepiej znanej pod kryptonimem ŻEGOTA, która miała 12 oddziałów w różnych miastach Polski. Wpłacała miesięczne zasiłki wielu Żydom, dostarczała bezpłatnie wszelkiego rodzaju fałszywych dokumentów-kart tożsamości, świadectw chrztu, ślubu i innych. Nie jestem pewien czy odwiedzał Pan Yad Vashem w Jerozolimie. Jeśli tak, to niewątpliwie widział Pan tam szereg drzew posadzonych w „Alei Sprawiedliwych” dla uczczenia Polaków, którzy ratowali Żydów.

Na tle tych z lotu ptaka przedstawionych wydarzeń rażąco błędy w Pana poglądach, są bardziej jeszcze widoczne. Ponieważ mieszkam w Rzymie, nie widziałem programu telewizyjnego ale czytałem Pana 400-stronicową książkę o holokauście. Jest prawdopodobne, że mi Pan zarzuci, iż trudno jest oceniać program, którego się nie widziało. Ale zapewniam Pana, że na podstawie książki i wielkiej liczby wywiadów i rozmów, które prowadziłem z tymi, którzy program widzieli, mam właściwy obraz całego scenariusza. Wiem na przykład z pewnością, że w programie żołnierze w polskich mundurach z polskimi orzełkami na czapkach, współpracując z SS, zabijają Żydów w getcie. Miał Pan, Panie Green, w rękach delikatny instrument-audycję oglądaną przez 120 milionów ludzi a mimo to nie sprawdził Pan uprzednio wszystkich faktów. Polscy żołnierze byli wrogami nazistów a przedstawieni przez Pana żołnierze w polskich mundurach po prostu nie istnieli w czasie okupacji.

Podobnie pisze Pan w swej książce: „Ładne to okoliczności dla Żydów na spotkanie, na brudnej drodze w Polsce. Oni nie znaczą dróg kilometrami ale antysemitami”. Nie jest to ani bardzo śmieszne ani dowcipne. Te „brudne drogi” były raczej znaczone polską — i żydowską krwią, przelana przez przesładowanych, którzy stawiali opór wspólnemu wrogowi. Podobne „komentarze” można znaleźć na innych stronicach książki (str. 74). Nie wyjaśniają one niczego i tylko zaciemniają tok opowiadania.

Nie myślę, że proponuję zbyt wiele a mianowicie, aby usunął Pan obraźliwe zdania z przyszłych wydań „Holocaustu”.

Będę rad jeżeli odpowie Pan na ten list.

Z poważaniem,

Józef LICHTEN

Chicago, 20 lipca 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł sprawozdawczy „Polonia 78” p. Benedykta Heydenkorna w lipcowym numerze *Kultury* wymaga pewnych poprawek.

Przed wszystkim więc, relacjonując wypowiedzi delegatów na zebraniu komisji zagadnień polskich na temat rządu londyńskiego, oraz kwestii Lwowa i Wilna, p. Heydenkorn stwierdził, że „nie przeszkadzano mówcom w ich wypowiedziach, ale przewodniczący komisji, p. Łukomski, odmówił przyjęcia wniosku, że zjazd uznaje legalizm londyński”. Odmowa przyjęcia wniosku złożonego przez delegata na konferencję byłaby oczywiście sprzeczną z podstawowymi zasadami demokracji w życiu publicznym. I tak nie było.

Istotnie, wyraziłem mój pogląd, że sama debata nad wnioskiem zarówno

w komisji, jak i w razie jego przyjęcia przez komisję później na plenum, wywoła ostrą polemikę i może doprowadzić do rozbieżności konferencji. Legalizm i rząd londyński są instytucjami powojennej emigracji. Pojęcia te są jednak zupełnie obce środowiskom Polonii Amerykańskiej, a jak się okazało także Polonii Kanadyjskiej, których nasza emigracja jest procentowo niewielką tylko częścią. Jak najbardziej przy tym należy tutaj podkreślić fakt, w wielu środowiskach nie dostatecznie rozumiany, że Polonie Amerykańska i Kanadyjska składają się w ogromnej większości z *Amerykanów i Kanadyjczyków*, polskiego pochodzenia, często drugiego czy nawet trzeciego pokolenia. Emigracyjne partie, a tym bardziej wzajemne ich spory i rozgrywki są dla nich niezrozumiałe i nieistotne. Ponadto wiadomo przecież, że legalizm i rząd nawet wśród emigracji powojennej są przedmiotem ostrych sporów. W tej sytuacji wprowadzanie tej kontrowersji na forum polonijne jest samobójstwem; zwęża platformę działania z „polonijnej” na „emigracyjną”. Jakakolwiek natomiast efektywność emigracji wypływa z jej włączenia się w Polonie i działania z bazy Kongresów Polonii Amerykańskiej czy Kanadyjskiej, więc organizacji reprezentujących Amerykanów i Kanadyjczyków, obywateli tych krajów, polskiego pochodzenia — w tej kolejności.

Konferencja „Polonia 78” działała na zasadzie jednomyślności (*consensus*). Wymagało to koncentrowania się na tym co zróżniczkowane środowiska polonijne łączy, a unikania momentów dzielących i różniących. Jeżeli w tych trudnych warunkach konferencja była sukcesem, to przede wszystkim dlatego, że było powszechne zrozumienie, że łączące nas wszystkich zagadnienia działania w interesie narodu polskiego i najszerzej pomocy w jego walce przerastają wszystko co nas może dzielić.

Przekonanie o tym zdecydowało o losie wniosku o uznaniu legalizmu londyńskiego. Stanowisko moje poparło bardzo skutecznie dwóch działaczy Kongresu Polonii Amerykańskiej i Kongresu Polonii Kanadyjskiej, Władysław Stępień, wiceprezes zarządu głównego S.P.K. w Stanach Zjednoczonych, oraz Henryk Szymański, prezes okręgu Toronto Kongresu Polonii Kanadyjskiej, obaj członkowie emigracji powojennej i obaj z punktu widzenia osobistych zapatrywań — legalisci. W rezultacie wnioskodawca, p. Edward Dzierżek, prezes okręgu Niagara K.P.K., wniosek swój wycofał, nagrodzony oklaskami kilkudziesięciu członków komitetu i zgromadzonej publiczności.

Druga poprawka jest natury może technicznej, ale jednak istotna. Otóż w skład trzyosobowego zarządu, czy prezydium Rady Koordynacyjnej wchodzi nie „przedstawiciele” Kongresu Polonii Amerykańskiej, Kongresu Polonii Kanadyjskiej i Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, ale prezesi tych organizacji. Zapewnia to dużo większy autorytet prezydium, a co za tym idzie i Rady.

Obok licznego i zaangażowanego udziału w „Polonii 78” przedstawicieli młodszego pokolenia, powołanie Rady jako wyrazu światowej wspólnoty polonijnej stanowi pozytywny i ważny wynik torontońskiego zjazdu. Od doboru ludzi i ich wkładu myśli i pracy zależeć będzie treść jaką ta światowa wspólnota zostanie wypełniona.

Łącząc wyrazy szacunku i poważania,

Kazimierz ŁUKOMSKI

List do Redakcji

18 czerwca 1978.

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule Adama Kruczka „W sowieckiej prasie” (*Kultura* Nr 4, 1978) znajdujemy m.in. takie stwierdzenie: „Odznaczenie to zostało ustanowione w 1943 roku dla nagrodzenia dowódców armii, którzy przeprowadzili zwycięskie operacje wojenne o charakterze strategicznym. Nagrodzonych było bardzo mało. Zda się, że nikt z nich już teraz nie żyje. Jedynym posiadaczem Orderu Zwycięstwa stał się Breżniew”. Otóż, pozwolę sobie nieco rozszerzyć tę informację. Po pierwsze, nagrodzonych było, jak na takie zaszczytne odznaczenie, wcale nie mało — 16 osób. Po drugie, kilku kawalerów Orderu Zwycięstwa nadal żyje, co pozbawia automatycznie Breżniewa wyłączności w tym zakresie.

Order Zwycięstwa był ustanowiony 8 listopada 1943 roku i od tego czasu 11 radzieckich dowódców wojskowych otrzymało ten niezwykle cenny order zawierający 16 karatów brylantów: Stalin, Żukow, Wasilewski (wszyscy dwukrotnie), oraz Koniew, Rokossowski, Malinowski, Tołbuchin, Goworow, Antonow, Timoszenko, Mierieckow.

Order ten został przyznany też 5-ciu cudzoziemcom: Tito, Roli-Żymierskiemu (1), Eisenhowerowi, Montgomery'emu i królowi rumuńskiemu Michałowi I.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku,

E. SZTEIN

Londyn, 18 lipca 1978.

Szanowny Panie Redaktorze,

W ostatnim, podwójnym numerze *Kultury* znalazła się notatka „Z ostatniej chwili”, będąca przedrukiem z *Tygodnia Polskiego* i dotycząca Walnego Zebrania Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. W notatce *Tygodnia Polskiego* znalazł się błąd, który już został sprostowany w tymże piśmie poniższym listem:

„W obszernym i przychylnym artykule „Obserwatora” w *Tygodniu Polskim* o Walnym Zebraniu Związku Pisarzy znalazł się jeden paragraf, który polega na nieporozumieniu i który pragniemy sprostować.

Dyskusja dotycząca uchwalonej w roku ubiegłym nagrody wydawniczej im. Juliusza Słowackiego, której nie udało się zrealizować, dotyczyła osób a nie instytucji zasłużonych w zakresie wydawania książek polskich na emigracji, taki bowiem był tenor tej uchwały.

Nikt z zebranych nie wyraził opinii, że tylko Instytut Literacki wydaje obecnie książki z własnego wyboru i z własnych funduszy. Opinia taka byłaby krzywdząca dla innych firm wydawniczych.

Z wyrazami poważania,

Ks. Jerzy MIREWICZ, T.J. — przewodniczący zebrania,
Antoni POSPIESZALSKI — asesor”.

Z wyrazami szacunku i pamięci,

Za Zarząd Związku Pisarzy
(—) Józef CARLIŃSKI — prezes

LIST OTWARTY*

Kolonia, 15 czerwca 1978 r.

Wielmożny Pan
Jerzy Rozwadowski
„Związkowiec”
1638 Bloor Street West
Toronto, Ont., M6P 1A7

Szanowny Panie Redaktorze!

Od kilku lat współpracowałem z Pańskim piśmem, sądząc, na podstawie jego linii redakcyjnej, że stara się ono rzetelnie reprezentować interesy polskiej grupy etnicznej w Kanadzie. Ja również, w miarę swych skromnych możliwości, staram się tym interesom służyć. Wydawało mi się więc — choć nie ze wszystkim, co publikował *Związkowiec* mogłem się zgadzać — że to co nas łączy jest ważniejsze od tego co dzieli.

Od kilku miesięcy publikacja moich materiałów natrafiała jednak na ustawiczne trudności. Zapytany o przyczynę, wyjaśnił mi Pan w liście z 5 maja br. że „tematyka ich jest niezwykle ostra”. Dodając zaraz potem: „Proszę, broń Boże nie sądzić, bym nie był podobnego w tym zakresie zdania jak Pan” — tłumaczył Pan dalej, że *Związkowiec* jest organem Związku, ten zaś Związek ma Biuro Podróży „które się rzeczy musi utrzymać łączność z władzami konsularnymi PRL”. Konkluzja Pańska brzmiała: „Zbyt nie więc naskakiwanie na reżym nie jest w tych warunkach wskazane i musimy się z tym liczyć”.

Uważam za właściwe podanie tych zdań do wiadomości publicznej, ponieważ dotyczą one publicznej, czy raczej społecznej sprawy: postawy polskiego piśma — ukazującego się w wolnym kraju. Nie popełnił chyba nadużycia, wyciągając taki oto wniosek: dla taktycznych korzyści i dobrych stosunków z przedstawicielami reżymu czasopismo to zamierza chować pod korcem własne poglądy i „podobne w tym zakresie zdania”, szukając formuł miłszych komunistycznemu oku. Reżym warszawski, mający na własnym terenie kłopoty z niezależną, naprawdę polską prasą opozycyjną, której nie potrafi nałożyć kagańca — odnosi w ten sposób paradoksalny i jakże smutny sukces za oceanem, dokąd łapa komunistów jeszcze, chwala Bogu, nie sięga, ale gdzie mimo to, okazuje się, dociera ich cenzura.

Może przesadzam? Chciałbym, ale w przekonaniu, że słowa użyte w Pańskim liście bardzo wiele znaczą, utwierdzają mnie fakty publikacyjne. W numerze z dnia 24 kwietnia br. opublikował Pan artykuł „Ohydny paszkwil”, którego autor, podpisany jako „P. Żegota” broniąc dobrego imienia Polaków, narażonego na szwank w filmie „Holocaust” powołuje na świadka nie kogo innego, lecz Ryszarda Gontarza, jednego z najbardziej znienawidzonych reżymowych dziennikarzy. Artykuł Gontarza, z którego wynika — oczywiście! — że to Żydzi byli winni eksterminacji Żydów, ponieważ założyli własne... Gestapo i mordowali się nawzajem — pochodzi z 29 marca 1968 roku, a więc z kulminacyjnego momentu haniebnej antysemickiej

* Redakcja *Związkowca* listu nie zamieściła i całą sprawę pominęła milczeniem. Jediną reakcją było natychmiastowe wstrzymanie wysyłki piśma. W związku z tym p. Chłedecki zwrócił się do redakcji *Kultury* z prośbą o opublikowanie niniejszego listu. — Red.

nagonki, rozpetanej przez władze gomułkowsko-moczarowskie. Ładnego „specjalistę” wybrał Pan sobie, wraz z panem „Zegotą”; prościej jednak byłoby, bo z pierwszej ręki, zacytować Streichera czy Rosenberga!

Po takim początku nie zdziwił mnie już „List do polskich Żydów” Juliana Wielgosza (10. 5. 1978 r.), którego autor, rzekomo z pozycji „patriotyzmu”, i roniąc obłudne łezki, stara się dowieść, że Żydzi polscy od wieków nie chcieli mieć i nie mieli z Polską nic wspólnego.

A więc — już nie tylko, że nie „zbyt naskakiwanie na reżym”, ale podejmowanie, w najgorszym duchu tego reżymu, antysemickich kampanii, które w samej Polsce przyczyniły, ponieważ okazały się zbyt kompromitujące — oto co zaczyna określać politykę redakcyjną *Związkowca*. Zdecydował się Pan jak z tego widać, „utrzymywać łączność” nie tylko „z władzami konsularnymi”, ale z najgorszymi, totalitarno-pogromowymi tradycjami peerelowskiej propagandy. I to z pozycji rzekomo „patriotycznych”.

Mam nadzieję, że czytelnicy *Związkowca* potrafią to właściwie ocenić. Co do mnie, to wszelką dalszą współpracę z tak redagowanym pismem uważam za niemożliwą, i podaję to niniejszym do publicznej wiadomości.

Z poważaniem,

Andrzej J. CHILECKI

NOWOŚĆ

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 296 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY PIĄTY

Zawiera m.in. prace: G. Jaworowskiego — *Nieznana relacja o grobach katyńskich*; A. Zielińskiego: *Korespondencja z Jerzym Stempowskim*; Ks. inf. T. Skalskiego: *Garstka wspomnień z mego życia (I)*; M. Krzepkowskiego — *Wspomnienia dziennikarza z czasów okupacji (Wilno 1939-1941)*; *Historyczne wywiady sprzed 40-tu laty* (prof. Olgierd Górka, poseł Z. Dreszer); Z. S. Siemaszki — *Stanisław Szabunia*; *„Nothing but Honour” J. K. Zawodnego* (Zbigniewa recenzy: Jan Ciechanowski, St. Korboński, Jan Nowak, Andrzej Pomian); RECENZJE, POLEMIKI, LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 35,00.

Dokumenty

164-ta plenarna Konferencja Episkopatu Polski, obradująca w Warszawie w dniu 15 czerwca br., wystosowała list do duchowieństwa zakazujący współpracy i przynależności do Zrzeszenia Katolików „Caritas” i do Funduszu Emerytalnego dla duchownych. List został podpisany przez kardynałów, arcybiskupów i biskupów obecnych na Konferencji.

Do listu dodano załącznik pt. „Niektóre uwagi z historii i działalności Zrzeszenia Katolików „Caritas”, który podajemy w całości.

NIEKTÓRE UWAGI Z HISTORII I DZIAŁALNOŚCI ZRZESZENIA KATOLIKÓW „CARITAS”

1. Wiele światła na działalność Zrzeszenia Katolików „Caritas” rzucają kulisy jego powstania i historia tej organizacji. Jak wiadomo, 23 stycznia 1950 roku, w okresie nazywanym przez prasę państwową mianem „okresu błędów i wypaczeń”, z pogwałceniem prawa, drogą decyzji administracyjnych, pod pretekstem nadużyć, odebrano Kościołowi Kościelny Związek „Caritas” i narzucono mu przez władze państwowe Tymczasowy Zarząd Przy-
musowy.

Episkopat Polski, pismem z dnia 30. I. 1950 r., skierowanym do Prezydenta RP, wniósł zdecydowany protest przeciw temu bezprawnemu aktowi. Protest ten nie odniósł skutku, ponieważ odebranie Kościołowi „Caritas” było jednym z aktów szerokiej akcji antykościelnej ówczesnych władz, zmierzających do wywar-
cia na Episkopat nacisku, do postawienia go w sytuacji przy-
musowej i osłabienia wewnętrznego Kościoła.

2. Na czele Zarządu Przymusowego, mianowanego przez władze państwowe, znaleźli się zorganizowani na krótko przed przejęciem „Caritas” tzw. „księża patrioci” i działacze świeckich organizacji katolików, które były wykorzystywane do walki z Kościołem, szczególnie w okresie stalinowskim.

Wszystkie agendy kościelnej „Caritas” zostały przejęte przez państwowy Zarząd Przymusowy, a później nowa organizacja pod nazwą Zrzeszenie Katolików, przejęła bezprawnie majątek ruchomy i nieruchomy zlikwidowanej kościelnej „Caritas”.

Kościół w Polsce utracił w ten sposób przeszło 1.000 instytucji wychowawczych i opiekuńczych, nie licząc innych placówek niesienia pomocy biednym i potrzebującym. Niezgódnie też z obyczajami i prawem przywłaszczono sobie nazwę kościelnego Związku „Caritas”. W Protokole Wspólnej Komisji Rządu RP i Episkopatu Polski z dnia 14. IV. 1950 r. wyraźnie zostało postanowione, że Kościelny Związek „Caritas” przekształca się w „Zrzeszenie Katolików dla niesienia pomocy biednym i potrzebującym”.

Przejęcie Kościelnego Związku „Caritas”, jak wyżej wspomniano, zostało połączone z gwałtowną kampanią polityczną przeciw Episkopatowi. I tak bezpośrednio po mianowaniu państwowego Zarządu Przymusowego, dnia 30. I. 1950 r. odbyła się w auli głównej Politechniki Warszawskiej tzw. Krajowa Narada Zrzeszenia „Caritas”, na której przemawiali: ówczesny premier i minister administracji publicznej, a także niektórzy księża, których skłoniono do atakowania biskupów. W tym okresie nie było prawie zjazdu politycznego, na którym Kościół i Episkopat nie byłyby przedmiotem gwałtownych ataków, pozbawionych uzasadnienia rzeczowego. Było rzeczą przerażającą dla społeczeństwa, że do tego celu użyto właśnie zastrzonego w Kościele Związku „Caritas”. W niedługim czasie wyszło na jaw, że na zjazd w Politechnice przywożono księży najczęściej pod przymusem lub szantażem. Pozostaje jednak faktem, że nieliczni, całkowicie nieodpowiedzialni księża, posuwali się w swych przemówieniach do ataków na Episkopat równie gwałtownych i nieprzebiegających w słowach, jak nie licujących z godnością kapłańską. W związku z tym Episkopat Polski, specjalnym listem do Duchowieństwa z 30. I. 1950 r. zwrócił uwagę kapłanów i wezwał ich do czujności, a następnie zaprotestował wobec podjętej przeciw niemu kampanii.

3. Władze państwowe dobrze zdawały sobie sprawę, że stan faktyczny, wytworzony przez przejęcie Kościelnego Związku „Caritas”, pozostaje w sprzeczności z prawem, dlatego też dążyły, by w załącznikach do Porozumienia między przedstawicielami Rządu RP i Episkopatu Polski z dnia 14. IV. 1950 r. — podpisanego w trudnych i przymusowych warunkach — problem ten był uregulowany. Episkopat Polski, dla dobra pełnienia misji duszpasterskiej Kościoła, podjął w rozmowach nad Porozumieniem także problem zlikwidowanego Związku „Caritas”, nie rezygnując w żadnym oświadczeniu ani akcie ze swych roszczeń do odzyskania Kościelnego Związku „Caritas”. Nigdy też nie uznał państwowej instytucji „Caritas”, jako mającej prawo zastępowania Kościelnego Związku „Caritas” i kościelnej działalności dobroczynnej, wypływającej z zasad miłości chrześcijańskiej i stanowiącej niezbywalną dziedzicę misji religijnej Kościoła.

Episkopat, wychodząc z istniejącej sytuacji faktycznej, wyraził gotowość umożliwienia duchownym pracy w nowopowstałej instytucji pod nazwą Zrzeszenia Katolików dla niesienia pomocy biednym i potrzebującym, jednak pod warunkiem, że ich praca pójdzie po linii zasad obowiązujących w Kościele. Nie było więc mowy o jednorazowej i bezwarunkowej zgodzie władz kościelnych na pracę w Zrzeszeniu Katolików, ale ewentualność ta była uwarunkowana charytatywnym charakterem tej pracy i zasadami obowiązującymi w Kościele, a więc normami, których zachowywanie jest obowiązkiem wszystkich jego członków, a szczególnie duchowieństwa.

Obydwa te warunki nie zostały spełnione przez utworzone ostatecznie 13 września 1950 r. Zrzeszenia Katolików dla niesienia pomocy biednym i potrzebującym. Zrzeszenie to bowiem w coraz mniejszym stopniu zajmowało się działalnością charytatywną, a w coraz większym — polityczną. Doszło do tego, że z około 1.000 zakładów wychowawczych i opiekuńczych przejętych od Kościelnego Związku „Caritas”, Zrzeszenie Katolików utrzymało dotąd zaledwie około 200 zakładów i to przeznaczonych wyłącznie dla osób głęboko upośledzonych i starców. Wszystkie placówki wychowawcze, a szczególnie przedszkola, zostały przez Zrzeszenie Katolików utracone i *de facto* przestało ono zajmować się pracą charytatywną, prowadząc wyłącznie ograniczoną opiekę nad upośledzonymi w zakładach zamkniętych, finansowaną z funduszy państwowych. Nie można więc mówić o akcji charytatywnej Zrzeszenia, ani nawet o akcji zapomogowej, lecz o prowadzeniu z ramienia władz państwowych i za Państwowe fundusze małego wycinka opieki nad upośledzonymi i starcami.

4. Niestety, trzeba z całym naciskiem stwierdzić, że Zrzeszenie Katolików próbuje organizować księży, co jest sprzeczne z literą i duchem Porozumienia z 14. IV. 1950 r., jak i z zasadami obowiązującymi w Kościele. W latach 1950-1956 księża byli organizowani przeciw hierarchii w tzw. organizacjach „księży patriotów”. Organizacje te rozpadły się w okresie przełomu październikowego 1956 roku, kiedy to ustał nacisk aparatu administracyjnego na duchowieństwo. Nie minęły jednak dwa lata, a już ponownie dał o sobie znać nacisk zmierzający do rozbijania duchowieństwa polskiego i organizowania części księży przeciwko Episkopatowi.

Ponieważ dawne organizacje księży patriotów były w oczach opinii katolickiej skompromitowane, nie zdecydowano się na reaktywowanie żadnej z nich. Wobec tego w roku 1959 przystąpiono do organizowania tzw. Kół Księży przy Zrzeszeniu Katolików. Kół Księży były początkowo tylko dodatkiem do Zrzeszenia Katolików, którego zarząd i praca rzeczowa były organizowane osobno. Ponieważ jednak organizowanie Kół Księży napotykało na kategoryczne sprzeciwy Episkopatu, zrezygnowano formalnie z tego rodzaju zrzeszania duchowieństwa.

Jeśli Episkopat wyrażał warunkową zgodę na udział księży

w charytatywnej działalności Zrzeszenia Katolików, to nie może on godzić się na polityczną pracę księży w tym Zrzeszeniu pod zastłoną dymną pracy charytatywnej. Księża związani ze Zrzeszeniem Katolików nie prowadzą działalności charytatywnej i nie mają żadnego wpływu na kierunek działalności Zrzeszenia.

W związku z pogwałceniem przez Zrzeszenie Katolików zasady przyjętej w Protokole do Porozumienia z 1950 r., że księża będą pracować w Zrzeszeniu „zgodnie z zasadami oraz praktyką Kościoła Katolickiego”, przynależność duchownych do kół i terenowych oraz centralnych instancji Zrzeszenia, ma charakter z punktu widzenia zasad karności kościelnej — nielegalny. Dlatego Episkopat Polski jest zmuszony przestrzec duchowieństwo przed przynależnością do Zrzeszenia, podkreślając jednocześnie konsekwencje kanoniczne niezastosowania się do kategorycznego w tej sprawie stanowiska Episkopatu.

5. Zrzeszenie Katolików stało się narzędziem stałej dezinformacji opinii katolickiej w kraju i za granicą, co do sytuacji Kościoła i co do charakteru samego Zrzeszenia. Doszło do tego, że dezinformowani byli także przedstawiciele hierarchii Kościoła za granicą, a nawet przedstawiciele poszczególnych dykasterii Stolicy Apostolskiej. Było to możliwe tylko dlatego, że Zrzeszenie operuje w swoich publikacjach nazwą „Caritas”, nie ujawniając uczciwie, że nie ma ono nic wspólnego z Kościołem. Wiadomo bowiem, że nazwy „Caritas” używają wyłącznie organizacje kościelne. Zrzeszenie Katolików wykorzystuje praktycznie nazwę „Caritas” m.in. do akcji organizowania duchowieństwa i do szerokiej akcji propagandowej w Kraju i za granicą, mającej stwarzać pozory, że w Polsce, tak jak na całym świecie, „Caritas” działa normalnie.

Przeciętny czytelnik prasy polskiej lub odbiorca informacji za granicą uważa, że instytucja nosząca nazwę „Caritas” jest instytucją kościelną i skłonny jest dawać wiarę przedstawianemu przez nią obrazowi sytuacji Kościoła w naszym Kraju. Tymczasem Zrzeszenie Katolików nie jest ani instytucją kościelną, ani katolicką, nie ma bowiem żadnej łączności z Hierarchią. Samo Zrzeszenie nazywa siebie organizacją społeczną działającą w oparciu o przepisy prawa o stowarzyszeniach, podległą Urzędowi do Spraw Wyznań, finansowaną przez Państwo.

Fakt utraty przed 28 laty przez Kościół Związku „Caritas” dzisiaj nie jest na ogół znany, nawet wielu wybitnym osobistościom Hierarchii Kościelnej w świecie. Dlatego Zrzeszenie Katolików, używając nazwy „Caritas”, wprowadza w błąd opinię katolicką, a także osobistości kościelne, prezentując się jakoby było związane z Kościołem. Dlatego Episkopat był zmuszony wyraźnie podkreślić, że Zrzeszenie Katolików nie ma nic wspólnego z Kościołem, owszem, wbrew woli, a nawet mimo protestów Episkopatu, przywłaszczyło sobie bezprawnie nazwę „Caritas”. Pełniąc w stosunkowo wąskim zakresie funkcję opieki społecznej, jest instrumentem organizowania ruchu księży i ich politycznego zaangażowania.

6. Przejawem odejścia Zrzeszenia Katolików od pracy charytatywnej i skierowania się na rozbijanie zwartości szeregów duchowieństwa jest utworzenie z jego inspiracji tzw. Funduszu Emerytalnego dla Duchownych. Fundusz ten zmierza do egzystencjalnego uzależniania księży od instytucji państwowej, by ich potem tym łatwiej wykorzystywać w pracy politycznej i przeciwstawiać biskupom. Fundusz Emerytalny jest niezgodny z postanowieniami Zrzeszenia, ponieważ w myśl Protokołu do Porozumienia, Zrzeszenie jest instytucją przeznaczoną dla niesienia pomocy biednym i potrzebującym, nie zaś instytucją zabezpieczającą przyszłość księży.

Konferencja Plenarna Episkopatu Polski dnia 9. IX. 1976 r. stwierdziła w odniesieniu do Zrzeszenia Katolików, co następuje: „kapłani aktualnie pracujący w Zrzeszeniu nie posiadają zgody swych biskupów na zajmowanie stanowisk”, „Nie mają prawa reprezentować duchowieństwa i podejmować decyzji w jego sprawach bytowych”.

Episkopat stoi na stanowisku określonym w Porozumieniu z 14. IV. 1950 r. i w żadnym wypadku nie zgodzi się na pracę księży w Zrzeszeniu Katolików, na ich rozwijaną tam działalność nie mającą nic wspólnego z duszpasterstwem i posługą biednym, ani wreszcie na ich uzależnianie materialne od Funduszu Emerytalnego dla Duchownych. Utworzenie bowiem tego Funduszu miało na widoku cele polityczne. Jest to oczywiście szczególnie w kontekście unormowanych świadczeń emerytalnych dla kapłanów w diecezji. Episkopat zaprotestował przeciw utworzeniu Funduszu Emerytalnego przez Zrzeszenie Katolików i Zakład Ubezpieczeń Społecznych, uznając go za próbę rozbijania jedności Duchowieństwa przez uzależnianie materialne księży i dążenie do podporządkowywania ich organizacji pozakościelnej.

7. Kościół w Polsce nie może zmienić swego stanowiska wobec Zrzeszenia Katolików oraz Funduszu Emerytalnego dla Duchownych. Zrzeszenie w ten sposób księży jest sprzeczne z przepisami kanonicznymi, które zabraniają pozakościelnego organizowania duchowieństwa. Podobnie tworzenie międzydiecezjalnego Funduszu Emerytalnego dla Duchownych jest niezgodne z Prawem Kościelnym, wchodzi w kompetencję ordynariuszów diecezji, do których należy organizowanie opieki nad księżmi emerytami.

Przytaczając te okoliczności, Biskupi zwracają uwagę kapłanów, aby w wyniku nieświadomości co do historii i działalności Zrzeszenia Katolików, nie znaleźli się w sytuacji kolidującej z normami kanonicznymi, zasadami dyscypliny obowiązującej w Kościele i nadrzędną sprawą jedności Kościoła w Polsce. W obrobie jedności Duchowieństwa, Biskupi pozostaną niezłomni i nie dadzą się zastraszyć ani wrogą im kampanią, ani ubliżaniem przez Zrzeszenie Katolików w jego piśmie „Myśl Społeczna”, ani wreszcie jawnymi pogroźkami pod adresem Episkopatu Polski.

Demagogia prowadzona przez Zrzeszenie, w której obrona jedności duchowieństwa przez Episkopat jest przedstawiana jako łamanie sumień kapłańskich i praw ludzkich jest oczywistym

nieporozumieniem i świadczy najlepiej, że Zrzeszenie i Fundusz stawiają sobie cele polityczne, godzą w Hierarchię i w jedność duchowieństwa.

Działalność polityczna Zrzeszenia Katolików ma obecnie inne formy, niż to miało miejsce w okresie działalności tzw. „księży patriotów” za czasów stalinowskich. Wtedy bezpośrednio i brutalnie atakowano poszczególnych biskupów i cały Episkopat. Kiedy działalność tzw. „księży patriotów” skupiła się głównie wokół Zrzeszenia, najpierw zaniechano otwartych wystąpień przeciw biskupom i zjednywano księży pracą rzekomo społeczną, dbając zarazem o ich uzależnienie i proponując w tym celu możliwości wypoczynku w domach Zrzeszenia itp. Wyrazem nowych prób przekupywania księży, bez otwartego wciągania ich w konflikt z Episkopatem jest właśnie utworzenie tzw. Funduszu Emerytalnego dla Duchownych. Teraz, obok nowych, wymienionych wyżej, form działalności, Zrzeszenie Katolików w swoim organie *Myśl Społeczna* posuwa się także, zupełnie jak w okresie stalinowskim, do imiennego atakowania biskupów i pogrózek pod adresem Episkopatu.

Zrzeszenie Katolików usiłuje poza Episkopatem i z jego pominięciem, wywierać wpływ na duchowieństwo, wprzągać je do realizacji określonej polityki. Obecnie stało się to już oczywiste, ponieważ samo Zrzeszenie, chcąc wykazać się przed swymi protektorami działalnością polityczną wśród duchowieństwa, po prostu się do niej przyznaje we własnych dokumentach. I tak w sprawozdaniu na walnym zjeździe Zrzeszenia Katolików z 21. IX. 1976 r. ujawniono, że „w całym kraju działa 51 środowisk kół kapłańskich i 9 kół świeckich”. Uderza oczywiście dysproporcja między ilością kół kapłańskich i świeckich, z której wynika, że Zrzeszenie jest organizacją polityczną duchowieństwa. W kołach środowiskowych nie załatwia się spraw charytatywnych, ale indoktrynuje się księży w duchu popierania określonych celów politycznych.

8. Zrzeszenie utrzymuje, że nie miało nic wspólnego z przejęciem Kościelnego Związku „Caritas”, bo powstało dopiero po jego likwidacji. A jednocześnie to samo Zrzeszenie w art. 6 swego statutu przyznaje się do „wszelkiej własności ruchomej i nieruchomości, oraz praw majątkowych, jakie w dniu 28 stycznia 1950 r. znajdowały się z jakiego bądź tytułu w ręku organizacji kościelnej ‘Caritas’ oraz związanych z nią instytucji i zakładów”.

Kościół nigdy nie zrezygnował ze swego normalnego i prawnego tytułu do własności kościelnego związku „Caritas”.

Po zlikwidowaniu Kościelnego Związku „Caritas” na czele organizacji zwącej się „Zrzeszenie Katolików Caritas” stanęli prawie ci sami ludzie, którzy wchodzili w skład Zarządu Przymusowego, ludzie skompromitowani — i to zarówno z szeregów świeckich jak i duchownych. Wielu do dziś należy do tej organizacji. Historia ich osądzi.

Warszawa, dnia 15 czerwca 1978 r.

Gdańsk, dn. 30. 06. 78 r.

OŚWIADCZENIE

29 czerwca br. Sąd Rejonowy w Gdańsku na rozprawie rewizyjnej skazał Błażeja Wyszowskiego na dwa miesiące aresztu na podstawie art. 51 § 2 Kodeksu Wykroczeń.

28 maja br. został on zatrzymany przez funkcjonariuszy MO i SB, którzy wtargnęli do mieszkania Krzysztofa Wyszowskiego, gdzie miało odbyć się spotkanie z redakcją niezależnego pisma *Robotnik*.

Kolegium d/s Wykroczeń 30 maja br. skazało go w trybie przyspieszonym, nie dopuszczając obrońcy i świadków obrony. Od chwili zatrzymania Błażej Wyszowski na znak protestu przeciwko jaskrawemu bezprawiu podjął strajk głodowy, który zakończył po 33 dniach (solidaryzując się z jego protestem głodówkę podjęli również Krzysztof Wyszowski, Józef Sreniawski, Bogdan Borusewicz i Piotr Dyk).

Tym razem Sąd współpracując ze Służbą Bezpieczeństwa pogwałcił podstawowe zasady postępowania karnego nie wydając zgody na powołanie świadków obrony, a wyrok orzekł jedynie na podstawie sprzecznych i kłamliwych zeznań funkcjonariuszy MO i SB. Obrońcy powołując się na odpowiednie ustawy oraz na okoliczności sprawy, wykazali bezzasadność stawianych zarzutów i uprzedniego wyroku Kolegium.

Mimo to oskarżyciel publiczny żądał podwyższenia kary (!) do 3 miesięcy aresztu. Obrońcy jasno dowiedli, i to na podstawie zeznań milicjantów, że zachowanie Błażeja Wyszowskiego w żadnym wypadku nie wyczerpuje znamion zarzucanego mu czynu. Rzeczywistą przyczyną skazania jest jego postawa i aktywny udział w niezależnych inicjatywach społecznych. Błażej Wyszowski był współzałożycielem Studenckiego Komitetu Solidarności Wyższych Uczelni Trójmiasta. Po ukończeniu studiów i rozpoczęciu pracy został członkiem Komitetu założycielskiego Wolnych Związków Zawodowych. Obrońcy podkreślali jego godną szacunku postawę moralną. Przedstawione Sądowi dokumenty najzupełniej potwierdziły tę opinię. Przypomniano również przeszłość sportową Błażeja Wyszowskiego, który był wieloletnim członkiem kadry narodowej, mistrzem świata w żeglarskiej w 1966 roku oraz reprezentantem Polski na Olimpiadzie w Monachium.

Adwokat Siła-Nowicki wskazał na głęboką szkodliwość społeczną niesprawiedliwego wyroku i tendencyjnie prowadzonego przewodu sądowego. „Taki wyrok będzie kłamstwem i tak zostanie oceniony przez społeczeństwo”, „będą się ludzie śmiać z takiego wyroku” — powiedziano w mowie obrończej. Te słowa trafnie oddają powszechne odczucie. Po wysłuchaniu absurdalnego uzasadnienia wyroku, obecni na sali odśpiewali hymn Polski i odprowadzili skazanego skandując jego imię.

STUDENCKI KOMITET SOLIDARNOSCI WYŻSZYCH UCZELNI TRÓJMIASTA

Andrzej BUTKIEWICZ, Piotr DYK, Grzegorz PLISZKA,
Andrzej SŁOMIŃSKI, Anna MŁYNIK, Magdalena MODZELEWSKA.

W imieniu KOMITETU ZAŁOŻYCIELSKIEGO WOLNYCH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH:

Andrzej GWIAZDA, Gdańsk-Zabianka, ul. Wejhera 3c/118,
Krzysztof WYSZKOWSKI, Gdańsk-Zabianka, ul. Pomorska 14b/1,
Edwin MYSZK, Sopot, ul. Broniewskiego 1/5.

Codziennie o godzinie 17.00 w kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej w kościele Mariackim w Gdańsku odbywa się głośna modlitwa w intencji Błażeja Wyszowskiego i wszystkich prześladowanych za przekonania.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ KOR

Warszawa, 31 lipca 1978.

OŚWIADCZENIE

25 lipca 1978 roku przybyłem do kilku wsi na lubelszczyźnie (Kolonie Górne, Zalesie, Wólka, Górne, Kajetanówka, Klucz) komornikowi mieszkańcy tych miejscowości solidarnie odmówili zapłacenia składek emerytalnych i zmusili go do rezygnacji z wykonywania czynności egzekucyjnych. 26 lipca we wsiach tych powtórzyła się podobna sytuacja. 27 lipca ludność jednej ze wsi wywiozła komornika poza granice wioski. Tego samego dnia mieszkańcom wymienionych wyżej miejscowości doręczano masowe nieformalne wezwania do KMO w Milejowie. Przesłuchań nie protokolowano, polegały one bowiem głównie na pogrózkach. Na znak protestu przeciwko bezprawnym przesłuchaniom ludność kilku miejscowości podjęła decyzję przeprowadzenia jednodniowego strajku — przerwy w dostawie mleka. 23 lipca 1978 nie dostawili mleka chłopcy z Zalesia, Kajetanówki, Wólki Łanuchowskiej, części wsi Górne. 29 lipca zastrajkowały: Zalesie, pozostała część mieszkańców Górnego, Ostrówek, Klucz, Ciecchanki Łanuchowskie i Subercyn. 30 lipca we wsi Ostrówek odbyło się zebranie ponad 200 chłopów z kilkunastu wsi. Po kilkugodzinnej dyskusji uczestnicy zebrania uchwalili rezolucję postulującą rewizję ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym oraz udział rolników w podejmowaniu decyzji dotyczących polityki rolnej państwa. Zebranie powołało Tymczasowy Komitet Samoobrony Chłopskiej, w skład którego weszli chłopcy z 16 wsi. Komitet ten upoważniony został do prowadzenia rozmów z władzami i organizowania samoobrony przed ewentualnymi represjami. W zakończeniu rezolucji zgromadzeni wezwali chłopów w całej Polsce do tworzenia Komitetów samoobrony chłopskiej i przyłączenia się do ich akcji.

Wystąpienie chłopów lubelszczyzny nie mogło być zaskoczeniem dla władz. Odmowa płacenia składek emerytalnych przyjęła charakter masowy. Według danych z maja br. 240 tys. chłopów odmówiło płacenia składek. W związku z tym KSS KOR w swoim oświadczeniu z 19 czerwca 1978 roku określił politykę rolną PRL jako społecznie szkodliwą, a ustawę o zaopatrzeniu emerytalnym dla rolników, w jej obecnym brzmieniu, jako zagrożenie nowym konfliktem społecznym i kolejnym kryzysem gospodarczym. KSS KOR przestrzegał przed postępowaniem egzekucyjnym stanowiącym następstwo ustawy. Aby uniknąć nieobliczalnych skutków KSS KOR postulował wniesienie do ustawy określonych poprawek i uzupełnień. Postulaty te nie zostały wzięte pod uwagę. Władze przystąpiły do egzekwowania składek emerytalnych.

Podejmowanie tak drastycznych środków jest przejawem skrajnej nieodpowiedzialności, szczególnie gdy, jak dzieje się to w tym wypadku, ma to miejsce w okresie natężonych prac żniwnych. Rozwagę i dojrzałość obywatelską wykazali natomiast chłopcy, powołując własną, niezależną reprezentację upoważnioną do podjęcia dialogu z władzami, co jest jedyną drogą umożliwiającą rozładowanie napięć społecznych. Bronią swych praw, chłopcy bronią zarazem interesów całego społeczeństwa. Udział niezależnych przedstawicieli chłopów w podejmowaniu decyzji stanowi jedyną szansę przezwyciężenia kryzysu żywnościowego, wywołanego arbitralną polityką rolną. Dopóki polityka państwa będzie zmierzała do likwidacji indywidualnych gospodarstw chłopskich, a niezależne reprezentacje chłopskie nie staną się partnerem w kształtowaniu polityki rolnej, dopóty mieszkańcy miast pozbawieni będą należytego zaopatrzenia.

KSS KOR przekazuje wyrazy uznania, podziwu i solidarności chłopom z lubelszczyzny. Jesteśmy przekonani, że ich postawa jest świadectwem poczucia odpowiedzialności za los całego kraju w jego dzisiejszym trudnym położeniu, a ich inicjatywa stanowi wzór postępowania dla wszystkich chłopów w Polsce.

KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ KOR

RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA
I OBYWATELA
w Polsce

Biurowe
Warszawa, Czerniakowska 34/120
tel. 400-180

KOMUNIKAT BIURA PRASOWEGO

W dniu 10 czerwca 1978 w Zalesiu Górnym k/Warszawy odbyło się III Ogólnokrajowe Spotkanie uczestników RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA w Polsce. Wzięło w nim udział 58 osób z 15 miejscowości. Na spotkanie nie mogli przybyć działacze założycielskiego Komitetu Wolnych Związków Zawodowych, uczestnicy RUCHU OBRONY — Kazimierz Świtoń, przebywający od 6 czerwca w areszcie, oraz Roman Kściuczek, aresztowany 9 czerwca na 48 godzin.

Spotkanie, poprzedzone wspólną Mszą św., postanowiło m.in.:

1. Uznać utrzymywanie instytucji rzeczników RUCHU OBRONY za zbędne.

2. Zachować funkcjonujące od grudnia 1977 Biuro Prasowe RUCHU OBRONY. Biuro to, prowadzone przez Kazimierza Janusza, przekazywać będzie, jak dotychczas, jedynie informacje bieżące.

3. Powołać Radę Finansową RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA w Polsce, której celem będzie sprawowanie nadzoru nad środkami gromadzonymi na Społeczny Fundusz RUCHU OBRONY oraz nad ich prawidłowym wydatkowaniem. Radą Finansową stanowią:

Stefan Kaczorowski — Łódź, Bednarska 9, m. 114, tel. 45-220;

ks. Bohdan Papiernik — Łódź, ul. Św. Antoniego 4, tel. 51-31-17;

Marian Piłka — Lublin (adres stały: 08-406 Trąbki, woj. siedleckie);

Piotr Typiak — Warszawa, Łowicka 51/53, tel. 49-03-86;

Wojciech Ziemiński — Warszawa, Sady Żoliborskie 7a, m. 21,
tel. 37-71-46.

4. Przyjąć do aprobowanej wiadomości wydanie numeru 5 (13) OPINII przez Kolegium Redakcyjne w składzie: Andrzej Czuma, Kazimierz Janusz, Adam Wojciechowski, Wojciech Ziemiński — i zobligować wymienione osoby, aby czasopismo to wydawały regularnie nadal.

5. Zachować zasadę, że miesięcznik OPINIA jest pismem RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA.

6. Przyjąć zasadę, że uczestnicy RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA w Polsce nie będą wydawali żadnych tekstów niepodpisanych przez autorów, a także zalecić, aby bez zgody Ogólnokrajowego Spotkania nie powoływano nowych czasopism RUCHU OBRONY.

7. Udzielić wspomnianemu poparcia Komitetem Wolnych Związków Zawodowych oraz niezależnym inicjatywom środowisk wiejskich.

8. Poprzeć zainicjowany przez środowisko wrocławskie RUCH OBRONY.

NY Niezależny Zespół Współpracy Naukowej, którego koordynatorem jest dr Leszek Skonka (Wrocław, ul. Sądowa 10 m. 7, tel. 34-342).

9. Wyrazić gorące uznanie uczestnikom Światowego Spotkania Polonii w Toronto za zjednoczenie sił na rzecz Niepodległości Kraju.

10. Zlecić Biuru Prasowemu RUCHU OBRONY redakcję i wydanie w imieniu zebranych Oświadczenia w sprawie represji.

Komitet
WOLNYCH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH
w Katowicach

Katowice, 26 kwietnia 1978.

A P E L

Od trzydziestu lat robotnicy i pracownicy w PRL nie posiadają własnej reprezentacji zawodowej, wyłonionej przez nich samych i broniącej ich interesów. Kierowane przez rządzącą partię (PZPR) związki zawodowe, na czele których stoją ludzie wyznaczeni przez biurokrację partyjno-administracyjną, w bardzo ograniczonym stopniu bronią interesów pracowników, głównie wysiłkiem skupiając na działaniach zmierzających do wzrostu wydajności pracy, podnoszenia norm i uzasadniania niskich zarobków. W sytuacjach najbardziej krytycznych, jak w czerwcu 1956 i w grudniu 1970 gdy wojsko i policja dokonały krwawej masakry robotników, a także w czerwcu 1976, gdy władze policyjne brutalnie rozprawiły się z uczestnikami strajków i demonstracji robotniczych — rządowe związki zawodowe stanęły po stronie władz — przeciw robotnikom.

Konieczność powołania Wolnych Związków Zawodowych, niezależnych od administracji i działających jedynie w obronie interesów pracowników, dawno już stała się w Polsce oczywista. Dlatego postanowiliśmy podjąć w tym zakresie inicjatywę. 23 lutego 1978 utworzony został w Katowicach pierwszy w PRL Komitet Wolnych Związków Zawodowych, w skład którego weszli: Bolesław Cygan, Roman Kściuczek, Władysław Sulecki i Kazimierz Świtoń.

Władze przystąpiły do natychmiastowej kontrakcji. Za nieważny świsstek papieru uznano postanowienia Konstytucji PRL, przynajmniej obywatelom prawo do zrzeszania się i odpowiednie postanowienia Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka. Już 23 lutego 1978 zatrzymany został przez Służbę Bezpieczeństwa Roman Kściuczek. Od tej pory mnożą się zatrzymywania członków Komitetu WZZ, wzywanie na nieformalne, wielogodzinne przesłuchiwania, szykany w pracy, kolportowanie wszelkiego rodzaju insynuacji, rewizje domowe, najścia bojówek złożonych z funkcjonariuszy udających robotników. Trwa nieprzerwana inwigilacja, tajni agenci śledzą każdy krok członków Komitetu WZZ. Kazimierz Świtoń bezprawną decyzją pozbawiony został możliwości uprawiania zawodu.

Bezprzykładną, nieprzerwaną presją i szykanami władze PRL zmierzają do zmuszenia członków Komitetu WZZ, aby wycofali się z działalności przy tworzeniu Wolnych Związków Zawodowych. Oficerowie SB grożą wprost, że jeśli nie wycofamy się publicznie, zostaniemy zniszczeni. Nie mogą jednak doprowadzić do tego, władze PRL starają się na drodze ponawiających się uwieżeń i wzywań na przesłuchania członków Komitetu WZZ doprowadzić do tego, iż utraci on możliwość prowadzenia jakiejkolwiek działalności.

Mimo wszystkich szykan i represji, wytrwamy i będziemy rozwijać Wolne Związki Zawodowe w Polsce. Apelujemy jednak do Związków Zawodowych całego świata, aby dały wyraz solidarności z odradzającym się ruchem związkowym w Polsce. Wierzymy głęboko, że solidarność robotników wszystkich

krajów znajdzie praktyczny wyraz w pomocy moralnej dla występujących w obronie swoich praw robotników w Polsce. Od tej pomocy — od poparcia dla Wolnych Związków Zawodowych w PRL bardzo wiele zależy.

Komitet
WOLNYCH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH
w Katowicach.

Bolesław CYGAN, Zdzisław MNICH, Jan ŚWITOŃ,
Roman KŚCIUCZEK, Władysław SULECKI, Kazimierz ŚWITOŃ

TYMCZASOWY KOMITET SAMOOBRONY CHŁOPSKIEJ

Zalesie, 10. 8. 1978.

OŚWIADCZENIE

30 lipca chłopci z naszego regionu powołali Tymczasowy Komitet Samoobrony Chłopskiej i uchwalili rezolucję, którą przestali między innymi do Sejmu PRL i Rady Państwa. Dwuosobowe zebranie stwierdziło rezolucją, że pochwała strajk rolny jako metodę samoobrony chłopskiej przed nierównym i niesprawiedliwym działaniem władz. Rezolucja wzywa władze do wycofania z naszego terenu komorników i ubowców. Władze, pod naciskiem naszego strajku, wycofały komorników. Nie wycofały jednak policji politycznej, która m.in. w Milejowie założyła swój sztab, z którego dyryguje postępowaniem administracji. Administracja ta próbuje rozbić naszą jedność i solidarność przez stosowanie indywidualnych nacisków. Taki nacisk wywierany jest obecnie na chłopo-robotników, kiedy grozi się im wyrzuceniem z pracy za niezapłacenie składek emerytalnych. Postępowanie takie jest bezprawne.

Rezolucję wysłaliśmy do władz centralnych, a nie do naczelnika gminy czy prezesa GS. Odpowiedzi więc żądamy od władz centralnych. Jako wyborcy zobowiązujemy Sejm do zajęcia ponownego stanowiska względem ustawy emerytalnej, a przede wszystkim wobec polityki rolnej państwa i społecznego położenia chłopca.

Administracja terenowa udowadnia swoim postępowaniem, że nie respektuje żadnych naszych praw. Na ponad dwuosobowym zebraniu uchwaliliśmy jednogłośnie, że składek emerytalnych w obecnej formie nie będziemy płacić. Ustaliliśmy też, że indywidualnie nie będziemy rozmawiać z władzami, gdyż do takich rozmów powołaliśmy swą niezależną reprezentację. Tymczasem administracja sterowana przez policję uchwala naszych nie szanuje, stosuje naciski indywidualne a nie chce prowadzić żadnych rozmów z Komitetem. Rzeczą administracji opłacanej z naszych podatków winno być m.in. wspieranie nas w naszej trudnej pracy na roli, organizowanie zaopatrzenia wsi w żywność, maszyny, ich części, opał, sprawnego działania skupów itp. W żadnym jednak wypadku administracja nie może być narzędziem służby bezpieczeństwa w akcjach przeciwko chłopom. Niniejszym przestrzegamy władze, że jeśli w najbliższym czasie nie zostaną zaprzestane szykany wobec niepłacących składek emerytalnych i działających w Komitecie, podejmiemy strajk rolny przez nieodstawianie żywności i zboża. W przypadku zaistnienia takiego strajku zwrócimy się do robotników z większych ośrodków przemysłowych, aby bezpośrednio u nas kupowali mięso, z pominięciem handlu państwowego.

T.K.S.Ch.

KSS „KOR”

Sierpień 1978.

KARTA 77 — CZECHOSŁOWACJA KSS „KOR” — POLSKA OŚWIADCZENIE

Minęło 10 lat od dnia, w którym wojska pięciu państw Układu Warszawskiego zajęły Czechosłowację, aby zdławić dążenia jej narodu do wolności. Zahamowano wówczas proces demokratyzacji CSR, nadzieję całej demokratycznej Europy. W imię humanistycznych wartości społeczeństwo Czechosłowacji stworzyło alternatywę systemu totalitarnego. W tym samym roku siłą zdławiono ruch wolnościowy polskiej inteligencji.

Minione 10 lat jasno wykazały — wbrew wszystkim rzecznikom antydemokratycznego ładu i narodowej niesuwerenności — żywotność idei Praskiej Wiosny i demokratycznych ruchów społeczeństwa polskiego. Za wierność tym ideom wielu naszych współobywateli zapłaciło i płaci nadal wysoką cenę: odsunięciem od życia publicznego, utratą pracy lub wolności, a czasem nawet życia.

Ciągle represje stały się również udziałem naszych przyjaciół, którzy walczą i cierpią za te same cele w ZSRR i innych krajach.

W dniach 10-tej rocznicy wydarzeń 1968 roku — zbratani w obronie prawdy, praw ludzkich i obywatelskich, demokracji, sprawiedliwości społecznej i niepodległości narodowej — deklarujemy wspólną wolę dochowania wierności tym ideałom i działania w ich duchu. Niezbywalna godność ludzka jako wartość, która nadaje sens życiu jednostek i narodów, jest źródłem wszystkich naszych dążeń i działań. Jest to głębokie uczucie solidarności z wieloma przyjaciółmi na świecie, którzy wyznają te same ideały.

KOMITET SAMOPOMOCY SPOŁECZNEJ „KOR” — POLSKA KARTA 77 — CZECHOSŁOWACJA

KSS „KOR”

KOMUNIKAT

W sierpniu 1978 roku na granicy polsko-czechosłowackiej spotkali się przedstawiciele KSS „KOR” z Polski i Karty 77 z Czechosłowacji. Przekazali sobie wzajemnie informacje o działalności, porozumieli się w sprawie wspólnego oświadczenia z okazji 10-tej rocznicy wydarzeń w Czechosłowacji i w Polsce w 1968 roku oraz omówili formy współpracy.

POSTĘPUJĄCA LIKWIDACJA SZKOLNICTWA UKRAIŃSKIEGO W POLSCE

Troską społeczeństwa polskiego jest dążenie do zachowania dla Polski w tradycjach kultury i języka ojczystego naszych braci mieszkających poza granicami ojczyzny. Dlatego z uwagą śledzimy możliwości polskiego szkol-

nictwa i działalność organizacji polonijnych w wielu krajach świata.

Szczególnie niepokoi los szkolnictwa polskiego w Republikach Radzieckich, a także brak jakichkolwiek możliwości działania organizacji polonijnych w ZSRR. Kilkumilionowa rzesza obywateli Związku Radzieckiego pochodzenia polskiego jest skazana na systematyczne wynaradawianie przy cichej aprobacie władz PRL.

Mniejszości narodowe w Polsce mają tzw. „Towarzystwa Kulturalno-Oświatowe”. Te same władze, przy całkowitej obojętności na los Polaków w ZSRR czy w Czechosłowacji, starają się coraz bardziej ograniczać możliwości swobodnej pracy organizacji mniejszości narodowych w Polsce. Szczególnie drastycznie widać to na przykładzie ukraińskich placówek kulturalnych i oświatowych.

Po roku 1956 ludność ukraińska wysiedlona ze swoich miejsc zamieszkania do zachodnich i północnych regionów Polski miała możliwość uzyskania skromnych szans rozwoju szkół ukraińskich, ukraińskich placówek kulturalnych, czy chociażby nauki języka ukraińskiego w szkołach polskich. Szanse te były jednak stopniowo ograniczane i likwidowane. Szczególnie niepokojąca sytuacja wytworzyła się w ostatnich latach. Organizowanie tzw. „Szkół Zbiorecznych” dało okazję do likwidacji ukraińskich szkół wiejskich. Szkoły gminne z reguły nie podejmują nauki języka ukraińskiego, a rodzice zastraszeni przez władze, i — niestety — często także przez sąsiadów, boją się upominać o lekcje języka ukraińskiego w szkołach gminnych.

Taka sytuacja doprowadziła nie tylko do likwidacji ukraińskich liceów pedagogicznych, które do niedawna kształciły nauczycieli języka, ale do likwidacji etatów instruktorów w pracach kulturalno-oświatowych w klubach Towarzystwa Kulturalnego Ukraińców w Polsce. Kluby te zamierają. Starsi wiekiem, zajęci pracą zarobkową lub prowadzeniem własnego gospodarstwa, nie mają często możliwości właściwego prowadzenia pracy kulturalno-oświatowej.

Taka polityka władz, mająca wyraźnie na celu wynaradawianie młodzieży ukraińskiej, budzi zrozumiałe oburzenie i rozgoryczenie Ukraińców w Polsce. Ponieważ nie jest nam obojętny los Polaków na Ukrainie — pamiętajmy, że nie jest również Ukraińcom obojętny los ich braci w Polsce.

Stosunki między naszymi narodami powinny się układać nie na zasadzie zadawaniowych nienawiści i wzajemnej wrogości. Nasza troska o szkołę polską we Lwowie czy w Kijowie, chociaż bez szans na zaspokojenie, tylko wtedy będzie szczerą i sensowną, jeżeli równocześnie starać się będziemy o umożliwienie Ukraińcom w Polsce pielęgnowania ich tradycji, kultury i języka.

Bezmyślny nacjonalizm to najgorszy wróg naszych narodów. Wskutek między innymi podsyłania wzajemnej wrogości Polaków i Ukraińców oba narody dostały się w jarzmo niewoli. Szowinizm narodowy uprawiany przez kogokolwiek prowadzi zawsze w naszych warunkach geopolitycznych do pogłębienia zależności od imperializmów obecnych w różnej formie w tej części Europy.

CZYTELNIK

SPOTKANIA Nr 4, Lublin, lipiec 1978.

(Dalszy ciąg Wpłaty ze str. 2-giej)

WPLATY NA ROPCio

Beziemiennie, Oslo	F. 80,00
Tadeusz Błażejowski, Waterbury, Conn. (USA)	F. 48,00
Tadeusz Brzostek, Paryż	F. 100,00
Janusz Gliński, Chicago, Ill. (USA)	F. 64,50
Andrzej Głuszek, Svelgen (Norwegia)	F. 200,00
H.S., Oslo	F. 200,00
I.S., Oslo	F. 80,00
Jan Jurewicz w imieniu Assistance Committee for the Human Rights Movement in Poland — Polish American Congress, Illinois Division	F. 2.150,00
Czesław Maliszewski, New Britain, Conn. (USA)	F. 48,00
Bogdan Szarlak, Monachium (RFN)	F. 53,40
Benedykt Szostak, Oslo	F. 100,00
Janusz Zembrzusi, Anglet (Francja)	F. 100,00
Żołnierz A.K. Fundament spod Racławic	F. 50,00

Ottawski Komitet Pomocy Ofiarom Represji w PRL (Kanada) na pomoc poszkodowanym i pokrzywdzonym w Kraju ..	F. 3.906,00
Jan Wójcik, New Britain, Conn. (USA) — \$460,00 — zebrane na Apel „Konfederacji 76” w USA. (Wpłacili: z Newark, N.J. — T. Dziekanowski \$50, St. Zohro — \$25, B. Pi-lecki — \$20, T. Kloch — \$20, Zd. Wójcik — \$20, A. Bieszczady — \$10, B. Kama — \$10, St. Nowak — \$10, Zb. Głowacki — \$10, St. Lobara — \$10, St. Kuty — \$5, Pracownicy „Continental Electric” — \$73; z New Jersey: R. Winowski — \$25, Wł. Dąbowski — \$25, Br. Brodzicki — \$10, H. Szuster — \$20, R. Winowski — \$25, B. Brodzicki — \$10; z New York City: M. Orłowski — \$20; z Bloomfield, N.J.: P. Dubicki — \$20; z Livingston, N.J.: J. Metrycki — \$20; z Aston, Pan.: B. Wojewódka — \$17; z New Britain: Cz. Maliszewski — \$10	F. 1.978,00
Z przeznaczeniem: Na KSS „KOR” — \$110,00	
Na PPN — \$110,00	
Na ROPCio — \$250,00	

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZINSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal : 3^e Trimestre 1978.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 18,00	R. 35,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,75	\$ A 18,00	\$ A 35,00
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Poczobut, Wien I, Schönla-ternegasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 150,00	F.B. 850,00	F.B. 1 600,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ 35,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 15,00	F. 80,00	F. 150,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen. Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,50	Fl. h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont. Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 4,00 DM 8,00 F. 15,00	\$ Can. 21,00 D.M. 50,00 F. 85,00	\$ Can. 40,00 D.M. 85,00 F. 160,00
NIEMCY : St. Mikieluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.1431	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 15,00	K.S. 85,00	K.S. 160,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co. 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tel. 475-8806. L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 676-8868; Ada Dziekanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; J. Konopacki, 27437 Detroit Rd, Cleveland, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 886-2128; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103.	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ US 35,00
POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618, tel. (312) 469-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av. apt. 11, Los Angeles, Cal. 90038, tel. (213) 463-1817; Jan Wójcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211	£stg. 1.85	£stg. 10,00	£stg. 19,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 86 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 80 Int. 27.. Tel. 75-67-241			

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.160; półroczna — F.85.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTYTUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 293 — SERIA „BEZ CENZURY”

RYSZARD KRYNICKI

NASZE ŻYCIE ROŚNIE

Wiersze

Wybór poezji młodego wybitnego poety krajowego.

Str. 104.

Cena F. 25,00.



TOM 294 — SERIA „BEZ CENZURY”

PPN

Wybór artykułów Polskiego Porozumienia Niepodległościowego zawiera:

- *Program i oświadczenia Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w Kraju.*
- *Teksty problemowe:* Tradycja niepodległościowa i jej wrogowie; Kościół i katolicy w Polsce Ludowej; Myśli o dzisiejszej ojczyźnie; Czy dialog z władzą jest możliwy?; Przeciwnicy systemu; Rachunek naszych słabości; Stan moralny społeczeństwa; Program dla polskich rodzin; Pijaństwo w Polsce.
- *Poradnik społeczny:* Obywatel a Służba Bezpieczeństwa; O zdobywaniu wiadomości.
- *Prace indywidualne:* Prognozy Choczoła.

Str. 160.

Cena F. 35,00.



TOM 295 — SERIA „BEZ CENZURY”

JACEK KUROŃ

ZASADY IDEOWE

Str. 90.

Cena F. 20,00.